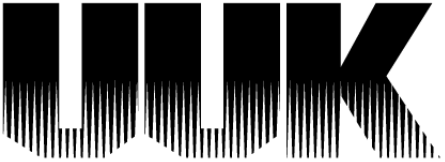


JOE ALEX

Śmierć mówi w moim imieniu

Przełożył: Krzysztof Bogunki



QUALITY BOOKS

The logo for Quality Books features the letters 'Q', 'B', and 'K' in a large, bold, black font. The bottom edges of these letters are filled with a dense pattern of vertical lines of varying heights, creating a textured, barcode-like effect. Below this graphic, the words 'QUALITY BOOKS' are written in a smaller, black, serif font.

Rozdział 1

Zbyt wielka torebka

Kiedy inspektor Benjamin Parker, tak bardzo niepodobny do inspektora Scotland Yardu w swoim doskonale skrojonym wieczorowym stroju, zadzwonił do drzwi mieszkania Joe Alexa, ten ostatni zawiązywał właśnie krawat. On także nie przypominał autora powieści kryminalnych. Był wysoki, młody, przystojny i raczej pogodny, nie był także małomówny, co na ogół stanowi nieodłączną cechę detektywa amatora.

Nikt także, spojrzawszy po raz pierwszy na Karolinę Beacon, nie przypuściłby, że jest ona obiecującym archeologiem. Była to dziewczyna śliczna, spokojna, włosy miała związane w długi jasny ogon i przypominała raczej młodą aktorkę niż młodego uczonego. W tej chwili, ubrana w wieczorową suknię, siedziała na poręczy fotela i przyglądała się Alexowi, który walczył z krawatem, starając się nie dotykać palcami gorsu koszuli.

— Zwycięzysz w końcu. . . — mruknęła. — Człowiek zawsze w końcu zwycięża materię. . .

— W miarę upływu lat zaczynam być o tym coraz mniej przekonany. — Alex spojrział z uśmiechem na swoją piękną przyjaciółkę. Potem nie puszczając krawata, zerknął na zegarek. — Ben Parker powinien zaraz zadzwonić do drzwi.

W tej samej chwili inspektor zadzwonił. Alex przedstawił go Karolinie i wyciągniętą ręką wskazał mu fotel, ale cofnął ją natychmiast i zawołał:

— Pomóż, człowieku!

Inspektor zawiązał krawat i wszyscy usiedli.

— Mamy jeszcze pół godziny czasu, a mój woź stoi przed domem — powiedział Alex. — Będziemy na miejscu w ciągu pięciu minut. Powinieneś wzmocnić czymś nadwątlone siły. . . — zwrócił się do inspektora, a potem zerknął na Karolinę. — Czy napijesz się z nami?

— Nawet sama — uśmiechnęła się skromnie panna Beacon. — Pan inspektor zapewne whisky bez wody? Ja też, ale z odrobiną lodu.

Joe nalał, ostrożnie zanurzył w jednej ze szklanek lśniąca kostkę lodu i usiadł.

— To dobrze, że nareszcie poznaliście się — powiedział ze szczerym zadowoleniem. — Lubię, kiedy moi przyjaciele chodzą stadami.

Karolina uśmiechnęła się, a Parker skłonił lekko głowę.

— Jestem zaszczycony poznaniem pani — szepnął, a potem normalnym już głosem dodał: — wiele o pani słyszałem, nie tylko od Joego. Ale wydaje mi się, że czytałem gdzieś w prasie o pani wyjeździe. Na pewno się mylę, ale kiedy pisano o ekspedycji, która miała wyruszyć do Persji, wydawało mi się, że wymieniono pani nazwisko.

— Nie. Nie myli się pan. Ale nie odplynęliśmy, bo kierownik wyprawy, sir Thomas Dodd, zachorował ciężko. To wprowadziło wiele zmian, a cała sprawa odwlekła się o dwa miesiące? Podobno jest mu lepiej, ale nie wierzę, żeby pojechał. Sir Thomas był operowany na raka... No, ale nie mówmy o tym, bo to smutne sprawy. Joe, jeszcze prędko kropelkę whisky i wyruszamy! Bardzo chcę zobaczyć te „*Krzęsta*”. To dobrze, że pan nas zaprosił, inspektorze.

Od rana do południa jechaliśmy dzisiaj samochodem z Torquay i zaledwie miałam czas pojechać do domu i przebrać się...

Inspektor zauważył, że przy tych słowach Karolina Beacon zarumieniła się lekko, a Alex sięgnął po butelkę i zaczął pośpiesznie nalewać do szklaneczek. Parker zsumował to błyskawicznie z trzema stojącymi w hallu walizkami i rozumiał, że Karolina Beacon rzeczywiście jechała dziś w ciągu całego dnia autem z Joe Alexem, ale zapewne nie była jeszcze u siebie w domu i prawdopodobnie dzisiaj tam już nie dotrze. Ciekawiło go, dlaczego ta para interesujących, samotnych młodych ludzi, którzy nie mogli się już od roku bez siebie obyć, nie bierze ślubu. Ale inspektor Parker widział w swoim życiu nie takie zagadki, a tej, na szczęście, nie miał obowiązku rozwiązywać. Przypomniał sobie tylko nagle, że prawdziwe zbliżenie między Karoliną a Joe Alexem nastąpiło właśnie przed rokiem, po tym, gdy obaj rozwiązali zagadkę śmierci ich wspólnego przyjaciela i kolegi z czasów wojny, Iana Drummonda... Więc to już pełny rok... pomyślał nagle z cichym zdumieniem, jakie ludzie często odczuwają na wspomnienie szybkości upływu czasu. Wyrwał się z zamyślenia i żeby nawiązać przerwana rozmowę, powiedział:

— Podobno to przedstawienie jest bardzo, ale to bardzo nowoczesne. A przyznam się, że dla zwykłego policjanta sztuka nowoczesna jest trochę trudna...

— Czytałam tę sztukę... — powiedziała Karolina — i myślę, że nie ma w niej niczego dziwnego. Mówi ona po prostu, że życie ludzkie jest nonsensem, że do niczego nie prowadzi, niczemu nie służy, że nikt nikogo nie zapamięta i nikt niczego nigdy nikomu nie wyjaśni.

— Hm... — mruknął Parker — jeżeli w takim stosunku żywego człowieka do życia nie ma niczego dziwnego, to... — Urwał i spojrzał na zegarek. — Ale musimy już iść. A zresztą, mam nadzieję, wytłumaczy mi pani to po przedstawieniu, jeżeli będzie pani taka uprzejma, i to własnymi, przystępnymi słowami.

— Odwagi! — mruknął Alex, nie wiadomo czy do inspektora, czy do Karoliny. Karolina wstała i ujęła Parkera pod ramię.

— Nowoczesna sztuka służy do odgadywania podświadomości człowieka i ukrytych pobudek jego działania.

— To znaczy, że służy mniej więcej temu samemu celowi co policja! — Alex roześmiał się.

Zeszli do samochodu, a po paru minutach znaleźli się już na Crosby Street i zatrzymali przed jasno oświetlonym gmachem, wzdłuż którego frontonu biegł na wysokości pierwszego piętra ruchomy, migotliwy napis: DZIŚ KRZESŁA... DZIŚ KRZESŁA... DZIŚ KRZESŁA...

Weszli.

— Jeszcze tylko jednego papierosa! — powiedział Alex. — Zdążymy chyba. W przeciwnym wypadku będę się męczył pod koniec aktu. Nie umiem dłużej niż godzinę wytrzymać spokojnie bez palenia.

W palarni było jeszcze dość dużo osób. Usiedli wszyscy troje przy jednym z ukrytych w rogu stolików i zapalili.

— Pełno! — powiedział Parker. — Zdaje się, że pisarz, który mówi ludziom, że ich życie nie ma sensu, zarobi na tym tyle, że przynajmniej jego własne życie stanie się bardziej sensowne.

Alex roześmiał się. Karolina potrząsnęła głową z dezaprobatą i otworzyła usta, ale jej uwagę przykuła mała grupka osób stojących niedaleko wejścia do foyer. Wskazała je oczyma Alexowi.

— To właśnie oni, rodzina sir Thomasa Dodda. Żona, córka i narzeczoną córki.

— Czy to jest Anna Dodd? — zapytał Parker, wskazując młodą, ładną dziewczynę w prostej, doskonale skrojonej sukni.

— Tak. Słyszał pan o niej?

— Niewiele. Tylko tyle, ile podawała prasa. Od dwóch tygodni jest jedną z najbogatszych dziewcząt w Anglii. Jakiś spadek, zdaje się.

— Tak. Umarł jej stryjeczny dziadek, sir Hugh Garry, ten potentat węglowy. Ona sama była najbardziej chyba zdziwiona tym spadkiem, bo poznała sir Hugh'a będąc dzieckiem i nie widziała go więcej niż pięć albo sześć razy w życiu. Ale podobno gdy jako dziecko była u niego kiedyś w odwiedzinach podczas jego choroby, pielęgnowała go nie odstępując ani na krok, płacząc i nie dając się odciągnąć starszym. Po paru dniach wyzdrowiał i wydawało się, że po latach nie będzie o tym pamiętał. Ale w testamencie napisał, że był to jedyny w ciągu ostatnich czterdziestu lat jego życia wypadek, kiedy któryś z krewnych bezinteresownie okazał mu sympatię. Cóż, pieniądze nie zawsze przynoszą prawdziwą przyjaźń, raczej przeciwnie. No i tej jedynej osobie, która mu współczuła nie licząc na jego pieniądze, zapisał je wszystkie. Był zresztą starym kawalerem i mógł z nimi zrobić, co zechce.

— Tak. Czytałem. Nie był to długi testament. Prasa podała go w całości: „*Cały mój majątek, bez żadnych ograniczeń, zapisuję mojej krewnej Annie Dodd, a gdyby, czego niech Bóg nie da, zmarła przed jego uzyskaniem, przejdzie on na własność mojej dalszej rodziny, z tym że dziedziczyć po mnie mogą tylko ci, którzy połączeni są ze mną węzłami krwi, a nie powinowactwem. . .*” — I w ten sposób ta ładna dziewczyna stała się posiadaczką astronomicznej sumy dwudziestu pięciu milionów. Zdaje się, że przekazanie spadku nastąpić ma za kilka tygodni.

— A czy ten młody człowiek otrzyma ową sumę wraz z jej ręką? — zapytał Joe.

— Nie sędzę, żeby nalegał na to. Na szczęście sam jest dostatecznie bogaty, żeby nie mówiono o nim jako o łowcy posagu. Zresztą zaręczyli się, zanim komukolwiek przyszło do głowy, że Anna może uzyskać taką fortunę. W chwili zaręczyn to raczej on żenił się z nie bardzo zamożną panną. To Charles Cresswell, drugi syn lorda Conthorpe.

— Jeden z najlepszych strzelców i fechtmistrzów, jakich mamy. . . — mruknął Parker. — Zetknąłem się z nim kiedyś w sprawie jednego z jego młodych przyjaciół. To dobry chłopak. Sportowiec, dobrze urodzony i bez zawodu, słowem, posiada wszystko, czego wymaga się od Anglika z towarzystwa.

— Mimo to nie wyglądają, jak gdyby tych dwadzieścia pięć milionów dawało im wiele szczęścia — zauważył Alex. — Myny mają raczej jak ludzie o paru tysiącach funtów rocznego dochodu.

— Na pewno znowu pogorszyło się zdrowie sir Thomasa. . . — powiedziała Karolina — ale w takim razie dlaczego są w teatrze? . . . W dodatku mama Dodd ma koszmarną torebkę.

— Przestańmy plotkować o naszych bliźnich. Wystarczy, że oni plotkują o nas. . . — mruknął Alex, ale mimo to zerknął na torebkę, którą pani Angelica Dodd, matka Anny, trzymała w ręku.

— Rzeczywiście, torebka była kilka razy większa niż zwykle teatralne małeństwa i jak gdyby wypchana czymś. Angelica Dodd była niewysoką kobietą o twarzy, której drobne, wyraziste rysy zachowały jeszcze wiele śladów piękności. W pewien sposób była nawet ładniejsza niż córka, chociaż policzki jej nie miały tej świeżości, którą może dać tylko nie przekroczony dwudziesty rok życia. Stała pomiędzy młodymi, wachlując się lekko programem. W pewnej chwili skinęła na Annę i ruszyła w stronę foyer.

— Chodźmy! — Karolina uniosła się lekko z fotela i poszła w tym samym kierunku co znikająca w drzwiach trójka osób. Zadzźwięczał dzwonek.

Sala była pełna. Światła przygasły nieco, dając jak gdyby sygnał, że należy pośpiesznej zajmować miejsca. Alex kupił dwa programy, z których jeden podał Karolinie, a drugi Parkerowi. Usiedli. Miejsca ich były pośrodku czwartego rzędu. Tuż przed nimi, nieco na lewo, usiadła Angelica Dodd, mając po obu stronach córkę i jej narzeczonego.

— Znakomite miejsca — Karolina uśmiechnęła się do Parkera. — Najbardziej lubię czwarty i piąty rząd. Nie jest tak blisko, żeby widzieć szminkę i szczegóły charakteryzacji, a z drugiej strony jest tak blisko, że widzi się każde drganie twarzy aktora. Zresztą ci, którzy się znają na tym, mówią, że z tych rzędów należy oglądać sztukę, bo właśnie siedząc w nich reżyser prowadzi próby.

Alex pochylił się i zajrzał do programu, który Karolina trzymała na kolanach. Odczytał obsadę:

STARY — lat 95 — Stephen Vincy

STARA — lat 94 — Ewa Faraday

MÓWCA — lat 45–50 — Henryk Darcy.

I WIELE INNYCH OSÓB

Reżyseria: HENRYK DARCY

W tej samej chwili światła zgasły zupełnie. Nastąpiła chwila ciemności, rozświetlona jedynie czerwonym blaskiem maleńkich żarówek bezpieczeństwa nad wejściowymi drzwiami.

Równocześnie zapaliły się dwa wielkie reflektory za plecami widzów, kładąc na powierzchni ciemnej kurtyny dwa nachodzące na siebie niemal kręgi ostrego światła. Niedostrzegalnie dla publiczności kurtyna uniosła się i blask reflektorów wyłonił z pustki scenicznej dwie postacie starych ludzi siedzących w krzesłach. Ubrani byli oboje dziwnie. Stary miał na sobie luźną szarą bluzę, uszytą jak gdyby z worka. Do jej ramion doczepione były epolety. Granatowe spodnie zaopatrzone były w czerwony huzarski lampas. Na nogach, zarówno on, jak i Stara, mieli znoszone ciepłe bambosze. Stara ubrana była w suknię podobną z barwy i kroju do bluzy Starego, bezkształtną i workową.

Przyglądający się kostiumom i dekoracjom Alex opuścił dwie czy trzy kwestie, ale zaraz potem tekst dotarł do jego uszu. Stary człowiek wstał i podszedł do jednego z dwu okien umieszczonych w lewym i prawym końcu dekoracji.

— ... *Barki na powierzchni wody lśnią w słonecznym blasku...* — powiedział w rozmarzeniu.

— *Nie możesz ich dostrzec. Słońce skończyło się. Jest noc, mój milutki.*

— *Pozostał po nich cień...*

Kwestie biegły dalej, szybko, jedna po drugiej i Alex od razu, od pierwszych słów zrozumiał, że jest świadkiem niecodziennego wydarzenia w sztuce. Tekst obnażał prosto i przerażająco tragedię współczesnego człowieka, jego nie zrealizowane nadzieje, bezmierną samotność, nie wyzwolone marzenia i płaską rzeczywistość istnienia, którego jedyną drogą jest droga do grobu. Aktorzy mieli na twarzach maski przypominające maski greckie i wyrażające ogólnie pojętą starość. Głos i ruchy nie podlegały prawom starości, ale ukazywały wieczną, tragiczną

młodość i naiwność człowieka wobec losu. W ten sposób aktorzy nie musieli grać starych ludzi, ale stwarzali na scenie sprawę o wiele ważniejszą: dawali syntezę starości, grali wszystkich starych ludzi, którzy istnieli i istnieją, co podnosiło wymiar tej zdumiewającej sztuki nieomal do godności greckiej tragedii.

Alex spojrział na Parkera. Inspektor siedział pochylony nieco ku przodowi, oczy miał lekko przymrużone i od czasu do czasu wykonywał drobne, potakujące ruchy głową. Karolina siedziała zupełnie nieruchomo, ale oczy jej błyszczały jak dwie błękitne gwiazdy.

Sztuka doszła do momentu, kiedy Stary, zaprosiwszy wszystkich znanych sobie w przeszłości i znaczących co obecnie ludzi, czeka na ich kolejne pojawienie się. Nie wszedł oczywiście nikt, ale wizja dwojga starych trwała nadal. Urojeni goście zaczęli przybywać, a starzy ludzie wszystkimi drzwiami wnosili krzesła dla tych cieni przeszłości. Stefan Vincy był niezrównany, kłaniał się w powietrzu, podawał rękę, tak sugestywnie brał pod ramię niewidzialnych, że cały ten pusty teatr zdawał się wypełniać uchwytnymi istotami. W tej chwili wprowadzał właśnie nowego urojonego gościa: Panią Piękną. Aksamitny, głęboki głos aktora zmienił się nagle w gruchanie gołębia:

— *... to jednak pani! Przed stu laty kochałem panią... Tak ogromnie zmieniła się pani... Zupełnie się pani nie zmieniła... Kochałem panią... Kocham panią...*

Nieomal płacząc, Vincy mówił dalej:

— *... ach, gdzież są niegdysiejsze śniegi...*

Zafascynowany głosem aktora, upojony tragikomiczną sytuacją, Alex usłyszał nagle stłumione westchnienie i cichy, urwany szloch. Odwrócił na chwilę wzrok od sceny. Któż to płakał? Rzadko spotykało się w Anglii ludzi, którym ciekły łzy podczas przedstawienia w teatrze. To nie były Włochy, ale spokojny, zrównoważony Londyn.

Ku swemu zdumieniu dostrzegł, że płacze pani Angelica Dodd. Nie płakała w całym tego słowa znaczeniu, ale ocierała chusteczką zażawione oczy.

To dziwne... — pomyślał Joe, którego pasją było ocenianie ludzi od pierwszego wejrzenia. — Byłbym przysięgł, że ta kobieta umie ukrywać swoje prawdziwe uczucia, a cóż, dopiero wzruszenia wywołane tekstem teatralnym.

Ale pani Dodd wyprostowała się już i zauważył, że odwróciwszy głowę w stronę córki obdarowała ją lekkim, przepaszającym uśmiechem.

Po chwili pierwsza połowa spektaklu dobiegła kresu i zabłyśły światła.

Rozdział 2

Vin-cy! Vin-cy! Vin-cy!

Dzwonek wzywający do zajęcia miejsc zadźwięczał powtórnie — długo i przenikliwie. Karolina dopiła kawę, którą Alex przyniósł jej z bufetu. Wokół palarnia szumiała fragmentami podnieconych rozmów. Ludzie dyskutowali za-
wzięcie, ożywienie było ogromne. Wstali. Parker potrząsnął głową.

— Patrząc na to — powiedział ze zdziwieniem, które jak gdyby dopiero w tej chwili przeniknęło do jego świadomości — nie rozumiem zupełnie, dlaczego ludzie popełniają zbrodnie. Przepraszam za moją skazę zawodową, ale zbrodnia to, bądź co bądź, bardzo poważne wydarzenie w życiu mordercy, najczęściej decydujące. Po co zabijać? Po co niszczyć istnienie innego człowieka, jeżeli i on, i ja, i my wszyscy jesteśmy tak beznadziejnie, okropnie skazani na śmierć? Czy nie przyzwoiciej byłoby spokojnie przeżyć życie, starając się, żeby było znośne dla nas i dla innych, równie skazanych jak my? Przecież po tej sztuce świat wygląda nieomal jak cela więzienna, z której jest tylko jedno wyjście: na szafot. A w celi powinna panować solidarność.

— Morderca — odpowiedział Alex — myśli podobnie, ale trochę inaczej. Jeżeli nawet rozumuje tak jak Ionesco, że wszyscy ludzie muszą zginąć i nie pozostaje po nich nic osobistego, może jednak sądzić, że w takim razie wolno zabijać ludzi, których się nienawidzi, bo przecież przyśpiesza się tylko nieuchronny koniec, a równocześnie umila się życie sobie. Każda zbrodnia ma jakiś podstawowy motyw. Niszcząc kogoś, morderca zyskuje coś: skarby, miłość, zaspokojenie instynktu zemsty. Czasem jest to zbyt daleko posunięta samoobrona, czasem pasja. Ale każdy z tych motywów może być przedstawiony przez mordercę jako absolutna konieczność, a im bardziej literatura będzie przekonywała ludzi, że ich istnienie jest przejściowe i niezbyt ważne, tym bardziej usprawiedliwieni będą mordercy we własnych oczach. Na szczęście rzadko wywodzą się oni spośród miłośników nowoczesnej literatury.

— Dosyć! — powiedziała Karolina. — Jeden z was zajmuje się zabijaniem ludzi na papierze, a drugi chwytaniem zabójców w rzeczywistości. Ale pamię-

tajcie, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi na świecie nie widziało nigdy zamordowanego człowieka, a gdyby nie prasa, nie słyszałoby o nim także. Zbrodnie zdarzają się zawsze gdzieś bardzo daleko i nikt nie wierzy w nie naprawdę, dopóki się z nimi nie zetknie. Stosunek do zbrodni nie należy do podstawowych cech światopoglądu.

— Nie jestem tego taki pewien — zauważył inspektor.

Umilkli.

— Ażeby zmienić temat — powiedziała Karolina — trzeba przyznać, że i reżyseria jest znakomita. Ale Vincy przechodzi samego siebie w roli Starego.

— Wobec tego my zajmiemy się chwaleniem Ewy Faraday. Czy wiesz, że ona ma 25 lat? — powiedział Alex. — To wielki talent.

— Tak, ale...

W tej chwili przygasły światła, Karolina odwróciła głowę ku zapuszczonej kurtynie, jakby pragnęła przebić ją wzrokiem i wyłowić działające postacie. Zabłyły reflektory.

Przerwa nie zatrzymała biegu spektaklu. Podczas niej narosły na scenie rzędy krzeseł, stanowiły już one całe góry i wąwozy, wśród których jak w upiornym pejzażu poruszali się aktorzy. Nagromadzenie urojonych gości doszło już do fantastycznych rozmiarów. Dwieście, trzysta krzeseł... a oboje Starzy wnosili coraz to nowe. Atmosfera zagęszczała się coraz bardziej. Stary i Stara rozmawiali z nieobecnymi, strofowali ich, obsypywali komplementami, odprowadzali na przeznaczone miejsca. Lecz Alex, który nie spuszczał wzroku z aktorów, wyczuł inny nieco ton niż na początku. Vincy stał się bardziej twardy, bardziej był symbolem niż człowiekiem, jego tekst padał teraz jak tekst kogoś, kto nie chce widzowi powiedzieć: „Oto jestem Ja, aktor, i wcielam się w postać, którą widzicie!” — ale bardziej: „Wyrażam tylko tę postać i przy jej pomocy chcę się z wami podzielić myślą autora!”

Alex wołał tę drugą koncepcję. Była mniej melodramatyczna i bliższa współczesnemu, myślącemu człowiekowi. Natomiast Ewa Faraday gubiła się trochę w roli i jakby nie wytrzymała ogromnej koncepcji, którą narzuciła sobie w pierwszej połowie sztuki. Ale może to tylko olśniewająca, rozwijająca się z każdą sekundą kreacja jej partnera zepchnęła ją po prostu w cień? Zdawała się trochę szara przy tym fajerwerku ludzkiej myśli, jakim stawał się Vincy.

Ale końcowa scena samobójstwa obojga Starych przemieniła się jednak w koncert gry obojga. Pożegnanie ich na parapecie okna, a później skok w szumiące w dole morze były wstrząsające. Tak kończy każdy człowiek — mówił widzom Ionesco — bez względu na to, ile wysiłku włoży w swoje życie i jak mu się ono uda. Ale sposób, w jaki Vincy wykonał swój samobójczy skok, był niespodziewanie pełen wyzwania i wiary, optymizmu i zuchwałej naiwności. Skok w przyszłość, nie w nicość. Ewa Faraday spadła jak tłumoczek, jak rzecz, która towarzyszy człowiekowi.

Wiatr wyduł teraz zasłony okien na scenie i powiały one jak sztandary. Światła zaczęły wzmaczać się, rosnać, osiągnęły kulminację i nieomal oślepiły widzów, odbijając się od białych, pustych ścian dekoracji. Środkowymi, wielkimi drzwiami wszedł ten, który miał przekazać światu myśli i idee Starego.

Wszedł Mówca. Ubrany był zupełnie tak samo jak Stary, ale nie nosił maski. Głowę jego ocieniał wielki, czarny kapelusz. I teraz dopiero rozegrał się dramat właściwy. Z ust mówcy wydobył się nieartykułowany bełkot. Kilka razy zaczynał to, co miało być jego przemówieniem. Potem zrezygnował i rozejrzał się bezradnie. Obok niego stała wielka, czarna tablica. Mówca ujął lewą ręką kredę i spróbował pisać. Ale litery układały się w ten sam bełkot, którego treścią było tylko jedno: „Wszystko nie ma sensu, istnienie ludzkie jest bezproduktywne, tragiczne przez niemoc działania i niemoc porozumienia. . .”

Kurtyna opadła wolno. Na sali była nadal cisza pełna skupienia. Aż wreszcie runął grzmot oklasków.

Kurtyna uniosła się ku górze, ukazując stojącego pośrodku sceny Mówcę. Owacje, które go spotykały w tej chwili, były wyraźnie adresowane do niego jako do reżysera tego wstrząsającego spektaklu. Mówca — Henryk Darcy — skłonił się lekko. Ale publiczność nie przestawała klaskać. Czekwała na dwoje bohaterów wieczoru.

Kurtyna opadła i znowu poszła w górę. Z lewej strony weszła na scenę lekkim, młodzieńczym krokiem Ewa Faraday. Maskę trzymała w ręku przed sobą. Stała wyprostowana, podając spojrzeniom ludzkim swoją piękną, jasną twarz, tak bardzo niepodobną do twarzy, którą trzymała w ręce i która jeszcze przed chwilą była nieomal zrośnięta z całą jej sylwetką. Oklaski znowu urosły i opadły. A potem znowu urosły.

— Vin-cy! — zawołał jakiś głos, a potem inne podjęły za nim: Vin-cy! Vin-cy! Vin-cy!

Spojrzenia kierowały się w prawo, skąd według praw symetrii scenicznej powinien był się pojawić. Kurtyna opadła jeszcze raz i raz jeszcze poszła w górę, znów ukazując tylko Ewę Faraday i Henryka Darcy. Publiczność niezmiernie biła brawo. Okrzyki: — Vincy! Vincy! — przerywały rytm braw i znowu rozplątały się w oklaskach. Kurtyna jeszcze trzykrotnie poszła w górę i opadła. Ewa Faraday i Henryk Darcy stali nieruchomo, jak gdyby zawstydzeni owacją dla nieobecnego. Wreszcie kurtyna ostatecznie zapadła. Zabłyły światła na widowni. Stefan Vincy nie ukazał się. Nieco zawiedziona publiczność ruszyła z wolna ku szatniom.

— To dziwne — powiedziała Karolina, wsuwając dłoń w rękaw swego płaszcza trzymanego przez Parkera — wydawałoby się, że dla tych ludzi, którzy z takim napięciem walczą o to, żeby się podobać publiczności, ukazanie się w chwili takiego triumfu powinno być prawdziwą przyjemnością. Widziałam Vincy’ego już tyle razy i zawsze miałam wrażenie, że lubi to ogromnie. Bywał nawet trochę

staroświecki na innych spektaklach. Przykładał ręce do serca, kłaniał się nisko jak aktor z ubiegłego stulecia. A przecież nigdy prawie nie było takiej żywiołowej owacji. Rzadko zdarza się taka reakcja sali. A dziś nie wyszedł.

— Może to właśnie są ich sposoby. . . — mruknął Alex. — Jeżeli aż tak bardzo wam się podobam, to udam, że obojętne mi są wasze oklaski. Wtedy, oprócz podziwu, zyskam wasz szacunek. Może rozumować i w ten sposób. A może, po prostu, śpieszył się gdzieś bardzo? Na jakąś randkę albo pociąg?

Wyszli pośród tłumu ożywionego jeszcze bardziej niż w czasie przerwy. Wsiadli do auta. Klub Zielonego Pióra, którego członkiem był Alex, znajdował się dość daleko od Chamber Theatre i dotarli tam dopiero po kwadransie. Przez cały czas milczeli wszyscy, rozmyślając nad sztuką. Dopiero kiedy zasiedli na wygodnych, miękkich krzeselkach, a Alex zamówił zakąski i napoje, nastrój pękł.

— Bardzo panu dziękuję za zaproszenie — powiedziała Karolina do Parkera. — To był niezapomniany wieczór. Myślę, że jeszcze nieraz będziemy mówili o nim. . . Niestety, zapomniałam, że nasza ekspedycja wkrótce wyrusza. . . — Zamyśliła się, a potem spojrzała na Alexa. — A może przyjechalibyście tam, panowie, kiedy inspektor otrzyma urlop?

Parker uśmiechnął się. — Znamy się już prawie dwadzieścia lat, ten oto Joe Alex i ja, i przeżyliśmy wspólnie tysiące przygód smutnych i wesołych. Ale w Persji jeszcze razem nie byliśmy. Oczywiście nie wspominam o przyjemności, jaką sprawiłoby mi spotkanie pani. Czy ekspedycja ma już ściśle z góry określony plan? To znaczy, czy wiecie, co chcecie wykopać i gdzie dokładnie?

Rozpoczęła się rozmowa o archeologii i Alex z przyjemnością i z pewnym zdumieniem słuchał Karoliny, która z ładnej, nie za mądrej i nie zanadto błyskotliwej dziewczyny przeistoczyła się nagle w człowieka mówiącego z dużą pewnością o bardzo skomplikowanych sprawach, sypiącego jak z rękawa datami i faktami dotyczącymi czasów, o których on sam miał zaledwie mgliste pojęcie ze szkoły i kilku popularnych książek historyczno-geograficznych. Karolina-naukowiec, Karolina-badacz to był ktoś zupełnie inny niż Karolina w głęboko wyciętej wieczorowej sukni i z długim ogonem włosów wysoko upiętym nad karkiem. Wydawało się, że jedna z nich powinna być brzydka, mądra i nosić okulary w drucianej oprawce, a druga powinna paplać sympatycznie o nowoczesnej, modnej sztuce, doskonale tańczyć i być nieobowiązującą radością dla ciężko pracującego mężczyzny. Do tej pory widział tylko tę drugą, teraz zrozumiał, że Karolina była, szczerze mówiąc, bardziej wykształcona niż on sam. Nie przerywał jej ani jednym słowem. Słuchał, kiedy wyjaśniała Parkerowi stare sprawy ziem Bliskiego Wschodu w tak jasny i łatwy, a jednocześnie doskonały sposób, że przy rozmowie z ignorantem błysnęły jej wielkie talenty pedagogiczne. Zapalała się przy tym, koński ogon fruwał od czasu do czasu, gdy poruszała wysmukłą, gładką szyję, a niebieskie, młode oczy stawały się to promienne, to zamyślane. Parker także słuchał z przejęciem. Karolina urwała i roześmiała się.

— Nalej mi czegoś, Joe! — powiedziała. — Zagalopowałam się. Archeologia to nie tylko mój zawód, ale wielka, jedyna miłość. Mogę nią zanudzić każdego, jeżeli mi tylko pozwoli.

I Joe spostrzegł nagle, że nigdy jeszcze nie rozmawiała z nim o tych sprawach. . . Widocznie jej na to nie pozwalałam. . . — pomyślał ze zdumieniem.

— Karolino — powiedział — jesteś największym zaskoczeniem tego wieczoru!

Ale mylił się, bo w tej samej chwili nad ich stolikiem pochylił się kelner i powiedział cicho:

— Pan Parker jest proszony do telefonu.

— Przepraszam bardzo — inspektor wstał i oddalił się.

— Karolino — powiedział Joe — o moja śliczna Karolino.

— Prawda? Nie jestem brzydka. Czy lubisz mnie trochę?

— Nad życie! — spoważniał.

Roześmiała się.

— Nie. Nie bój się. Nie złapię cię za słowo i nie wyjdę za ciebie za mąż. Tak jest lepiej. Należymy do siebie tylko o tyle, o ile chcemy. I nikt nas nie zmusza do niczego. Gdybym wyszła za ciebie, ciągle ścierałabym kurze i otwierałabym okna. A kiedy to robię teraz, myślę, że jest w tym trochę wdzięku kobiecego, bo w końcu pójdę do siebie, do własnego mieszkania, a ty zostaniesz sam i będziesz mógł robić, co zechcesz. Ale dobrze mi z tobą. . .

— I mnie z tobą. . . — powiedział Joe Alex. — Chciałbym już wrócić do domu. Nastawiłabyś herbatę i posłuchalibyśmy muzyki przez radio. Wiesz, takiego cichego jazzu.

— Och, znakomicie. A potem uśniemy i radio będzie grało aż do rana. . . Kiedy obudzimy się, będzie cichuteńko mówiło o hodowli buraków albo o kongresie urzędników pocztowych. Dobrze, Joe! Skończymy jeść i pojedziemy. . .

Ale i ona myliła się, bo w tej samej chwili Ben Parker zbliżył się do stolika i nie siadając powiedział:

— Musicie mi wybaczyć, ale odchodzę.

— Dlaczego? — zapytał Alex. — Czy nigdy twoja praca nie może pozostawić ci godziny spokoju? Czy stało się coś?

— Tak — powiedział Parker. Usiadł, pochylił się ku nim i powiedział półgłosem: — Stefan Vincy, odtwórca roli Starego w dzisiejszym przedstawieniu *Krzesel*, został przed chwilą znaleziony w swojej garderobie ze sztyletem w sercu.

Rozdział 3

Pamiętaj, że masz przyjaciela

Karolina znieruchomiała z kieliszkiem wina przy ustach, potem postawiła go powolnym ruchem ręki na stole, ale nie powiedziała ani słowa.

— Jak to? — Joe zerwał się i usiadł natychmiast. — Kiedy to się stało? Przecież... — urwał. — Czy już wiadomo, kto go zabił?

— Na razie nic nie wiadomo. Za chwilę przyjedzie tu po mnie nasz samochód. Sierżant Jones jest już na miejscu. Nocny portier znalazł trupa i zadzwonił od razu do dyrektora teatru, pana Davidsona, a ten zna mnie, więc natychmiast połączył się z moim numerem w Yardzie.

Sierżant Jones był na dyżurze. Kazałem mu jechać na miejsce zbrodni, bo od nas do Chamber Theatre jest kilka kroków, a potem miał natychmiast wysłać samochód po mnie. Powinni już tu być... — spojrzał na zegarek, potem na Alexa. — Czy chcesz tam ze mną pojechać, Joe? — zapytał bez żadnych wstępów.

— Ja? Tak, oczywiście, jeżeli sądzisz, że...

— Twoja znajomość środowiska może okazać się bardzo ważna. Wiesz o wiele więcej niż ja o teatrze. Poza tym byliśmy dzisiaj razem na przedstawieniu. — Zwrócił się do Karoliny: — Przepraszam, miss Beacon, to na pewno jest bardzo niegrzeczne z mojej strony. Przyszliśmy tu razem i teraz nagle opuścimy panią obaj... Ale... — rozłożył ręce.

— Oczywiście! — Karolina wstała. — Chodźmy. Daj mi tylko kluczyk od twojego samochodu, Joe. Wróć nim do domu, a rano ci go odstawię... — Kiedy Parker oddalił się do szatni po okrycia, dodała półgłosem: — Daj mi prędko klucze od twojego mieszkania, bo klucze mojego są u ciebie w walizce.

— Zaczekaj na mnie... — Joe dotknął lekko jej ramienia. — Nie mogę odmówić Parkerowi, a poza tym... za godzinę na pewno będę w domu.

— Nie. Nie będziesz, ale to nic nie szkodzi. Mężczyźni mają swoje pasje, zupełnie jak kobiety. Będę spała jak kamień, kiedy przyjdiesz. Obudź mnie, dobrze? Nastawię herbatę i posłuchamy muzyki, tak jak chciałeś, jeżeli będziesz miał ochotę. To ci na pewno dobrze zrobi, bo za parę minut będziesz patrzył na

umarłego. Człowiek nigdy nie może bezkarnie patrzeć na umarłych. Zawsze nam to przypomina o najważniejszym. . . Mój Boże, muszę być chyba bardzo zmęczona. . . To przecież takie okropne. . . Zamordowali człowieka, którego przed dwoma godzinami widzieliśmy i oklaskiwaliśmy. . . a ja myślę o tym, żeby położyć się i usnąć. Jestem na pewno znużona po tej podróży. . . Daj klucze! — dodała szybko, bo Parker ukazał się niosąc płaszcze.

Joe podał jej nieznacznym ruchem klucze.

— Do widzenia, Karolinko — uśmiechnął się do niej serdeczniej, niż chciał. Serdeczność była nieco poza granicą ich wzajemnych stosunków. Zawsze traktowali się jak koledzy, czasem jak przyjaciele, nigdy jak zakochani.

Zeszli razem. Dziewczyna wsiadła do samochodu Alexa i zapuściła silnik. Kiwnęła im obu ręką i auto wystrzeliło do przodu jak torpeda. Na rogu ulicy o mało nie zderzyło się z wielką czarną limuzyną, która ze zgrzytem gum zarzuciła na pełnym gazie i zatrzymała się po chwili przed stojącymi.

— Wsiadaj! — zawołał Parker.

Tym razem droga trwała o wiele krócej. Samochód pędził jak gdyby nie jechali przez miasto, ale ustronną, wiejską szosą. Dwa razy przed większymi skrzyżowaniami kierowca włączył syrenę i woź wyjąć przeleciał przed maskami hamujących pośpiesznie aut.

— Świetna dziewczyna! — powiedział inspektor niespodziewanie.

— Co? — Alex ocknął się z zamyślenia. — Kto?

— Miss Karolina Beacon. Nigdy jeszcze nie spotkałem kobiety, która by po usłyszeniu takiej nowiny nie zadała stu niedorzecznych pytań. A ona wsiadła bez słowa do auta i zniknęła. Skarb!

— Czy naprawdę nad tym się teraz zastanawiałeś? — zapytał Alex ze zdumieniem.

— Nie. Ale nie chcę zastanawiać się nad tym morderstwem, dopóki nie dowiem się czegoś więcej. Nic tak nie przeszkadza w śledztwie jak podejrzenie czy uprzedzenie, które poweźmie się z góry. Wtedy mimowolnie człowiek chce nagiąć fakty do swojej tezy, co może mieć fatalny skutek, bo traci się ostrość widzenia i można nie zauważyć prawdy, która zwykle wygląda zupełnie inaczej, niż to sobie początkowo wyobrażaliśmy. Dlatego staram się odwrócić własną uwagę od tego zabójstwa. Będzie wiele hałasu w prasie. . . znowu wiele hałasu. . . Bez względu na to, czy przyjdzie to łatwo, czy trudno, chciałbym mieć mordercę w ciągu dwudziestu czterech godzin pod kluczem. . .

— Nie wiesz przecież jeszcze nawet, czy nie ma już śladów, które pozwolą ci go zamknąć za pół godziny.

Parker potrząsnął głową.

— Już teraz nie bardzo mi się to podoba. Jeżeli aktor nie wyszedł się kłaniać, a potem pozostał w garderobie i nikt z kolegów ani nawet garderobiany nie zauważyli, że coś jest nie w porządku, to znaczy, że morderca działał nie w pasji,

lecz z premedytacją, że wybrał odpowiednią chwilę, żeby zatrzeć za sobą ślady... Ale nie uprzedzajmy faktów.

— Właśnie. Nie uprzedzajmy. Przecież mógł zginać w godzinę po przedstawieniu. Mógł mieć gościa, mógł się ktoś na niego zacząć...

Parker położył palec na ustach.

— Przestańmy wróżyć. Zaczekajmy.

W tej samej chwili wóz zahamował gwałtownie. Wyjrząwszy przez okno Alex zauważył, że mijają fronton teatru i skręcają w jakąś małą uliczkę. Auto przejechało kilkanaście jardów i zatrzymało się.

Wysiedli. Przed nimi było boczne wejście Chamber Theatre. Uliczka była wąska i cicha. Kilka kamiennych stopni prowadziło do oszklonych, zaopatrzonych misterną kratą drzwi, obok których lśniąca tabliczka głosiła: CHAMBER THEATRE WEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU TEATRALNEGO. Parker natychmiast ruszył w górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Na odgłos hamującego auta w drzwiach ukazała się rosta, barczysta postać w mundurze policyjnym.

— Panowie do kogo?... — policjant urwał i usunął się salutując, wyprężony w służbistej postawie. — Dobry wieczór, panie inspektorze. Przepraszam, że nie poznałem pana.

— Dobry wieczór, MacGregor — odpowiedział Parker i rozejrzał się.

Wejście do teatru oświetlone było silną żarówką umieszczoną nad zasłoniętym żółtą firanką okienkiem łoża portiera. Od łoża biegło kilka schodków w górę, gdzie była mała platforma. W ścianie po lewej stronie były zamknięte drzwi z napisem: SZATNIA PERSONELU TECHNICZNEGO, dalej był odchodzący w lewo korytarz. Wynurzył się właśnie z niego młody i pyzaty sierżant Jones.

— Dobry wieczór, szefie! — Dostrzegł Alexa i uniósł brwi z wyrazem lekkiego zdziwienia, ale zaraz rozpromienił się. — Dobry wieczór panu! Spotykamy się znowu w takich okropnych okolicznościach. Pewnie będzie z tego nowa książka, co?...

— Jones! — powiedział Parker — wasze zainteresowania literackie będziecie zaspokajać poza godzinami służbowymi. Na razie mówcie o tym, co się tu stało.

— Tak jest, szefie! Ciało znalazł nocny portier... — Jones zerknął na zegarek — dwadzieścia minut temu, o godzinie dwunastej pięć, kiedy po zmianie obchodził gmach, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku i czy nikt nie zaproszył ognia. Natychmiast zadzwonił do dyrektora Davidsona, który połączył się z nami. Dyrektor Davidson jest u siebie w gabinecie i czeka na pana, szefie, tak jak pan sobie tego życzył. Stefan Vincy został zabity uderzeniem sztyletu, sądząc z tego, co widziałem. Albo może sam się zabił, chociaż nie wygląda mi na to. Leży u siebie na kozetce. Na razie nic więcej nie umiem powiedzieć. Doktor, fotograf i daktyloskop są zawiadomieni i zaraz tu będą. Ani dyrektor Davidson, ani portier nie informowali nikogo o zbrodni, tak że poza nimi i nami nikt jeszcze o niczym nie wie.

— Wie o tym jeszcze ten facet, który wbił sztylet w Stefana Vincy — dodał Parker z ponurym uśmiechem — ale miejmy nadzieję, że dowie się on wkrótce wielu innych rzeczy, mniej przyjemnych dla niego niż mordowanie aktorów w ich garderobach. Chodźmy!

Weszli po stopniach i skręcili w korytarz. Były tam tylko jedne drzwi, po lewej stronie, w dość dużej odległości od wylotu; dalej szedł inny, poprzeczny korytarz. Naprzeciw była ściana, a na niej wielki, czarny napis: CISZA!

— To tam, szefie! — powiedział Jones, wskazując owe jedyne drzwi w korytarzu. Przed drzwiami stał barczysty mężczyzna w cywilnym ubraniu. Na widok inspektora wyprostował się.

— Garderoba Vincy'ego?

— Tak, szefie.

— Stephens!

Człowiek w cywilnym ubraniu zbliżył się i stanął na baczność.

— Idźcie do dyrektora Davidsona, który oczekuje mnie, i powiedzcie, że musi jeszcze poczekać, bo muszę załatwić najpierw pewne formalności.

— Tak jest, szefie.

Detektyw Stephens zawrócił i zniknął na końcu korytarza, zakręciwszy w prawo.

— Gdzie jest nocny portier, ten, który znalazł ciało ?

— U siebie, w portierce. Ale kazałem mu siedzieć za firanką i zabroniłem kręcić się po gmachu. Czeka, aż go pan wezwie, szefie. Czy mam go zawołać?

— Jeszcze nie. Tymczasem przyjrzymy się miejscu zbrodni, zanim przyjdzie lekarz i reszta ludzi. Niech nikt nam nie przeszkadza, Jones. Zawiadom mnie, gdy tamci przyjdą. Chodź, Joe.

— Tak, szefie — powiedział Joe.

Parker zbliżył się do nie domkniętych drzwi po lewej stronie korytarza i lekko pchnął je nogą. Na korytarz padła wąska smuga ostrego światła. Inspektor wpuścił Alexa do pokoju, osłaniając ostrożnie łokciem klamkę.

W garderobie Stefana Vincy było niezwykle jasno. Oświetlona była ona kilkusetświecową żarówką umieszczoną pośrodku sufitu, a poza tym dwiema silnymi lampami, znajdującymi się po obu stronach wielkiego lustra wspartego o niską toaletkę, przed którą stało wygodne, proste krzesło z oparciem. Po prawej stronie pokoju stała wielka, zajmująca prawie całą ścianę, zamknięta szafa dwudrzwiowa. Po lewej stolik i dwa krzeselka, a naprzeciw drzwi kozetka, obita jasnym, kwiecistym materiałem.

Na kozetce leżał Stefan Vincy. Był wyprostowany, lewą rękę trzymał na sercu, a prawa zwisała bezwładnie, dotykając podłogi. Tuż przy leżącym stał obok kozetki wielki kosz czerwonych róż, smukłych i eleganckich jak baletnice.

Inspektor podszedł i pochylił się nad ciałem. Alex także zbliżył się i stojąc obok siebie, patrzyli przez chwilę w milczeniu na zmarłego.

Leżąca na piersi ręka zabitego zamykała się na rękojeści pozłocistego sztyletu, jak gdyby pragnąc go wyrwać z rany albo spoczywając po zadaniu samobójczego ciosu. Był to prawdopodobnie ostatni odruch konającego: pragnienie oswobodzenia się od tkwiącego w piersi obcego ciała. Rana była na pewno straszliwa, bo sztylet tkwił wbity po samą rękojeść.

— To nie wygląda na samobójstwo. . . — mruknął Parker. — Człowiek niełatwo może wbić sobie nóż tak głęboko, leżąc na wznak. Raczej zamordowano go. . . Doktor chyba powie to samo co ja. . . Chociaż oczywiście lepiej by było, gdyby to się okazało samobójstwem. . . — Urwał i po chwili znowu mruknął: — Byłoby znacznie lepiej. . . Kiedy człowiek odbiera sobie życie, to chociaż robi głupstwo, ale odbiera sobie tylko to, co do niego należy. Ale kiedy odbiera je drugiemu człowiekowi. . . — Znowu urwał. — Tak. To jednak chyba morderstwo. Nie mógł wbić sobie noża siedząc, a później upaść na wznak. Ciało nie miałoby takiego położenia. Nie, to byłoby niemożliwe. Zabójca pochylił się i uderzył z góry, dodając do ciosu całą wagę swego ciała. Vincy zginął w ułamku sekundy. . . A ty jak sądzisz?

Alex stał nie odpowiadając i spoglądał w piękną, nieomal spokojną twarz umarłego aktora. Początki siwizny na skroniach. Gęste, ciemne brwi. Duże, zmysłowe usta. Prosty, wspaniały nos. Jakże inna twarz niż ta, którą wyrażała jego maska wieczorem na scenie. Tamta była stara i nieruchoma. Ta, nawet po śmierci, świadczyła o żądzy życia.

Vincy ubrany był nadal w swój dziwaczny, na pół wojskowy, na pół błazeński kostium. Szara, workowata, bezkształtna bluza ze sztywnymi epoletami na ramionach. Huzarskie spodnie z czerwonym lampasem i bambosze na nogach. W miejscu, gdzie wbite było ostrze sztyletu, widniała wąska, ciemna, wilgotna obwódka. Poza tym krwi nie było widać. Ale na prawej piersi — na tle jasnoszarego materiału bluzy odcinała się jaskrawa, czerwona smuga. Parker pochylił się nad tym.

— To szminka, prawda? — zapytał Alex nie poruszając się.

— Tak. . . — inspektor wyprostował się.

— Nie ma nic wspólnego ze zbrodnią — mruknął Alex. — To powstało w czasie przedstawienia, w chwili gdy Stara obejmuje Starego i wtula twarz w jego pierś. . . Ewa Faraday jest. . . była o wiele niższa niż on i musiała go po prostu zabrudzić. . . — Wskazał twarz Vincy'ego. — Oni są oboje mocno uszmkowani, bo reżyser operuje w tym spektaklu nadzwyczaj silnymi reflektorami. Przyjrzyj mu się: ma grubą powłokę szminki na ustach i mocno ucharakteryzowaną oprawę oczu. Czoła, brody i policzków oczywiście nie charakteryzował, grając w nylonowej masce.

— Tak. . . — Parker znowu się pochylił. Nie dotykając sztyletu, odczytał napis:

Pamiętaj, że masz przyjaciela

— Co? — Alex nie zrozumiał. Inspektor, nie mówiąc słowa, przywołał go ruchem dłoni. Joe pochylił się. Wzdłuż rękojeści sztyletu biegł wygrawerowany napis, który przed chwilą został odczytany przez Parkera.

— *Pamiętaj, że masz przyjaciela* — inspektor podrapał się w głowę. — Mam nadzieję, że to nie śmierć z ręki jakiegoś tajnego stowarzyszenia albo sekty. . . Ale takie rzeczy nie zdarzają się. Ostatni wypadek tego rodzaju miał miejsce w roku 1899. Dwudziesty wiek jest o wiele mniej romantyczny. Ludzie zabijają wyłącznie z pobudek osobistych. Ale zaczekajmy. . . Może to jednak samobójstwo?

Nie słysząc odpowiedzi odwrócił głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje z Alexem. Joe stał przed koszem z kwiatami i przyglądał się różom.

— Są śliczne. . . — szepnął — zupełnie na miejscu tutaj. „Umarły spoczywał w powodzi kwiecista. . .” Tak się to podaje w prasie, prawda? — Jeszcze raz spojrzął na kosz, a potem pochylił nisko głowę. Po chwili położył się na podłodze obok kozetki.

— O co chodzi? — zapytał inspektor. — Uważaj, żebyś nie dotknął czegoś.

Alex w milczeniu potrząsnął głową, a potem na pół wsunął się pod kozetkę, starając się spojrzeć od wewnątrz w lekko zaciśniętą, dotykającą podłogi dłoń zmarłego.

— On coś trzyma. . . — powiedział — jakąś zmiętą kartkę papieru.

— Tak? — Parker ukląkł. — To, niestety, musi poczekać. Nie chcę niczego ruszać, zanim nie przyjdzie daktyloskop i lekarz. . .

Rozległo się pukanie do drzwi, a potem w szparę wsunęła się pyzata twarz sierżanta Jonesa.

— Wszyscy już są, szefie: doktor, fotograf i daktyloskop.

— Dawaj ich tu — powiedział Parker, a jednocześnie ruszył ku drzwiom i wyszedł na korytarz. Alex otrząpał ubranie i rozejrzał się.

Czegoś brakowało w tym obrazie. Ale czego? Czego? Zatrzymał się, rozejrzał marszcząc brwi i starając się wyciągnąć na powierzchnię świadomości myśl, która tkwiła gdzieś w głębi mózgu i nie chciała się wydobyć. Potarł ręką czoło. Nie. Nie wiedział. A gotów był przysiąc, że wie, że za sekundę zawoła: — Wiem!

Podszedł ku drzwiom i zerknąwszy raz jeszcze na ciało Stefana Vincy i otaczające je przedmioty, wyszedł na korytarz, gdzie Parker przytłumionym głosem dawał instrukcje grupie tłoczących się przed nim ludzi.

— Zaczynajcie, panowie! — powiedział inspektor. — Chciałbym przede wszystkim zobaczyć tę kartkę, którą nieboszczyk trzyma w ręce. Proszę mnie zawołać, kiedy będzie można ją wziąć. Nie chcę tam wchodzić i przeszkadzać wam, bo i tak dosyć ludzi wejdzie równocześnie do tej garderoby.

Skinął na Alexa i ruszył wraz z nim w kierunku łoża portiera.

Rozdział 4

Był znienawidzony w teatrze

Kiedy znaleźli się przed lożą portiera, inspektor wszedł i dał oczyma znak dyżurującemu policjantowi, żeby się usunął. Policjant poprawił pasek pod brodą i wyszedł.

Parker usiadł i wskazał drugie krzesło siwemu, wybladłemu człowiekowi, który uniósł się z miejsca, kiedy weszli.

— Jesteście nocnym portierem tego teatru, prawda?

— Tak, proszę pana! — - Człowiek poderwał się z krzeselka, ale na znak inspektora opadł na nie znowu.

— Jak brzmi wasze nazwisko?

— Soames, proszę pana, George Soames.

— Czy od dawna tu pracujecie?

— Od trzydziestu ośmiu lat, proszę pana.

— Na tym stanowisku?

— Tak, proszę pana.

— Opowiedzcie nam o tym, jak znaleźliście zwłoki. — Parker wyjął notes. Alex stał oparty o ścianę i przyglądał się twarzy starego człowieka. Widać było, że śmierć Vincy'ego, a może po prostu fakt, że to on pierwszy odkrył zwłoki, zrobiły na nim wielkie wrażenie.

— Więc, proszę pana, przyszedłem jak zawsze, o dwunastej, żeby zmienić Gullinsa...

— Gullinsa? To znaczy dziennego portiera?

— Tak, proszę pana, co dwa tygodnie zmieniamy kolejność dyżuru, raz on ma nocny dyżur, a ja dzienny, a potem odwrotnie.

— Tak. Więc przyszedliście zmienić Gullinsa i co?

— Wszedłem, proszę pana, a on już czekał. Porozmawialiśmy przez chwilę, o tym i o owym, jak zawsze...

— Jak długo rozmawialiście?

— Może minutkę, może dwie, proszę pana. Potem on wyszedł, a ja zamknąłem za nim drzwi i ruszyłem na górę, żeby obejść wszystkie garderoby i scenę, bo to mamy w regulaminie. Trzeba zawsze sprawdzić, czy ktoś nie zaproszył ognia albo czy jakiś kabel nie ma gdzieś spięcia. To jest teatr, proszę pana, i dużo ludzi tu pracuje, a może się zdarzyć ktoś nieuważny... Często taki pożar tli się parę godzin, zanim wybuchnie...

— Tak. Więc ruszyliście w obchód...

— Otworzyłem drzwi do szatni personelu technicznego i zajrzałem tam, a potem ruszyłem dalej...

— A gdyby w tej chwili ktoś zadzwonił do teatru, to co?

— W nocy nikt, w zasadzie, proszę pana, do teatru nie ma powodu przychodzić, jeśli nie odbywa się nocna próba. Ale nawet gdyby coś takiego się zdarzyło, to dzwonek nocny jest bardzo głośny i kiedy w teatrze nie ma nikogo, to głos jego niesie się wszędzie, proszę pana. Usłyszałbym na pewno.

— Dobrze. Co dalej?

— Więc potem ruszyłem dalej korytarzem i pierwsza garderoba to była właśnie pana Vincy. Zobaczyłem światło przez dziurkę od klucza i chociaż Gullins nie powiedział mi, że pan Vincy jeszcze jest, to jednak wolałem zapukać. Przez tych trzydzieści osiem lat w teatrze niejedno się już widziało. Mógł ktoś być u pana Vincy. Aktorzy czasem mają takich spóźnionych gości. Jakieś panie, które przychodzą... Pan wie, proszę pana, to ta atmosfera garderoby teatralnej tak pociąga...

— Tak. Wiem. A co dalej?

— Więc zapukałem. A kiedy nikt nie odpowiedział, zapukałem jeszcze raz. Kiedy nikt i tym razem nie odpowiedział, pochylałem się do dziurki od klucza i zobaczyłem, że klucz tkwi od wewnątrz w zamku. Otworzyłem więc drzwi, bo pomyślałem sobie, że pewnie pan Vincy zapomniał zgasić światło wychodząc.

— Czy były zamknięte na klucz?

— Nie. Nacisnąłem tylko klamkę i otworzyły się. Początkowo myślałem, że pan Vincy śpi, a może nawet wypił trochę za dużo, proszę pana. Nieraz już takie rzeczy widziałem. Wtedy wzywa się taksówkę i razem z szoferem pakuje gościa do auta, żeby zbudził się u siebie w domu.

— Tak. Ale pan Vincy nie spał...

— Właśnie, proszę pana. Więc kiedy podszedłem i zobaczyłem, że ma ten sztylet wbity w serce, struchlałem i zacząłem się trząść, i nie mogłem się ani ruszyć, ani oderwać od niego oczu. Ale potem przemogłem się i podszedłem, żeby zobaczyć, czy żyje. Zmusiłem się, żeby go dotknąć...

— Czego dotykaliście?

— Czoła, proszę pana. Położyłem mu rękę na czole, ale było już zupełnie zimne. Zrozumiałem, że to trup i wtedy włosy mi stanęły dęba. Byłem przecież sam w całym gmachu, a morderca mógł kryć się gdzieś tutaj. Więc wypadłem z gar-

deroby, pobiegłem do portierki, zamknąłem się w niej na klucz i zadzwoniłem do pana dyrektora Davidsona, a potem nie ruszałem się z miejsca aż do przyjazdu policji i pana dyrektora, tylko modliłem się i czekałem. . .

— A czy w ciągu tego czasu morderca, jeżeli był w gmachu, mógł uciec?

— Uciec, proszę pana? — Stary zastanowił się. — W żaden sposób, proszę pana. Teatr został dwa lata temu przebudowany i całe zaplecze sceny jest odgrodzone od widowni ogniotrwałą ścianą. Prowadzą przez nią tylko trzy małe wyjścia z korytarza za kulisy i wąziutki korytarzyk do foyer. Ale one wszystkie mają stałowe drzwi i automatyczne zamki, a po przedstawieniu inspicjent zamyka je i oddaje klucz portierowi, tak że wyjście jest tylko tędy. Okna też są okratowane, jeszcze z czasów, kiedy był tu teatrzyk komediowy, pięćdziesiąt lat temu. . . Pamiętam go jeszcze jako chłopiec. . .

— Chwileczkę. . . — Parker wyszedł na korytarz i Joe usłyszał go mówiącego do Jonesa: — Weźcie ludzi i przeszukajcie cały teatr od strychu do piwnic, żeby sprawdzić, czy morderca nie mógł wyjść albo czy nie ma gdzieś wyłamanego okna lub drzwi.

— Tak jest, szefie!

Parker powrócił do portierki.

— A ten Gullins, wasz kolega, czy nie mógł, na przykład, przepuścić jakiejś obcej osoby, nie zauważywszy jej?

— Nie wiem, proszę pana. Myślę, że nie, bo stąd widać całe schody, proszę pana, a po wyjściu personelu zamyka się drzwi, więc chyba nie.

— A dlaczego miałby zamykać drzwi, jeżeli pan Vincy jeszcze nie wyszedł?

— Właśnie tego to już nie wiem, proszę pana. . . — Stary zawahał się. — Były zamknięte, kiedy przyszedłem. . .

— Czy macie coś jeszcze do powiedzenia? — zapytał szybko Parker.

— Nie, nie, nic. . . — Stary znowu zawahał się. — Nic, proszę pana.

— Pamiętajcie, że tu zamordowano człowieka! — inspektor wstał i podszedł do niego. — Jeżeli dostrzeżliście jakiś drobiazg, nawet najmniejszy, to nie wolno wam go ukrywać, nawet jeżeli zdaje się wam, że nie ma on najmniejszego znaczenia.

— Tak jest, proszę pana — portier wstał szybko i wyprostował się służbiście.

— Siadajcie — Parker położył mu rękę na ramieniu i zmusił go, żeby usiadł. Nie zdejmując ręki, pochylił się nad nim. — Mówcie, Soames, tylko mówcie całą prawdę, bo inaczej możecie zostać pociągnięci do odpowiedzialności za ukrywanie przed policją istotnych dla śledztwa informacji.

— Kiedy, proszę pana. . . To nie jest istotne, bo. . .

— O tym ja będę sądził. Mówcie, proszę,

— Więc, proszę pana, chodzi tylko o to, że Gullinsowi urodziło się wczoraj dziecko. . . W nocy się urodziło. Synek. . . I on całą noc poprzednią nie spał, a potem przyszedł, oczywiście, do pracy. . .

- Tak. I co?
- Więc kiedy ja przyszedłem i zapukałem do drzwi, to nie odpowiedział. Musiałem dzwonić parę razy. Dopiero wtedy się obudził. Ale niech pan nie mówi tego panu dyrektorowi, bo Gullins straciłby pracę... A on... jemu żona trzecie dziecko właśnie urodziła... I to byłoby dla niego straszne.
- Rozumiem. Nikt się o tym nie dowie, kto nie musi się dowiedzieć. Ale jakie to według was ma znaczenie?
- A takie, proszę pana, że to on, William Gullins, miał obowiązek obejść za piętnaście dwunasta wszystkie garderoby i scenę, żeby oddać mi teatr po swoim obchodzie. Taki jest przepis. Jeżeli spał, to znaczy, że nie obszedł. Bo gdyby obszedł, to on by znalazł pana Vincy. Poza tym musiał chyba być senny i nie spojrzał na tabliczkę, boby zobaczył, że brak klucza od jednej garderoby. A jeżeli brakowało tego klucza, to miał obowiązek sprawdzić dlaczego. Wszyscy wychodząc oddają klucze. Klucze od każdej garderoby zawsze oddają garderobiani, bo zostają chwilę po wyjściu aktorów, żeby uporządkować garderobę. Nie wiem, jak to było dzisiaj. Pewnie pan Vincy odprawił Ruffina...
- Kto to jest Ruffin?
- Oliver Ruffin to garderobiany, który obsługiwał w *Krzestach* pana Vincy.
- Aha, to znaczy, że według was Gullins zasnął. A jeżeli zasnął, to różnie mogło się tu dziać. Czy tak?
- Tak, proszę pana... Ale niech pan, proszę pana...
- Możecie być spokojni. Chodzi o wykrycie mordercy, a nie o przekroczenie przepisów przez waszego kolegę, który mógł być przecież zmęczony po nocy, kiedy oczekiwał przyjścia na świat potomka. Nie bójcie się, nic mu nie będzie, jeżeli powie nam całą prawdę. A błędzcie przekonani, że powie. Dyrektor Davidson nie dowie się o tym.
- Dziękuję panu, proszę pana... — Stary człowiek podniósł się z miejsca.
- Czy mam iść, proszę pana, czy zostać do końca mojego dyżuru?
- Parker spojrzał na niego uważnie.
- Czy jesteście żonaci?
- Jestem wdowcem, proszę pana.
- A macie dzieci?
- Dwie córki, proszę pana.
- Czy mieszkają z wami?
- Nie, proszę pana. Jedna i druga wyszły za mąż. Jedna jest w Szkocji, a druga aż w Australii. Jej mąż tam dostał pracę...
- Więc mieszkacie sami?
- Tak, proszę pana.
- Dobrze. Idźcie do domu, ale nie wolno wam słowa nikomu pisać — do jutra, dopóki się tu rano nie zgłosicie. Teraz prześpijcie się trochę. Policja będzie

pilnowała dziś w nocy tego teatru w waszym zastępstwie. — Uśmiechnął się. — Ale pamiętajcie, że jesteście obowiązani do milczenia.

— Tak jest, proszę pana.

— I nie fatygujcie się do Gullinsa, żeby go ostrzec o tym, że policja wie o jego nadmiernej skłonności do snu przy pracy, bo za minutę pojedzie po niego samochód i przegoni was.

Stary człowiek zatrzymał się jak wryty, a potem przez jego pomarszczoną twarz przewinął się cień uśmiechu.

— Ale pan dyrektor Davidson nie dowie się, prawda?

— Powiedziałem wam już.

— No, to mogę iść spokojnie spać i nikomu nie pisnę słowa. Dobranoc panom!

— Dobranoc, Soames!

Portier wyszedł. Przez okienko zajrzała twarz dyżurującego policjanta. Parker potakująco kiwnął głową. Rozległo się pukanie do drzwi.

— To ja, szefie! — powiedział sierżant Jones. — Teatr przeszukany jak stóg siana, ale igły nigdzie nie ma. Wszystkie wejścia i okna w porządku. Oni mają tu nawet instalację alarmową, także nie naruszona. Morderca musiał wyjść tędy, tymi drzwiami.

— Dobrze. Niech ktoś pojedzie natychmiast do dziennego portiera, Williama Gullinsa. . . Adres macie?

— Mamy już adresy całego personelu i wszystkich aktorów. Zaraz odjedzie wóz po niego!

— A kiedy go przywiozą, niech zaczeka na mnie tu w portierce.

— Tak jest, szefie! Parker zwrócił się do Alexa.

— Poznam cię teraz z panem dyrektorem Johnem Davidsonem, władcą absolutnym tego teatru i moim stałym dostawcą miejsc w pierwszych rzędach. Chodźmy.

Wyszli z portierki i ruszyli korytarzem, omijając garderobę Vincy'ego. Spoza nie domkniętych drzwi dochodziły odgłosy krzątania się pracujących ludzi. Słyszając kroki, doktor wychylił się i zawołał:

— Chciałbym go zabrać do siebie i zrobić dokładną sekcję, chociaż wszystko wydaje się jasne.

— Dobrze. Niech go pan bierze. Samobójstwo wykluczone, prawda?

— Wykluczone. Nikt nie jest w stanie zadać sobie tego uderzenia leżąc na wznak. Zamordowany jednym ciosem. Śmierć nastąpiła od razu.

— A kiedy mniej więcej zginął?

— Na oko, między dziewiątą a dziesiątą, ale raczej bliżej dziewiątej niż dziesiątej.

— O godzinie dziewiątej pięćdziesiąt widziałem go jeszcze na scenie. . . — powiedział uprzejmie inspektor — a stojący tuż koło mnie pan Joe Alex widział

go także, nie mówiąc już ośmiuset innych osobach, które możemy wziąć na świadków.

— Naprawdę? — Lekarz uniósł brwi. — W takim razie musiał oczywiście umrzeć później. Ale nie później niż o dziesiątej, przy czym i ten czas wydaje mi się trochę nieprawdopodobny. W mięśniach głowy rozpoczyna się już stężenie pośmiertne, a przecież... — spojrzął na zegarek — jest dopiero za piętnaście pierwsza.

— To już pańskie królestwo, doktorze... — Parker uniósł ręce obronnym ruchem. — Czekamy na pańską diagnozę. Chciałbym poznać jak najszybciej przybliżony czas chwili zgonu.

— W takim razie muszę go zaraz zabrać, kiedy tylko skończą te zdjęcia.

— Dobrze, niech go pan bierze. Czekam na pana telefon.

Lekarz pokręcił głową i wrócił do pokoju. Parker i Alex ruszyli dalej. Kiedy doszli do końca korytarza, inspektor przystanął. Przed nimi biegł w poprzek drugi, szeroki korytarz, stykający się najprawdopodobniej jedną ścianą ze sceną, bo było w nim widoczne tylko czworo wąskich, stalowych drzwi zaopatrzonych w napisy: CISZA! Po przeciwnej stronie nie było żadnych drzwi, tylko w odległości kilku kroków drugi korytarzyk, równoległy do tego, którym przyszli.

— Dobrze zbudowany teatr — powiedział Alex — żadne drzwi nie wychodzą na ścianę, za którą jest scena. W ten sposób ogranicza się do minimum ewentualny odgłos trzaskania i głosów ludzkich.

Ruszyli dalej. Drugi korytarzyk, który minęli, miał po trzy pary drzwi z każdej strony. Potem znów była naga ściana, a wreszcie otwarte drzwi z napisem: GARDEROBY PIERWSZEGO PIĘTRA DYREKCJA BUFET. Stał w nich detektyw po cywilnemu, który wyprężył się na widok Parkera. Za tymi drzwiami rozpoczynały się strome schody na piętro. Po wejściu na schody minęli bufet, ciemny i połyskujący w mroku, potem jeszcze kilkoro drzwi, aż wreszcie znaleźli się przed ostatnimi, zaopatrzonymi napisem: DYREKCJA. Parker zapukał i nie czekając odpowiedzi, uchylił je.

— Proszę, wejdźcie, panowie! Proszę bardzo... — Dyrektor Davidson był wysokim, śniadym mężczyzną o wąskiej, nerwowej twarzy. Zerwał się zza biurka i podszedł do Parkera z wyciągniętą ręką, a potem spojrzął na Alexa.

— To jest pan Joe Alex, znany autor powieści kryminalnych, a mój nieoficjalny współpracownik — powiedział Parker szczerze.

— Któż by pana nie znał! — dyrektor Davidson serdecznie potrząsnął dłonią Alexa. — Czytałem chyba wszystkie pańskie książki! Zawsze twierdzę, że dla ludzi interesu dobra książka kryminalna to więcej niż urlop. Można kilka godzin wypocząć i zacząć myśleć o czymś innym, a nie tylko o — tych przeklętych interesach... — Zwrócił się do Parkera: — Mój Boże! — powiedział. — Mój Boże wielki! Co pan na to, panie inspektorze?

— Co ja na to? — Parker rozłożył ręce swoim ulubionym, bezradnym ruchem. — Chciałbym przede wszystkim dowiedzieć się od pana, co pan myśli o tym wszystkim. Z racji pańskiego stanowiska wszystkie sprawy teatru ogniskują się na tym biurku. Czy nie mógłby nam pan szkicowo nakreślić sylwetki zmarłego, jego stosunku do kolegów, ostatnich wydarzeń tutaj i tak dalej. Może miał wrogów? Może stało się coś, co mogłoby rzucić pewne światło na sprawę? Zanim przystąpię do przesłuchiwania aktorów i personelu technicznego, chciałbym, żeby nam pan opowiedział, co pan myśli o tym wszystkim.

— Co ja o tym myślę? — Dyrektor odruchowo wskazał im głębokie, obite skórą fotele i podsunął pudełko z cygarami. Potem potarł ręką brodę. — Szczerze mówiąc, myślę o tym bez przerwy od godziny, to znaczy od chwili, kiedy Soames do mnie zadzwonił. . . Czy Vincy miał wrogów? Miał! Szczerze mówiąc, Stefan Vincy był zniechęcony przez wszystkich i znam kilka osób, które mogłyby go chyba zamordować z zimną krwią. Jeszcze dziś rano ja sam miałem ochotę zrzucić go ze schodów. . . — urwał. — To straszne tak mówić o zmarłych!

— Jeszcze straszniejsze jest nie mówić o zmarłym, „kiedy morderca znajduje się na wolności, a działanie policji zależne jest od jak największej ilości zebranych informacji — powiedział sucho Parker. — Niech pan nam w skrócie opowie wszystko to, co pana zdaniem może być istotne: niech pan nam nakreśli sylwetkę Stefana Vincy na tle jego pracy i stosunków z ludźmi w tym teatrze.

Pan Davidson zastanawiał się przez chwilę. Później zaczął mówić. . .

Rozdział 5

Opowiadanie dyrektora Davidsona

Mam do opowiedzenia i bardzo wiele, i bardzo niewiele. Nic, co w moim przekonaniu mogłoby rzucić jakieś światło na osobę zabójcy, ale bardzo wiele o samym Vincym i jego stosunkach z ludźmi.

— Może najpierw spróbuje nam pan określić jego sylwetkę psychiczną, dobrze? — powiedział cicho Parker. — Chciałbym mieć to jakoś ułożone... — uśmiechnął się przeproszająco. — Chcę wiedzieć najpierw, jakim był człowiekiem, później, jakie ma pan informacje o jego życiu osobistym, a wreszcie, jak układały się jego stosunki z zespołem i dyrekcją teatru, tu na miejscu, zgoda?

— Dobrze. Więc zacznijmy od pierwszego punktu: Jaka była sylwetka psychiczna Stefana Vincy... — Dyrektor zastanawiał się przez chwilę. — Bardzo trudno na to odpowiedzieć. Nie wiem, czy posiadał on to, co nazywamy zdecydowaną sylwetką psychiczną, to znaczy jakiś uformowany, niezmienny charakter, chociaż powinien być już go mieć, bo właśnie dobiegał pięćdziesiątki. Był bardzo zaradkowy, nawet pyszny, ale to jest wspólna cecha wielu aktorów, raczej cecha zawodowa niż osobista. Wynika ona z konieczności samoobrony. Człowiek nieustannie konfrontowany z setkami widzów, których łaskę pragnie sobie ciągle od nowa zaskarbiać przez całe życie, musi wierzyć w to, że jest więcej wart niż inni, że jest niezastąpiony i niepowtarzalny jako zjawisko. Tylko najinteligentniejsi aktorzy wiedzą o swoich brakach, chociaż i oni niechętnie przyznają się do tego. Ale Vincy nie był inteligentny w ogólnie przyjętym tego słowa znaczeniu. Był sprytny po aktorsku, umiał rozmawiać z ludźmi, był czarujący, kiedy chciał zyskać sobie kogoś. Ale wydaje mi się, że posądzenie go o jakąś głębię byłoby błędem. Szczerze mówiąc, uważałem go za człowieka bardzo ograniczonego. Nie miał także tego, co nazywamy etyką postępowania. To, co mogło mu przynieść korzyść, było najważniejsze i gotów był zawsze popełnić każde świństwo dla poprawienia swej sytuacji. Wiem, że kilkanaście lat temu był bohaterem jakiegoś, zatuszowanego zresztą, skandalu karcianego. Oszukiwał przy pokerze i złapano go na gorącym uczynku. Wiem także, że utrzymywała go żona pewnego bardzo

bogatego człowieka, z którą żył tylko dla pieniędzy. Dawała mu nawet duże sumy, ale przepuścił je, tak jak przepuścił otrzymanego od niej rolls-royce'a i willę pod miastem. Ale to też dawne czasy. Działo się to około dziesięciu lat temu. Najgorsze w tej aferze było to, że Vincy głośno rozpowiadał każdemu, kto chciał i kto nie chciał, o tym, że jest taka pani i kim ona jest. Prawdopodobnie sądził, że składa ona w ten sposób pewnego rodzaju hołd jego urodzie i jego sztuce aktorskiej. Był zresztą bardzo zdolny, to pewne. Ale nie genialny. Nigdy nie został naprawdę wielkim aktorem. Myślę, że na przeszkodzie temu stała właśnie jego próżność i nieumiejętność podporządkowania się dobrym, myślącym reżyserom. Był aktorem starej daty, o wiele starszej niż jego metryka urodzenia. Należał do kategorii owych dziewiętnastowiecznych gwiazdorów, dla których nieważny był autor sztuki i jej tekst, nieważni byli partnerzy i całość przedstawienia oraz jego myśl przewodnia, ale tylko ich sylwetka na scenie. Był niesłychanie wrażliwy na najmniejsze wycofywanie go na drugi plan w czasie jakiejś sceny, w której wysunięcie go byłoby nonsensem. Nie dawał się naginać do koncepcji reżyserskich, co w drugiej połowie dwudziestego wieku musi w końcu wykluczyć aktora poza nawias wielkich spektakli, bo nikt nie chce mieć postaci wyłamujących się z ogólnego planu i uniemożliwiających harmonijne prowadzenie prób. Dlatego może nie znalazł się w żadnym z wielkich teatrów i nigdy nie przejdzie do historii sceny angielskiej, chociaż, być może, miał do tego pewne przyrodzone prawo z racji swego jednak nieprzeciętnego talentu. W *Krzyształach* był znakomity, chociaż gdyby zapytał pan Darcy'ego, ile się z nim namęczył, mógłby panu opowiedzieć całe tomy. Cała koncepcja tej roli to Darcy, nie on. Ale powracając do jego sylwetki psychicznej myślę, że to był człowiek słaby, ograniczony i pozbawiony skrupułów. Równocześnie posiadał wiele uroku osobistego, szczególnie dla kobiet, które bardzo wiele mu w życiu pomogły i, jak myślę, zaszkodziły, psując go... Skandali i skandalików z kobietami miał zupełnie niezliczoną ilość.

— Tak — Parker zastanowił się. — Czy sądzi pan, że mógł on mieć jakieś kontakty ze światem przestępczym?

— Chyba nie. Nie sądzę. Nie miał do tego żadnego powodu. Chociaż... Ale i to nie jest żadna poszlaka...

— Co? — zapytał inspektor.

— Ostatnio, to znaczy mniej więcej od tygodnia, Vincy zaczął zachowywać się zupełnie zdumiewająco, nawet jak na niego. Ludziom wydawało się początkowo, że zwariował. Zaczął mówić wszem i wobec, i każdemu z osobna, że ma zamiar założyć własną wytwórnię filmową, gdzie nareszcie zdoła ukazać się światu jak Laurence Olivier. Na pytania, skąd weźmie pieniądze na takie przedsięwzięcie, uśmiechał się tajemniczo i wruszał ramionami mówiąc, że to głupstwo. Oczywiście, kiedy mi o tym doniesiono (bo, jak panowie wiecie, w teatrze dyrektorowi zawsze o wszystkim doniosą), roześmiałem się. Nikt lepiej niż ja nie znał jego dochodów. Muszę być zorientowany w tych rzeczach, bo ciągle mam do czynie-

nia z aktorami i muszę wiedzieć, ile który z nich jest „wart”, jak to się mówi. Ale Vincy zmieniał się z dnia na dzień, aż wreszcie przyszedł do mnie dziś rano tu do gabinetu i zachowując się niesłychanie pogardliwie, zarówno wobec mnie samego, jak i wobec idei Chamber Theatre, który, jak panowie wiecie, służy wyłącznie sztuce nowoczesnej i jej propagowaniu, zażądał jakiejś astronomicznej sumy za granie, mówiąc, że w obecnych warunkach gra za mniejsze pieniądze w podobnie nonsensownych bzdurach nie interesuje go. W przeciwnym wypadku groził zerwaniem kontraktu. Przełknąłem gniew, choć jego zachowanie było zupełnie idiotyczne, i spokojnie powiedziałem mu, że ma prawo zerwać kontrakt z teatrem, ma prawo odejść, nawet od jutra, ale oczywiście musi pokryć wszystkie straty, co wyniesie wielką sumę, gdyż zażądam od niego zwrotu kosztów za przygotowanie sztuki i opłacenie wszystkich aktorów, personelu technicznego itd. oraz za konieczny przestój do chwili znalezienia odpowiedniego zastępcy i wprowadzenia go w rolę. Jednak po rozpoczęciu sezonu i podpisaniu kontraktów we wszystkich teatrach nie będzie to oczywiście taką prostą sprawą. Teraz zresztą, kiedy zginął, będzie się bardzo nad tym od chwili, kiedy doszła mnie ta straszna wiadomość. Aktorzy są przesądni. Może się nie znaleźć nikt, kto będzie chciał wejść w rolę zamordowanego kolegi. . .

— Tak. Oczywiście. . . — Parker chrząknął.

— Przepraszam! Odbiegłem od tematu. Otóż po tej mojej odpowiedzi zreflektował się trochę, ale mimo to wymówił pracę w naszym zespole i stwierdził, że po wygraniu *Krzesel* będzie się uważał za zwolnionego ze współpracy z nami, do czego miał zresztą, na podstawie kontraktu, oczywiste prawo i czego nie musiał mi w ogóle mówić. Ale to nie były jedyne symptomy tego, co zespół początkowo kwitował stukając się w czoło za jego plecami, a w co po paru dniach wszyscy uwierzyli, nie wyłączając mnie. Przecież aktor nigdy nie wymawia pracy, i to takim tonem, dyrektorowi teatru, jeżeli nie widzi przed sobą o wiele lepszych perspektyw. Zrobiłem więc dyskretny wywiad, ale mogę stwierdzić z całą pewnością, że żadna wytwórnia filmowa ani żaden z teatrów nie podjęły z nim żadnych rozmów. Rzecz jest wobec tego zupełnie niezrozumiała dla mnie. Nie wiem, skąd chciał wziąć owe fundusze. Na pewno nie ze swego aktorstwa ani z żadnych zysków z tym związanych. . .

— A czy manifestował to swoje przyszłe bogactwo, czy też owe piękne perspektywy, jeszcze w jakiś sposób? — zapytał inspektor.

— Ależ tak! W teatrze sytuacja już od dawna stała się bardzo napięta. Ewa Faraday była, aż do chwili poznania Vincy’ego, nieomal narzeczoną Henryka Darcy, który odkrył ją w jednym z zespołów amatorskich i zrobił z niej aktorkę. Potem jednak musiała się zakochać w Vincym albo po prostu zawrócił jej w głowie, bo zerwała z Henrykiem i zaczęła przebywać tylko w towarzystwie Vincy’ego. Stało się to w kilkanaście dni po rozpoczęciu prób *„Krzesel”*, przed trzema miesiącami. Ten człowiek miał ogromny wpływ na kobiety. Chyba go pokochała jednak,

bo Henryk to przecież jeden z najlepszych i najzdolniejszych ludzi, jakich mamy w teatrze. Gdyby wyszła za niego, byłaby szczęśliwa i sławna. Ale kto może zrozumieć kobietę? W każdym razie Darcy nie mrugnął nawet okiem, jak się to mówi, chociaż musiał ich oboje codziennie spotykać, bo los tak chciał, że grali akurat w sztuce, gdzie występuje tylko dwoje aktorów. Darcy reżyseruje tę sztukę, a poza tym występuje w drobnym epizodzie Mówcy. Musiał być z nimi bez przerwy, dyskutować z nimi, ustawiać ich, spotykać ich dwa razy dziennie... Ale nie takie rzeczy widziałem już w teatrze! Dla Ewy nadal był najserdeczniejszy. Zapewne kocha ją jeszcze. Ale ona świata nie widziała poza tamtym. Podobno Vincy mówił jej, że się z nią ożeni, że chce z nią założyć ognisko rodzinne i ustakować się wreszcie. Zresztą, kto może wiedzieć, co jej mówił, co obiecywał i jak na nią działał? Myślę, że przyszedł na świat z tą straszną cechą, jaką ma lep na muchy. Kobiety lgnęły do niego, a potem nie mogły się oderwać. A on rzucał je bez wahania, jeżeli tylko mu się sprzykrzyły albo jeśli przestawał ich potrzebować. To samo stało się z Ewą. Przed kilku dniami doszło pomiędzy nimi do wielkiej awantury w teatrze. To znaczy Ewa nie brała jak gdyby udziału w tej awanturze, tylko on, Vincy. Krzyczał na nią i wymyślał jej od ostatnich, że czepia się go, że krępuje mu życie, że nie ma do niego żadnego prawa, że jest mu kulą u nogi. Stało się to w dzień czy dwa potem, jak zaczął rozpuszczać pogłoski o swojej fortunie. Widocznie uznał, że małżeństwo z młodą, znaną już, ale nie najslawniejszą aktorką nie ma dla niego teraz żadnego sensu. Był pełen fantastycznych projektów, w których nie mogła ona odgrywać żadnej roli... Po tej awanturze zerwał z nią i nie odzywał się do niej słowem poza sceną. Na scenie zachowywał się tak, jakby miał do czynienia ze zmiłą. Zresztą w czasie tej awantury doszło do innego jeszcze incydentu. Kiedy Vincy podniósł głos krzycząc na Ewę, Darcy'ego nie było jeszcze w teatrze. Myślę zresztą, że wybrał sobie ten moment. Chciał ją upokorzyć publicznie i nie dostać równocześnie po zębach. Bo Darcy na pewno nie pozwoliłby Vincy'emu tak się zachować wobec niej, bez względu na to, czy rzuciła go dla Vincy'ego, czy nie... Otóż mamy w teatrze inspicjenta, nazwiskiem Jack Sawyer, który jest młodym, dosyć wątłym chłopcem, studentem dorabiającym u nas, żeby móc ukończyć studia medyczne. Inspicjent znajdował się wtedy niedaleko i kiedy Vincy użył wobec Ewy jakiegoś nieparlamentarnego określenia, podszedł do niego i powiedział, że mężczyzna nie ma prawa zachowywać się w ten sposób wobec kobiety. Trzeba panom wiedzieć, że dla Stefana Vincy personel teatru w ogóle nie zaliczał się do ludzi. Traktował ich tak jak pan feudalny swoich poddanych, a prawdopodobnie o wiele gorzej, bo nie dostrzegał ich w ogóle. Vincy i Henryk Darcy są wysokimi, roslymi mężczyznami, ale ten inspicjent to mizerek. Więc, nie namyślając się, Vincy uderzył go w twarz. Spoliczkowany chłopiec porwał za toporek, który strażak położył na stołku w korytarzu, i byłby go może nim uderzył, gdyby nie wmieszali się inni, którzy zdążyli nadbiec. Oczywiście cała sprawa mogła skończyć się bardzo brzydko dla Vincy'ego,

ale na moją prośbę Sawyer dał się przeprosić Vincy'emu, któremu zagroziłem, że może dostać się za to do więzienia na przeciąg kilku miesięcy. Oczywiście nie poszedłby do więzienia, ale otrzymałby grzywnę. Chciałem jakoś to załagodzić. W teatrze takie spory i kłótnie szalenie utrudniają pracę i odbijają się od razu na grze zespołu i przebiegu całego spektaklu. Ale to nie był koniec. Ewa oczywiście zemdląca wtedy i trzeba ją było pół godziny cucić, a potem dostała ataku płaczu, w związku z czym przedstawienie rozpoczęło się z piętnastominutowym opóźnieniem. A kiedy przyszedł Darcy, który występuje dopiero pod koniec drugiej odsłony, i dowiedział się od razu o tym, co się stało, wszedł w przerwie do garderoby Vincy'ego i zapowiedział mu spokojnie, że jeśli jeszcze raz powie chociaż jedno nieuprzejme słowo do Ewy Faraday, wówczas zabije go jak psa. Potem wyszedł, nie czekając na odpowiedź. Garderobiany Ruffin, który był przy tym, bo stale musi przebywać podczas spektaklu w garderobie Vincy'ego, chociaż boi się go jak ognia, bo ten ostatni traktuje Ruffina obrzydliwie, opowiedział mi, że Vincy zbladł jak papier i przez dłuższą chwilę trząsł się najwyraźniej ze strachu, a dopiero zapowiedź przez megafon oznajmiająca koniec przerwy i wejście na plan zmusiły go do otrząśnięcia się z tego wrażenia. Natychmiast potem przeprosił formalnie Ewę, ale stosunki między nimi zostały raz, i jak się okazuje, na zawsze zerwane...

— Tak... — Parker zanotował coś w notesie i podniósł się z krzesła. — Dziękuję panu bardzo, panie dyrektorze. To, co pan nam opowiedział, jest w każdym razie niesłychanie ciekawe. Otwiera pole do wielu domysłów, których chciałbym się, oczywiście, wystrzegać... — Urwał. — Jest noc — powiedział niepewnie — czy nie sądzi pan, że należy się panu trochę snu? W najbliższych godzinach nie będziemy pana prawdopodobnie potrzebowali, aż do rana. Gdyby wynikło coś niespodziewanego, będę musiał z przykrością obudzić pana telefonem. Ale przypuszczam, że nic takiego się chyba nie zdarzy w ciągu nocy...

— Mogę zanocować tu — powiedział pan Davidson. — Często nocuję tu, kiedy mam wiele roboty albo kiedy trwają generalne próby z długimi przerwami. Mam kanapkę, na której łapię trochę snu, a dyżurny portier budzi mnie telefonicznie.

— Jak pan sobie życzy, panie dyrektorze. Tylko jedna prośba, proszę nadal nikogo nie zawiadamiać o wypadku. Jutro i tak prasa musi się o tym dowiedzieć, ale im później reporterzy się do nas dobiorą, tym lepiej. Zawiesza pan, oczywiście, przedstawienia?

— „Krzeseł” tak. Ale mamy drugą sztukę, gotową prawie zupełnie, która była przygotowywana równoległe z „Krzestami”, bo zupełnie nie wiedziałem, jaki może być oddźwięk u publiczności. Takie sztuki potrafią albo robić ogromne kasy, albo paść po dwu spektaklach. Ta miała ogromne powodzenie...

— I sądzę, że teraz będzie miała jeszcze większe... — powiedział Parker — o ile znam ludzi.

— I ja tak sądzę — pan Davidson pokiwał głową — chociaż w teatrze nigdy niczego nie można przewidzieć...

— ...jak o tym świadczy dzisiejsza noc — zakończył inspektor z ponurym humorem. — I jeszcze jedno, panie dyrektorze. Dla formalności chciałbym wiedzieć, jak pan spędził dzisiejszy wieczór.

— Ja? No, tak, oczywiście. Byłem na przyjęciu u Lorda Majora. Przyjęcie trwało od piątej po południu i przeciągnęło się aż do jedenastej... Później wróciłem do domu z dwoma przyjaciółmi... To było przyjęcie dla dyrektorów teatrów... Kontakt rady miejskiej z ludźmi sztuki. Dyrektor Beetle Theatre i Teatru Burleski wypili jeszcze u mnie po szklaneczce, a potem odjechali na pięć minut przedtem, nim zadzwonił stąd do mnie pański podwładny. Na szczęście, bo nie powstrzymałbym się chyba od powiedzenia im o tej nowinie i cały Londyn hucałby już teraz, a reporterzy szturmowałiby do drzwi na dole. Z przerażeniem myślę o tym, na ile pytań będę musiał odpowiedzieć jutro...

— I ja! — westchnął Parker. — Ale ludzie chcą czytać gazety, a gazety chcą podawać ostatnie wiadomości. Na to nie ma rady. Dziękuję panu jeszcze raz, panie dyrektorze. Więc zostaje pan tutaj?

— Tak. Będę przez cały czas u siebie, żeby panom nie przeszkadzać. Ale nie wiem, czy zasną...

— W każdym razie niech pan spróbuje — powiedział inspektor Benjamin Parker i wycofał się z pokoju, a Joe Alex za nim.

Rozdział 6

Ta pani weszła piętnaście po dziesiątej...

Na schodach Parker zatrzymał się chwilę.

— Nic jeszcze nie mów, Joe. Ta sprawa może okazać się trudniejsza, niż myślałem. Nic jeszcze nie wiemy...

— Nie miałem zamiaru nic mówić... — mruknął Alex. — Jestem po całym dniu spędzonym w samochodzie, w teatrze i w restauracji. Wstałem o siódmej rano. Teraz jest pierwsza. Czy sądzisz, że w tych okolicznościach muszę koniecznie być gadatliwy? Zresztą czy byłem kiedykolwiek gadatliwy?

Parker uśmiechnął się.

— Nie. Nigdy nie byłeś. To prawda. Chociaż trudno cię nazwać mrukiem. Ale czy naprawdę chcesz teraz wrócić do domu?

— Za nic w świecie! Tego przecież nie powiedziałem.

— Dobrze! — Ruszyli dalej w dół. Znali się od wielu lat i razem przebyli wojnę na pokładzie brytyjskiego bombowca. Był kiedyś czas, że wydawali się sobie bliźsi niż bracia. Alex wiedział, że pomimo uśmiechu inspektor jest strapiony.

— Teraz przesłucham tego dziennego portiera, a potem następnych, jeżeli on nic nam nie wniesie. Ale mam wrażenie, że powinien coś wniesić. Jeżeli zabójca mógł dostać się i wyjść tylko obok jego okienka... Ale zaczekajmy...

Na głównym korytarzu za sceną spotkali sierżanta Jonesa.

— Przywieźli już tego portiera, szefie!

— Williama Gullinsa?

— Tak, szefie! Jest na portierce. Pilnuje go policjant. Trzęsie się cały, bo żona leży w szpitalu. Urodziła właśnie, dziecko. On tam płacze, szefie. Dlatego szedłem do pana, bo nie wiadomo, co z nim robić.

— Zaraz przestanie płakać — mruknął Parker i przyspieszył kroku. Na ich widok policjant w portierce, który stał pochylony nad łkającym rozpaczliwie człowiekiem, wyprostował się służbiście, ale równocześnie zrobił taką minę, jakby

nie wiedział, co począć z tym zdumiewającym stworzeniem, które siedziało na krzeselku ukrywając głowę w dłoniach. Inspektor znowu dał znak policjantowi, kazał mu odejść, a kiedy drzwi zamknęły się za nim, pochylił się i powiedział spokojnie:

— Gullins, zostaliście wezwani tutaj, żeby można was było przesłuchać w sprawie popełnionego morderstwa. Jeżeli popełniliście to morderstwo, macie zupełną słuszność opłakując swój los. Jeżeli natomiast nie popełniliście go, marnujecie tylko nasz czas i swój. Po przesłuchaniu chcę was odesłać samochodem do domu. Mężczyzna powinien być w domu przy dzieciach, kiedy żona leży w szpitalu. No, ale przede wszystkim bądźcie mężczyzną!

Jak za zaklęciem różdżki czarodziejskiej człowiek siedzący na krzeselku uniósł głowę i opuścił ręce. Twarz miał zalaną łzami, ale nie malowała się na niej rozpacz, tylko bezbrzeżne zdumienie.

— Morderstwo?... — wyszeptał. — Jak to, o mój Boże?... Więc nie okradli teatru? Więc nie okradli?...

— Nie! — powiedział Parker stanowczo i usiadł naprzeciw niego. — Nie okradli teatru, kiedy usnęliście na służbie. Kiedy przyjechała po was policja i nie chciała z wami o niczym rozmawiać, tylko kazała wam zabierać się z nimi, byliście przekonani, że tak się właśnie stało i że pociągną was do odpowiedzialności za zaniedbanie obowiązków albo będą podejrzewać o spółkę ze złodziejami. Nic z tego, Gullins! Między godziną dziesiątą a dziesiątą trzydzieści zamordowany został w swojej garderobie aktor Stefan Vincy i chcemy usłyszeć wasze jak najdokładniejsze zeznanie na temat tego, co robiliście i co dostrzeżliście tego wieczoru.

— Pan Vincy zamordowany!... — powiedział Gullins. — Pan Vincy! A ja byłem tutaj, za ścianą... O Boże... Czy pan powiedział: między dziesiątą a dziesiątą trzydzieści?!

— Tak. Tak powiedziałem.

— Więc to ona!

— Co za ona? — spytał szybko inspektor, pochyliwszy się ku przodowi.

— Ta... ta pani, która przyszła kwadrans po dziesiątej i była tam kilka minut, a potem wyszła.

— Więc była tu jakaś pani o tej porze?

— Tak... Pan Vincy zapowiedział, że ona przyjdzie, więc wpuściłem ją. To nie była pierwsza, którą tak wpuszczałem... Ale ta była starsza niż inne... Niż tamte wszystkie...

— Ile mogła mieć lat?

— Może czterdzieści? A może nawet więcej? Ale z tymi zamożnymi paniami to nie wiadomo. Tak dobrze są utrzymane, że czasem wyglądają młodziej...

— Bardzo słusznie. A jak była ubrana?

— Miała na sobie czarny, cienki płaszcz i mały kapelusz, taki modny, półokrągły, szary... I, zdaje się, pantofle na bardzo wysokich obcasach... Ale ona sama nie była wysoka...

— Poznalibyście ją, gdybyście ją zobaczyli?

— Chyba... chyba tak, proszę pana.

— Dobrze. A nie uderzyło was w niej nic? W jej stroju, może w zachowaniu?

— Była jakby trochę speszona... Ale nie zwróciłem na nią uwagi, bo przecież to nie była osoba z teatru, a obcy ludzie często zachowują, się nieśmiało za kulisami, proszę pana.

— Tak. I nic więcej nie możecie o niej powiedzieć?

— Chyba nic, proszę pana... Aha! Jedno może, ale to pewnie nie ma znaczenia... Te panie to zawsze mają do wieczorowych strojów takie małe piękne torebki albo z lamy złotej, albo ze srebrnej nitki, albo inne, ale zawsze takie małeńkie. Moja żona kiedyś zwróciła mi na to uwagę, kiedy tu siedziała u mnie, że to musi być piękne życie nie nosić w torebce niczego, tylko puder, szminkę i chusteczkę...

— Dobrze. Wasza żona ma słuszność, to musi być o wiele wygodniejsze życie. Ale co z tą panią?

— Właśnie, proszę pana. Ta pani miała dużą, pakowną torebkę, zupełnie inną niż one wszystkie mają do wieczorowych sukien. Trzymała ją nisko i nie zauważyłem tego przy okienku. Ale wyjrzałem za nią, kiedy wchodziła po schodach, i wtedy ją zobaczyłem. Nie pomyślałem sobie o tym nic wtedy. A ona pewnie miała w niej rewolwer.

Parker spojrzał przeciągle na Alexa, który przed chwilą gwizdnął cicho przez zęby.

— Pan Vincy zamordowany został sztyletem... — mruknął inspektor.

— To pewnie miała tam ten sztylet, proszę pana. Ale czy ja mogłem o tym pomyśleć?

— Nie. Nie mogliście. Co prawda, mogliście potem obejść teatr i wtedy nie płakalibyście tu i nie mielibyście wyrzutów sumienia. Czy jest tu książka telefoniczna?

— Co? — powiedział portier Gullins. — Tak, proszę pana! Jest, oczywiście!

— Zerwał się i podał inspektorowi książkę. Parker podał ją Alexowi.

— Znajdź mi łaskawie numer pana Charlesa Cresswella, dobrze, Joe?

Alex bez słowa kiwnął głową i zaczął przewracać kartki.

— Teraz opowiedzcie mi prędko, jak spędziliście ten wieczór od początku przedstawienia aż do chwili, kiedy obudził was wasz kolega o godzinie za pięć dwunasta.

— Tak jest! — Gullins usiadł i zastanowił się. - Więc kiedy zaczęło się przedstawienie, wszystko było jak zwykle, nikt obcy nie przyszedł. Potem, gdzieś może

dziesięć minut po rozpoczęciu, przyszedł do mnie garderobiany pana Vincy, Oliver Ruffin, i wszedł do portierki. Porozmawialiśmy trochę, bo miał dużo czasu. Pan Vincy odprawił go zaraz potem, kiedy Ruffin ubrał go w kostium, i kazał mu już nie wchodzić do garderoby, bo spodziewa się gościa. Kazał Ruffinowi uprzedzić mnie, że przyjdzie do niego jedna pani i mam ją wpuścić, ale nie wiedział, czy ta pani przyjdzie w przerwie, czy po przedstawieniu. . . Potem była przerwa, Ruffin siedział u mnie w dalszym ciągu. W przerwie przyszedł jeden kwiaciarz z koszem róż dla pana Vincy, Ruffin nie ruszył się ode mnie bo był potrzebny dopiero po końcu przedstawienia, dla rozebrania pana Darcy. Pan Darcy gra w tej sztuce dopiero na samym końcu, ale od — czasu tej awantury między panem Vincy a panną Faraday przychodził przed rozpoczęciem spektaklu i od razu przebierał się. Ma zresztą taki sam kostium jak pan Vincy, tylko bez maski, ale za to występuje w kapeluszu, więc Ruffin nie ma z nim wiele kłopotu. W tych nowoczesnych sztukach, mówi Ruffin, jedno jest dobre, że kostiumy są z byle czego i nie ma żadnych koronek ani tych haftów, jakie były dawniej. Człowiek nie musi się narobić.

Parker spojrzął spod oka na Alexa i otworzył usta, jakby chciał przerwać mówiącemu, ale Joe zrobił prawie niedostrzegalny przeczący ruch głową. W rękę trzymał zamkniętą książkę telefoniczną, przytrzymując palcem jedną stronę. Parker zamknął usta i zwrócił oczy na mówiącego.

— Więc Ruffin siedział u mnie jeszcze trochę po przerwie, a wtedy przyszła siostra żony, która przyjechała akurat pociągiem z Manchesteru, żeby pomóc trochę w domu, bo żona urodziła wczoraj, więc wysłałem do niej depeszę, bo jeszcze dwoje dzieci jest w domu, a ja mam dwanaście godzin służby na dobę, i to w dzień. . . Więc kiedy przyszła z walizką, Ruffin powiedział, że idzie do garderoby panny Faraday, która jest teraz na scenie, i pogada sobie trochę z Susanną.

— Kto to jest Susanna?

— To garderobiana panny Faraday, żona Malcolma Snow, naszego kurtyniarza, wielka gaduła. Cały teatr był ciekaw, jak się też skończy ta afera po awanturze między panną Faraday i panem Vincy, bo przecież panna Faraday przedtem, jak się to mówi, chodziła z panem Darcy. . . Więc Ruffin poszedł pogadać sobie z Susanną, a mnie zostawił z siostrą. Potem skończyło się przedstawienie; bo to nie jest długie przedstawienie, podobno to była nawet jednoaktówka, tylko że pan Darcy zrobił przerwę pośrodku, żeby tych krzeseł mogli więcej wnieść na scenę. Z tymi krzesłami zawsze jest heca, bo trudno je ustawić w takim specjalnym porządku. . . Dwieście pięćdziesiąt krzeseł trzeba ustawić na scenie w czasie przerwy i ludzie sobie ręce obrywają, żeby zdążyć. . . Ale o czym to ja mówiłem? . . . Ano, tak. Więc po końcu przedstawienia wysłałem siostrę taksówką do domu, bo chociaż pieniędzy nie mam za wiele, ale jednak człowiek trochę się boi zostawiać dzieci same w domu. Jedno ma dziesięć lat, niby roztrośniejsze, ale drugie za to ma tylko cztery, i same się muszą kłaść spać i kolację sobie robić. Więc siostra wsia-

dła w taksówkę i pojechała. A ja czekałem, aż wszyscy wyjdą. Wyszli już prawie wszyscy, kiedy zajrzała ta pani. . . Zapytała, czy jest pan Vincy. Powiedziałem, że jest, więc weszła na górę. Potem chyba nikt już nie wychodził, a ja siedziałem i oczy mi się zaczęły kleić, bo przecież całą poprzednią noc nie spałem, a rano poszedłem do pracy. Pamiętam, że ta pani wyszła, a ja już byłem taki śpiący, że zamknąłem za nią drzwi i trzymając klucz w ręce usiadłem przy okienku i oparłem głowę na łokciu. Pomyślałem, że zdrzemnę się trochę, a kiedy pan Vincy będzie chciał wyjść, obudzi mnie, zerwę się i mu otworzę. No i ledwie zamknąłem oczy, a już zadzwonił do drzwi Soames. Tak mi się przynajmniej zdawało, bo musiałem pewnie spać więcej niż półtorej godziny. Ale przy tych nerwach i przeżyciach poprzedniej nocy to mógłbym spać chyba z pięć dni. . . Teraz mi to minęło. . . — powiedział z lekkim zdumieniem. — Wcale mi się teraz spać nie chce.

— Dobrze. Zachce się wam na pewno — powiedział Parker. — Ale najpierw musicie skończyć wasze opowiadanie.

— No, to chyba koniec mego opowiadania, proszę pana. Soames zadzwonił, a ja byłem taki rozespany, że zupełnie zapomniałem o panu Vincy i o tym, że miałem zrobić obchód teatru przed wyjściem. Zresztą wiedziałem, że Soames to zaraz zrobi, bo to bardzo sumienny człowiek. Poza tym czy człowiek mógł przypuszczać, że w teatrze akurat zdarzy się taka okropność? Więc kiedy przyszedł Soames, poznał pewnie, że spałem, ale nie zdziwił się, bo wszyscy wiedzieli o tym, że mi się syn urodził. Nawet pieniędzy trochę w prezencie dla niego złożył mi cały zespół. . . To bardzo przyjemny teatr, proszę pana, i stosunki tu naprawdę piękne i koleżeńskie. Nikt nie zwraca uwagi, czy ktoś jest pracownikiem fizycznym, czy artystą. Atmosfera jest dobra, można powiedzieć, a nikt z nas się nie spoufala, bo wiemy, że co reżyser albo aktor, to nie portier. Ale każdy jest grzeczny dla każdego. Może jeden pan Vincy był. . . Ale o nieboszczyku nie należy źle mówić. Umarł i co kto do niego miał, musi mu teraz każdy wybaczyć, prawda, proszę pana?

— Na pewno — Parker skinął głową. — Idźcie do domu, Gullins, i wyśpijcie się. Może uda mi się nie zawiadomić pana dyrektora Davidsona o tym, że spaliście na służbie, kiedy to się wydarzyło. Ale pamiętajcie, że następnym razem możecie mieć ogromne kłopoty. Ojciec trojga dzieci musi być bardziej obowiązkowy.

— Dziękuję panu, proszę pana — głos Gullinsa znowu zadrżał niebezpiecznie — właśnie tak ogromnie się martwiłem, że. . .

— W porządku. Idźcie już. . .

— Dobranoc panom. . .

— Dobranoc, dobranoc. . . — Parker dał znak dyżurującemu, który wypuścił Gullinsa drżącego, ale uśmiechniętego niepewnie.

— Co teraz? — zapytał Joe. — Czy pojedziemy do pana Charlesa Cresswella, narzeczonego Anny Dodd? Myślę, że tak.

— I ja tak myślę. — Parker wychylił się i wydał zarządzenia. Po chwili siedzieli już w samochodzie, który ruszył ostro i wpadł w długą, prostą ulicę prowadzącą wśród dwóch szeregów wysokich, starych kamienic. Potem auto skręciło i minawszy dwie czy trzy węższe ulice, przedostało się do dzielnicy willowej. Po chwili zatrzymało się przed tonącym w ciemnościach domem, na pół ukrytym za wysokimi drzewami ogrodu. Furtka była zamknięta. Parker wysiadł i nacisnął dzwonek. Przez chwilę dom nadal był ciemny. Inspektor znowu nacisnął guzik dzwonka, ale równocześnie na parterze domu zapaliło się światło w jednym z okien. Potem w pewnej odległości skrzypnęły lekko drzwi.

— Kto tam? — zapytał jakiś ochrypli, starczy głos.

— Czy zastałem pana Charlesa Cresswella? — zapytał równie głośno Parker.

— Co takiego? — rozległo się powolne człapanie i po chwili na ścieżce rozjaśnionej padającym z okna blaskiem i światłem niedalekiej latarni ukazała się przygarbiona postać w ciemnym, długim szlafroku. — Kto to taki?

Alex zauważył, że na piętrze zapłonęło drugie światło.

— Policja — powiedział Parker, kiedy stary człowiek zbliżył się dostatecznie, aby nie trzeba było do niego zbyt głośno wołać. — Chcemy zobaczyć się z panem Charlesem Cresswellem, jeżeli jest w domu.

— Policja... — Stary człowiek podszedł jeszcze bliżej. Przyjrzał się im uważnie.

— Oto moja legitymacja — Parker wysunął ku niemu przez żelazne sztachety małą, ciemną kartę. Stary człowiek wziął ją do ręki i odczytał jej treść w świetle latarki, którą wysupłał z kieszeni szlafroka.

— Tak... — zawahał się — jak to policja?... — mruknął do siebie jakby z niedowierzaniem. — Nigdy tu jeszcze nie było żadnego policjanta... .

Ale na ścieżce rozległy się inne kroki, szybsze i bardziej zdecydowane.

— Co się tam dzieje, John? — zapytał miody męski głos.

— Jestem inspektorem Scotland Yardu — powiedział ostro Parker — i zwracam panu uwagę, że pełnię w tej chwili moje obowiązki służbowe. Chcę widzieć Charlesa Cresswella, jeżeli jest w domu. Jeżeli go nie ma, proszę nam wyjaśnić... .

— To ja — powiedział młody człowiek i zbliżył się. — Otwórz, Johnie.

Stary człowiek sięgnął po klucz i otworzył furtkę. Przechodząc Parker wyjął mu z ręki swoją legitymację.

— Przepraszam, że musimy pana niepokoić o tej porze nocy — powiedział uprzejmie — ale nastąpił pewien dość dramatyczny wypadek i przypuszczamy, że będzie pan nam mógł udzielić jakichś informacji na ten temat.

— Ja? — Charles Cresswell roześmiał się. Alex zobaczył w mroku dwa rzędy jego białych, równych zębów. — Obawiam się, że to jakaś omyłka. Ale skoro panowie pełnicie swoje funkcje urzędowe, nie zostaje mi nic innego jak... — Usunął się i zapraszającym gestem wskazał prowadzącą ku domowi zwirowaną ścieżkę. Parker ruszył przodem, mając obok siebie gospodarza. Alex szedł za nimi

przez mroczny ogród. Myślał. Tak, teraz to już chyba nie miało najmniejszego znaczenia... Ale właśnie w tej chwili zrozumiał, co trapiło go po wejściu do garderoby zabitego. Czyżby ona zabrała...?

Znaleźli się przed wejściowymi drzwiami i Cresswell wszedł w nie pierwszy, zapalając światło w hallu. Bez słowa wskazał gestem drzwi prowadzące w prawo. Był to niewielki pokój, urządzony częściowo jak gabinet, częściowo jak biblioteka. Alex z przyjemnością spojrzał na piękny gobelin wiszący na ścianie.

— Liege? — zapytał impulsywnie.

— Tak! — Charles Cresswell spojrzał na niego z zainteresowaniem. — Jak na policjanta ma pan dość oryginalne zainteresowania.

Alex chciał wyjaśnić swoją obecność w tym domu, ale Parker uniósł rękę. Usiedli.

— Słucham? — powiedział Cresswell. — Jestem naprawdę i szczerze zdumiony wizytą panów. Nigdy jeszcze nie miałem kontaktu z...

— Miał pan — powiedział uprzejmie Parker — o ile sobie przypominam, odbyłem z panem przed trzema laty rozmowę o Claudiuszu Clavearege, pańskim przyjacielu, który zaplątał się w pewne... hm... sprawy. Nie myślę się, prawda?

— Więc to pan? — Cresswell roześmiał się. — Od razu wydawało mi się, że skądś pana znam! Ale nie przypuszczałem, żeby... Tak, rzeczywiście, rozmawiał pan ze mną przed trzema laty o biednym Claudiuszu.

— Właśnie. Natomiast dziś chciałbym pana poprosić o opowiedzenie nam, jak pan spędził wczorajsze popołudnie i wieczór do chwili obecnej.

— Ja?

— Tak. Istnieją pewne przypuszczenia, że zupełnie nieświadomie stał się pan nieomal świadkiem morderstwa, a w każdym razie może pan wiele wyjaśnić, opowiadając nam przebieg wczorajszego popołudnia i wieczoru. Nie chcę panu więcej sugerować, aby nie wpłynąć na swobodny tok pańskiego opowiadania.

— To wydaje mi się zupełnie niemożliwe... — powiedział Cresswell — przecież wczoraj po południu i wieczorem... — Wzruszył ramionami. — Ale nie budziłby mnie pan chyba o tej godzinie nocy dla żartu, prawda? Więc opowiem panom wszystko, co się wydarzyło. A nie wydarzyło się nic... O czwartej pojechałem do mojej narzeczonej, panny Anny Dodd, i przebywałem u niej do godziny za piętnaście ósma. Niedługo ma się odbyć nasz ślub i omawialiśmy najbanalniejszą na świecie sprawę: trasę naszej podróży poślubnej. Chcemy wyjechać z Anglii na kilka miesięcy i objechać świat dokoła. Ale, jak panowie wiecie, świat można objeżdżać rozmaicie. Spędziliśmy więc ten czas bardzo przyjemnie, oglądając całą masę kolorowych prospektów, które przywiozłem z sobą, i dyskutując bardzo zawzięcie. Potem zjedliśmy coś w rodzaju późnego podwieczorku w towarzystwie pani Angeliki Dodd, matki mojej narzeczonej. Jej mąż jest dosyć poważnie chory, więc nie brał w tym udziału. Zszedł tylko na kawę przed samym naszym wyjazdem do teatru. Pojechaliśmy na *Krzęsta* Ionesco. Po przedstawieniu odwiozłem

Annę do domu, a sam wróciłem bezpośrednio tutaj. Nie chcę bywać teraz sam w nocnych lokalach, a moja narzeczona jest nieco skrępowana chorobą ojca... Wróciłem do domu, zjadłem kolację, wykapałem się i położyłem spać. Obudziła mnie rozmowa w ogrodzie. To wszystko.

— Dziękuję panu bardzo — Parker wstał. — Jeszcze jedno drobne pytanie: Czy był pan w teatrze sam ze swoją narzeczoną?

— Nie — Cresswell uniósł brwi. — Była tam także jej matka.

— Ale użył pan przed chwilą określenia: „odwiozłem Annę do domu”. Trzeba chyba rozumieć pod tym, że odwiózł pan także swoją przyszłą teściową?

— Nie. Pożegnała się z nami po przedstawieniu, mówiąc, że ma jeszcze coś do załatwienia w sąsiedztwie i wróci taksówką. Więc odjechaliśmy sami.

— Raz jeszcze panu dziękuję i bardzo przepraszam za nocne najście — Parker uśmiechnął się. — Wydaje mi się, że wiele mi pan pomógł, chociaż oczywiście nie jestem tego jeszcze pewien. Do widzenia panu, mr Cresswell!

I wyszedł, pozostawiając zdumionego gospodarza na progu pokoju. Milczący Alex wysunął się za przyjaciелеm.

Rozdział 7

Pusta koperta

Kiedy znaleźli się za furką, Parker zatrzymał się z ręką opartą na błotniku samochodu.

— Co byś zrobił na moim miejscu w tej chwili? — zapytał.

— Gdybym był na twoim miejscu, pojechałbym z powrotem do teatru, żeby sprawdzić wyniki badania zwłok, odciski palców i przede wszystkim, żeby dowiedzieć się, co za papier Vincy trzyma w ręce. Poza tym jest jeszcze jedno pytanie, na które chciałbym sobie odpowiedzieć, chociaż nie chciałbym jeszcze o nim teraz mówić.

— A później co byś zrobił?

— Później pojechałbym do pani Angeliki Dodd i zapytałbym ją, co robiła od chwili pożegnania córki i przyszłego zięcia po zakończeniu sztuki „Krzesta” aż do chwili, kiedy powróciła do domu.

— Tak, masz rację. Na moim miejscu zrobię to samo. — Parker uśmiechnął się niewesoło i wsiadł do auta.

Zaledwie ruszyli, zaczął mówić na pół do siebie, na pół do Alexa.

— Wiemy, że o godzinie 10.15 do garderoby Vincy’ego weszła jakaś pani. Doktor podaje chwilowo mniej więcej ten sam czas jako ostateczną granicę chwili zgonu, chociaż kręcił trochę nosem, mówiąc, że to za późno. Ale fakty twierdzą co innego. Wiedza medyczna nie może operować z dokładnością chronometru. Spektakl zaczął się o ósmej, o dziewiątej nastąpiła przerwa, która trwała do dziewiątej piętnaście mniej więcej, potem Vincy znowu wszedł na scenę. O dziesiątej spektakl był skończony. Wiem, bo sam spojrzałem na zegarek. Na ile czasu przed końcem mógł Vincy zejść ze sceny?

— Siedem do ośmiu minut, jak sądzę — odpowiedział Alex trochę roztargnionym głosem.

— Właśnie! Więc mniej więcej o godzinie 9.52 był jeszcze widoczny. Trochę czasu musiało mu zająć przejście do garderoby. Nie został, zabity w drzwiach. Musiał położyć się najpierw i wziąć do ręki ten papier, który za chwilę poznamy.

To razem mogło trwać cztery do pięciu minut. To znaczy, że żył jeszcze o 9.56. Żaden lekarz na świecie nie wmówi we mnie, że może określić po kilku godzinach czas zgonu z dokładnością większą niż pół godziny. Czyli że mógł zginąć nawet o 10.25. — Ale mnie potrzebna jest godzina 10.15. Tu wszystko się zgadza. . .

— Absolutnie. . . — mruknął Alex.

— Właśnie. Absolutnie! Poza tym pani Dodd miała tę dziwną torebkę. Zwróciła przecież na to uwagę panna Beacon. Na szczęście kobiety dostrzegają takie rzeczy. Cresswell nie odwiózł jej do domu. Jakiż, na Boga, interes mogła mieć w tej okolicy poza odwiedzeniem Vincy'ego? Odczekała, aż wyjdą aktorzy i personel, i weszła po kwadransie. Vincy czekał na nią. . .

— A ona go zabiła. . . — mruknął znowu Alex. — Jeżeli dodasz do tego fakt, że Vincy od tygodnia bredził o nadchodzącej wielkiej fortunie, a także drugi fakt, że córka pani Dodd odziedziczyła dwadzieścia pięć milionów, to zawsze możesz wysnuć z tego jeszcze jeden wniosek.

— Już go wysnułem, mój drogi. Vincy najprawdopodobniej szantażował panią Dodd. Nie wiem jeszcze, jakie tło miał ten szantaż. A może był jej kochankiem?

— To także jest możliwe. . . — Alex ziewnął. — Mógł być także kochankiem jej córki, która wychodząc za mąż chciałaby wykupić od niego swoje miłosne listy. Milionerka może wiele zapłacić za takie kompromitujące dokumenty, o wiele więcej niż skromna córka archeologa, którą była jeszcze przed paru tygodniami. Mogła prosić matkę o załatwienie tego. . .

— I to jest możliwe. Bardziej chyba nawet niż tamto pierwsze. A może jest w tym jeszcze jakieś powikłanie, ale jestem przekonany, że nie myłę się, rozumując w ten sposób. Dalej mogło się to odbywać tak, że weszła i widząc okazję, pozbyła się szantażysty, a potem uciekła.

— I to jest możliwe. . . Chociaż zdumiewa mnie jej głupota. Wejść do pustego teatru, zapytać portiera o pana Vincy, stać z nim twarzą w twarz w tym pełnym oświetleniu, a potem zabić. Najwidoczniej pani Dodd wierzyła jeszcze bardziej w głupotę policji niż w swoją własną. Naiwna osoba, która uwierzyła, że przychodząc dość charakterystycznie ubrana, po spektaklu, gdzie ją z tą dziwną torebką widziało zapewne wielu znajomych prócz nas. . . może zabić faceta i rozpląnąć się w londyńskiej mgle, której zresztą nie ma dziś ani na lekarstwo. Ale kto wie, może tak właśnie było?

— Czy wątpisz w to? — zapytał Parker.

— Tak. Wątpię.

— A jakie widzisz inne rozwiązanie? Przecież po jej wejściu nikt już nie wszedł ani nie wyszedł z teatru. Jeżeli ona tego nie zrobiła, mógł to zrobić po niej tylko portier, William Gullins, którego można posądzić o wszystko, ale nie o to, że w dwadzieścia cztery godziny po przyjściu na świat trzeciego dziecka zabawił się w mordercę.

— Vincy mógł być już nieżywy, kiedy weszła. . . — szepnął Alex.

— Więc dlaczego nie wszczęła alarmu? Znajduje trupa i bez słowa wychodzi? Czemu, na miłość boską?

— Jeżeli sprawy mają się tak, jak powiedziałeś na początku, a Vincy szantażował ją lub jej córkę, to myślę, że jego trup z wbitym po rękę sztyltem był dla niej co najmniej przynoszącym ulgę widokiem. Mogła zostać jeszcze kilka minut, poszukując tych listów czy czegokolwiek, co miał jej dać w zamian za to, co niosła w wypchanej torbie. A potem wyszła marząc o tym, żeby nikt nigdy jej nie odnalazł. Ale mogła, oczywiście, go zabić... Chociaż... Tak. Właściwie masz słuszość. Za mną przemawia tylko pewien argument sytuacyjny, a poza tym niewiele jeszcze wiemy. Myślę, że to ona tam była. Trzeba będzie do niej zaraz pojechać. To wszystko jest prawdą. Ale wydaje mi się, że nie ona zabiła, chociaż nie mógłbym na to przysiąc.

— A założyłbyś się?

— Tak. Założyłbym się, że nie ona, i to o grubszą sumę. W tym wypadku stawiam na szalę tylko moje przekonanie i, jak powiedziałem, pewien szczegół sytuacyjny.

— Szkoda, że jestem tylko skromnym inspektorem policji... — powiedział Parker. — Zdaje się, że mógłbym dzisiaj wiele zarobić zakładając się z tobą. Jesteś autorem kryminalnych książek i wydaje ci się, że ludzie mordując działają zawsze absolutnie logicznie. Tymczasem sam fakt zbliżania się takiego czynu albo jego spełnienie powoduje ogromne napięcie nerwowe i wówczas zabójca działa nieskoordynowanie, pozostawiając ślady, których mógłby uniknąć... Mordercy nie są w zasadzie geniuszami. Nie geniusze zajmują się zbrodnią, ale zwykli podli ludzie...

— Obawiam się, że ten zabójca jest inteligentniejszy, niż ci się wydaje.

— Naprawdę?

W blasku mijanych latarni ulicznych Alex dostrzegł, że inspektor patrzy na niego uważnie.

— A czy masz jeszcze jakieś inne rozwiązanie? — zapytał Parker.

— Na razie mam, niestety, dwa... — powiedział Joe. — Rozwiązanie „A” i rozwiązanie „B”.

— Czy pani Dodd jest „A” czy „B”?

— Pani Dodd jest „c”, i to małe „c”, nie wielkie. Cała trudność w tym, że niektóre moje spostrzeżenia pasują do „A”, a niektóre do „B”. Ale ciągle jeszcze tych spostrzeżeń jest za mało. Myślę, że jedna sprawa będzie decydująca... przeszukanie garderoby Vincy’ego.

— Co spodziewasz się tam znaleźć?

— Chodzi o to, czego nie spodziewam się tam znaleźć — Alex w zamyśleniu potarł dłonią czoło. — Ale na razie za mało jeszcze wiemy. Bujam trochę w obłokach. Masz słuszość. Wróćmy do teatru, dowiedzmy się tego, czego się musimy dowiedzieć od lekarza i daktyloskopa, i tego, co musimy wywnioskować z prze-

szukania garderoby i odczytania kartki, którą Vincy miał w ręce. Potem okaże się, czy jestem tylko fantazującym autorem kryminalnych romansów, czy może mam jednak odrobinę słuszności.

— Zadziwiasz mnie... — zaczął Parker głosem, w którym było o wiele mniej pewności niż w chwili, gdy rozpoczynał swój monolog. Auto stanęło i dostrzegł znane już sobie schodki i boczne wejście do Chamber Theatre.

Sierżant Jones siedział na składanym krzeselku w korytarzu przed garderobą zmarłego i palił papierosa.

— Co nowego? — r zapytał Parker.

— Są już odciski daktyloskopijne, szefie. To znaczy, nie ma ich. Na klamce są tylko jedno, tego starego portiera, który wszedł do garderoby o dwunastej... Soamesa. W samej garderobie tylko odciski zabitego i inne, które okazały się odciskami garderobianego Ruffina. Sprowadziłem go tutaj, szefie, żeby zrobić odbitki. Zatrzymałem go, bo pomyślałem, że może będzie pan chciał z nim mówić. Na narzędziu zbrodni nie ma żadnych śladów. Zabójca miał rękawiczki na rękach.

— Dobrze! — mruknął Parker. Zawrócił do portierki i zatelefonował do lekarza.

— Słucham! — odezwał się doktor. — Badam go po raz drugi teraz. Za pół godziny zadzwonię. O której, powiada pan, mógł umrzeć najwcześniej?

— O 9.56 wieczorem.

— W takim razie albo ja jestem lekarzem do niczego, albo pan jest detektywem do niczego, albo moje odczynniki chemiczne są do niczego.

— A o której umarł według pana, doktorze?

— Powiem panu za pół godziny! — Słuchawka opadła na widełki po drugiej stronie przewodu.

— Do diabła — warknął Parker. W krótkich słowach zrelacjonował gawędzącemu z Jonesem Alexowi przebieg rozmowy z lekarzem.

W garderobie Stefana Vincy światła nadal płonęły jak poprzednio. Pierwsze spojrzenie Alexa padło na stojącą pod ścianą kozetkę. Była pusta. Zwłoki wyniesiono. Stefan Vincy już nigdy tu nie powróci i nie zasiądzie przed lustrem, aby wziąć do ręki szminkę...

— O Boże! — westchnął inspektor i podszedł ku drzwiom. — A co z tą kartką, którą trzymał w ręce?

— To nie była kartka... — Jones rozłożył ręce. — To była biała koperta, zupełnie pusta i nie zaadresowana.

— Żadnych odcisków na niej?

— Tylko jego odciski.

— Znakomicie... — mruknął Parker i zamknął drzwi. Odwrócił się. Alex stał przed otwartą szufladą toaletki.

Inspektor podszedł i razem patrzyli na jej zawartość. Były tam kawałki szminek w prostym, drewnianym pudełku, zajęcza łapka pokryta pudrem, bileciki, któ-

re pochodziły z dnia premiery, podpisane kobiecymi imionami. Parker odłożył je na bok. Poza tym prospekty firmy Mercedes-Benz i Cadillac, a prócz nich wiele fotografii Stefana Vincy, zaopatrzonych z góry w autograf. Podpis był nieco manieryczny w estetyce sprzed lat dwudziestu. Trochę pieniędzy: dwanaście funtów banknotami i bilon srebrny. Zapłacony rachunek telefoniczny. Tandetna figurka Buddy z okrągłym brzuszkiem, będąca zapewne jakąś starą maskotką, niespodziewana fotografia wybuchu bomby atomowej w atolu Bikini, klucze: jeden Yale, jeden typowy i trzeci, maleńki, od skrzynki pocztowej. . .

— Wyślę zaraz ludzi do jego mieszkania. . . — mruknął Parker. — O ile, oczywiście, pani Dodd nie przyzna się.

— Kto wie, może się i przyzna? — Alex stał przed wielką szafą, którą otworzył w tej chwili. — Myślę, że nawet na pewno się przyzna. . .

— Tak. Wtedy nie trzeba będzie dalszego śledztwa, chyba tylko dla zebrania dowodów winy. Ale mieszkanie Vincy'ego może jeszcze zaczekać parę godzin. Mamy ważniejsze sprawy.

Podszedł i razem z Alexem zaczął przetrząsać kieszenie ubrania zmarłego. Były w nich tylko nic nie znaczące drobiazgi i kartka wyrwana z notesu, na której nakreślone pismem zmarłego stały pod sobą długie kolumny cyfr:

Kupno budynku — 300.000
Zaliczki dla aktorów i gáže personelu do pierwszego filmu — 1 150.000
Reklama 1 100.000
Kostiumy i dekoracje. . . — 250.000
Nieprzewidziane 1 100.000
Konieczna rezerwa 1 100.000. Razem: milion!

Ta ostatnia liczba była podkreślona kilkakrotnie czerwonym ołówkiem.

Parker uniósł głowę i spojrzał na Alexa.

— Czy widziałeś coś podobnego? On spokojnie na karteczce obliczył sobie, ile go będzie kosztowała wytwórnia filmowa! Milion funtów! Bagatelka!

— Myślę, że miał do tego pewne podstawy. . . — powiedział Alex rozglądając się. Pochylił się i zajrzał do szafy, gdzie stało kilka par butów. Potem położył się na ziemi i zajrzał pod szafę. Wstał i pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć, że tak właśnie przypuszczał. Parker przyglądał mu się z zainteresowaniem, trzymając nadal w ręce kartkę z obliczeniami zmarłego.

— Czego szukasz? — zapytał.

— W tej chwili już niczego. Wydaje mi się, że wszystko wiem. Ale, oczywiście, to może być zupełny nonsens i nie zwracaj na mnie uwagi. Wzięłeś mnie tu, bo sądziłeś, że mogę ci być potrzebny. Będę się starał dyskutować z tobą o wszystkich twoich podejrzeniach, jeżeli uznasz to za stosowne. Ale na razie jesteśmy jeszcze w lesie. Od naszego przyjazdu tutaj minęło niewiele ponad sto

minut. Nikt nie wymaga od ciebie chwywania skrytobójcy w tak krótkim czasie. Brak nam jeszcze tylu danych. Nie przesłuchałeś personelu. Nie byliśmy u pani Dodd. Być może, poszła po prostu do krawcowej, a w tej torebce miała materiał na suknię. Krawcowa wraz z pięcioma pannami pomocnicami może wystawić jej tak kamienne alibi, że nie skruszy go żadne twoje przekonanie. A poza tym, to w końcu mogła być zupełnie inna pani. Wtedy trzeba będzie zaczynać od początku. Niewiele wiemy o narzędziu zbrodni. Myślę, że warto przesłuchać garderobianego. Jeżeli sztylet należał do Vincy'ego, to garderobiany musiał go chyba widzieć kiedyś. Mógł zresztą nie widzieć, jeżeli Vincy przyniósł go wczoraj po raz pierwszy. Ale skąd morderca wziął w takim razie ten sztylet? Dlaczego Vincy leżał, kiedy otrzymał cios? I jeszcze jedno pytanie, na które koniecznie, zdaje się, trzeba będzie odpowiedzieć, a o którym, jak już ci wspomniałem, nie chcę teraz mówić, bo narobiłoby nam ono tylko zamieszania. Co do pani Dodd, to mam swoją prywatną, głupiutką z pozoru koncepcję, która twierdzi, że nie mogła ona zabić. Ale, oczywiście, mogła. To nie jest zupełnie niemożliwe. . .

— Tak. . . — Parker pokiwał głową. Podszedł do stolika i położył na nim papier z obliczeniami zmarłego. Na stoliku leżał już owinięty w białą, płócienną szmatę sztylet, a obok pusta, zmięta koperta, biała i nic nie znacząca. — Tak. Tak i ja myślę. . . — Pokazał Alexowi swój notes. Na ostatniej jego stronie wypisane były wielkimi literami dwa krótkie zdania:

1) Przesłuchać garderobianego Ruffina. . . Sztylet!

2) Pani Dodd: Czy była i dlaczego?

— Oczywiście! — Joe skinął głową — to przede wszystkim. A później musimy pamiętać, co mówił dyrektor Davidson. Vincy był znieawidzony w teatrze. Spoliczkował chłopca, który chciał go potem za to uderzyć toporkiem strażackim. Rzucił koleżankę, którą poprzednio odbił koledze. Zrobił jej karczemną scenę. Pomiatał garderobianym. A ilu rzeczy jeszcze nie wiemy?

— W końcu dowiemy się wszystkiego. — Parker podszedł do drzwi. — Jones!

— Tak, szefie!

— Dawaj tu garderobianego Ruffina!

— Tak, szefie!

Parker zawrócił i usiadł za stolikiem, patrząc w zamyśleniu na pustą kozetkę, obok której kosz czerwonych róż wciąż jeszcze napępiał pokój delikatnym, słodkawym zapachem, podobnym trochę do zapachu krwi.

Rozdział 8

Wiem, gdzie jest ta maska

Garderobiany Oliver Ruffin był niewielkim człowieczkiem o twarzy, którą Alex określił w duchu jako oblicze przerażonej myszy. Wchodząc do garderoby, Ruffin przymknął oczy, a potem otworzył je z wysiłkiem.

— Siadajcie — powiedział Parker i wskazał mu krzeselko przy stoliku. Alex, który stał oparty o zamknięte drzwi, nie poruszył się. Inspektor zaczął przechadzać się wielkimi, powolnymi krokami po pokoju. Nagle zatrzymał się. Podszedł do stolika i odwinął białą szmatę.

— Czy znacie to? — zapytał, pochyliwszy się nad siedzącym i zaglądając mu prosto w oczy.

— Czy znam to? — Ruffin spojrzał na sztylet, a potem wargi zaczęły mu drżeć. — Więc to tym zabito... zabito pana Vincy?

— Nie zadawajcie mi pytań, ale odpowiadajcie na moje pytania — powiedział Parker spokojnie. — W ten sposób prędzej skończymy z przesłuchiowaniem was. Pytałem, czy znacie ten przedmiot.

— Tak... ttak. To jest sztylet pana Vincy. Zawsze trzymał go w szufladzie toaletki... o tam... — nieśmiałym ruchem wskazał toaletkę pod wielkim lustrem.

— Kiedy widzieliście go po raz ostatni?

— Kiedy?... Wczoraj, kiedy robiłem porządki w garderobie. Zawsze po spektaklu odkładałem do szuflady pudełko ze szminkami i wtedy go zobaczyłem.

— Na pewno?

— Na pewno, proszę pana. To jest przecież taki niecodzienny sztylet i trudno go pomylić. Pisze na nim: *Pamiętaj, że masz przyjaciela...* Mój Boże! — Znowu przymknął oczy.

— Czy pan Vincy nigdy nie mówił wam albo przy was komuś innemu, skąd go ma?

— Nie, proszę pana... to znaczy, tak, proszę pana. Raz powiedział przy mnie do panny Faraday, że dostał go od przyjaciela z lat szkolnych. Traktował ten szty-

let jako talizman przynoszący szczęście... Pewnie nie mógł biedaczek przypuszczać, że...

— Na pewno nie mógł. Opowiedzcie nam teraz, Ruffin, co robiliście wczoraj od chwili wejścia do teatru aż do chwili wyjścia z teatru.

— To, co zawsze, proszę pana... To znaczy niezupełnie to, co zawsze, bo wszystko ułożyło się trochę inaczej. Zawsze przychodzę przed aktorami i sprawdzam, czy wszystko jest oczyszczone i uprasowane. W tej sztuce obsługuję pana Vincy i pana Darcy, bo obaj grają bez zmiany kostiumu, a pan Darcy wchodzi tylko na chwilę pod sam koniec sztuki. Mają jednakowe kostiumy, bardzo proste i nie trzeba się wiele przy nich namęczyć. Butów też czyścić nie trzeba, bo obaj chodzą w takich dziwnych bamboszach. Reżyser to tak ułożył, że ten strój to niby ma być pół wojskowy, a pół dziadowski... — Wzruszył ramionami. — Ale publiczności się to podoba... — stwierdził z cichym zdumieniem. Potem, jak gdyby przypominając sobie, czego chce od niego inspektor, dodał prędko: — Więc przyszedłem i najpierw ułożyłem wszystko w garderobie pana Vincy, a potem poszedłem do garderoby pana Darcy i też wszystko przygotowałem. Potem zajrzałem do Susanny Snow, która jest garderobianą panny Faraday. Panna Faraday już była, bo jak wiadomo, aktorki zawsze przychodzą wcześniej niż aktorzy. Pewnie więcej mają roboty z włosami. Nie wszedłem więc, tylko pogadałem chwilę z Susanną na korytarzu i ruszyłem do portierki. Tam pogadałem chwilę z Gullinsem, mówiliśmy o totalizatorze piłkarskim. Człowiek chciałby wygrać coś, a trafić jest bardzo trudno, proszę pana. Gullins też chciałby koniecznie wygrać, bo mu już trzecie dziecko na świat przyszło. Zresztą u nas cały teatr gra, a właśnie był piątek wczoraj, ostatni termin składania kuponów... Więc siedziałem tam i czekałem na pana Vincy i pana Darcy. Pierwszy przyszedł pan Vincy, więc poszedłem za nim do garderoby i pomogłem mu się ubrać. Później kazał mi iść do Gullinsa i zapowiedzieć mu, że czeka na pewną damę, która przyjdzie albo w przerwie, albo po spektaklu. W związku z tym powiedział, że nie będę mu już potrzebny i żebym już nie wchodził do garderoby. Zapytałem tylko, czy mam przyjść po maskę. Bo te maski trzeba po każdym spektaklu przemywać spirytusem. Aktor poci się pod taką maską z nylonu i trzeba ją zaraz po grze przemywać, bo inaczej pot by zasechł i stałaby się chropowata... Ale pan Vincy powiedział, że... — urwał widząc, że inspektor nie patrzy na niego.

Parker zwrócił się ku Alexowi, który stał uśmiechnięty pod drzwiami, nie zmieniwszy poprzedniej pozycji. Inspektor pokiwał głową, jakby litując się nad własnym brakiem spostrzegawczości.

— Czy to jest pytanie, na które chcesz sobie odpowiedzieć? — zapytał półgłosem.

Alex bez słowa skinął głową, nie przestając się uśmiechać. Parker zwrócił się ku Ruffinowi.

— Mówcie dalej.

— Więc zapytałem pana Vincy, czy mam przyjść po spektaklu i przemyć maskę, ale pan Vincy powiedział, że sam ją przemyje i żebym nie ważył mu się tu plątać. Skończyłem więc ubieranie pana Vincy i kiedy wyszedł na scenę, poszedłem do garderoby pana Darcy, który już właśnie przyszedł. Z panem Darcy też mam zawsze niewiele roboty, bo zdejmuje on kostium i wkłada sam. A wstydlawy jest jak kobieta. Nie pozwala mi nigdy przy tym być. Więc tylko oczyściłem go szczotką. Powiedziałem, że cały czas będę dziś u niego, bo pan Vincy chce być sam, spodziewając się gościa. Ale powiedział, że jemu także nie będę potrzebny, więc przygotowałem kapelusz na stoliku, bo pan Darcy występuje w takim wielkim, czarnym kapeluszu jako ten Mówca, co nie mówi, i znowu wyszedłem. Przedstawienie już się zaczęło. Poszedłem do Susanny i chwilę porozmawialiśmy o tej awanturze między panem Vincy a panną Faraday, kiedy ten młody inspicjent chciał go zdzielić toporkiem. Mógł go zabić wtedy. . . Zresztą co się odwlecze, to nie uciecze, jak powiadają.

— Więc co zrobiliście później?

— Później poszedłem do Gullinsa do portierki i tam siedziałem do przerwy i przez całą przerwę, bo pan Vincy zabronił mi się pokazywać, a pan Darcy jeszcze nie szedł na scenę.

— Czy w przerwie przyszedł ktoś do teatru?

— Nikt, proszę pana, tylko kwiaciarz przyniósł kwiaty dla pana Vincy, więc wskazałem mu garderobę i wróciłem do portierki. Gadaliśmy o tym i owym, aż wreszcie przyszła siostra Gullinsa, która przyjechała do niego z Manchesteru, żeby zastąpić przez tych kilka dni jego żonę przy dzieciach. Wtedy wyniosłem się, bo pomyślałem, że rodzina musi porozmawiać po przywitaniu. Poszedłem do garderoby pana Darcy, ale już go nie było. On lubi z kulisy patrzeć na przedstawienie, więc poszedł wcześniej na scenę. Zajrzałem wtedy do Susanny Snow, która trzęsła się cała, bo pan Vincy znów nie wytrzymał i kiedy panna Faraday przypadkiem zabrudziła mu kostium szminką na scenie, syknął na nią w czasie gry, że wyprasza sobie to, czy coś takiego. . . Pannie Faraday niewiele trzeba ostatnio, bo cała jest w nerwach, więc wróciła do garderoby splakana. Pan Darcy ją przyprowadził, bo się ślaniała, a potem, razem z Susanną, uspokajał ją. Kłął podobno bardzo na pana Vincy. Więc porozmawialiśmy z Susanną Snow o tym, jak uspokajała przez całą przerwę pannę Faraday, a potem musiała odprowadzić ją na scenę. A potem był już koniec przedstawienia i pan Vincy się nie ukazał, żeby ukłonić się publiczności. Wszystkich to bardzo rozgniewało, ale nikt nic otwarcie nie mówi, bo to w końcu jego sprawa. Ja stałem z Susanną przed garderobą, a kiedy pan, Darcy nadszedł ze sceny z panną Faraday, odczekałem na korytarzu, aż mnie zawoła, i ułożyłem jego kostium, a potem oczyściłem mu garnitur i pomogłem włożyć płaszcz. Pan Darcy rozcharakteryzowuje się w tej sztuce trochę dłużej niż panna Faraday, bo nie nosi maski i ma twarz całą uszminkowaną. Kiedy skończył, ja też byłem gotów. Umył się i zapukał do garderoby panny Faraday. Panna Faraday

była już ubrana, więc razem wyszli, a ja zczekałem chwilę na korytarzu, gdzie był mąż Susanny, Malcom Snow, który jest u nas kurtyniarzem. Z nim razem był John Knithe, sufler. Później, we czwórkę, poszliśmy z teatru do nocnego punktu totalizatora, bo Susanna też wierzy święcie, że w końcu los się do niej uśmiechnie, i gra osobno, a jej mąż osobno.

— Z tego, co mówicie, wynika więc, że ani po przedstawieniu, ani w przerwie nie byliście nawet przez chwilę sami.

Ruffin zastanowił się.

— Tak, proszę pana. Ani przez chwileczkę. Tak się złożyło.

— Dobrze. A teraz dajcie mi maskę pana Vincy.

— W tej chwili, proszę pana — Ruffin wstał i podszedł do szafy. Otworzył ją i nie patrząc nawet wyciągnął rękę. Przez chwilę szukał, potem zajrzał.

— Widocznie pan Vincy musiał ją położyć gdzie indziej. — Rozejrzał się. Podszedł do stolika i wyciągnął szufladę, potem stanął bezradnie. Schylił się.

— Ani pod szafą, ani pod kozetką jej nie ma. . . — powiedział Alex.

— Więc gdzie może być? — zapytał Ruffin.

Parker otworzył usta.

— To nie ma znaczenia — powiedział Alex ku jego ogromnemu zdumieniu. Inspektor spojrział na swego przyjaciela, Alex dał mu ledwie dostrzegalny znak głową.

— Jesteście wolni, na razie. . . — powiedział Parker. — Możecie iść do domu. Pamiętajcie, że do jutra rana nie wolno wam nikomu opowiadać o tym, co się tu zdarzyło. Rozumiecie?

— Tak, proszę pana. Oczywiście, proszę pana. Dobranoc panom.

Ruffin wycofał się bokiem ku drzwiom i zniknął. Kiedy tylko drzwi zamknęły się za nim, Parker odwrócił się na pięcie i spojrział na Alexa.

— Na miłość boską, Joe. Byłem wobec ciebie lojalny w tej chwili. Nie pomyślałem o braku tej maski. Tyś wiedział o tym od początku. Ale przecież musi to coś znaczyć? Gdzie ona jest? Dlaczego nie chciałeś, żebym pytał go dalej? W końcu maska może okazać się bardzo ważna dla śledztwa. Jeżeli Vincy miał ją na sobie wchodząc tu, a później nie było nikogo poza mordercą, wobec tego musiał ją zabrać morderca. Dlaczego? A poza tym, dlaczego chciałeś, żebym przerwał przesłuchiwanie Ruffina? Wierzę ci, Joe, bo nigdy jeszcze nie wystrychnąłeś mnie na dudka. Ale przecież jestem urzędnikiem odpowiedzialnym za prowadzenie śledztwa. W tym wypadku niewiele jeszcze wiem, to prawda. Ty sprawiasz wrażenie, jakbyś miał coś w zanadrzu. Chcę ci wierzyć. W końcu ważne jest jedno: schwytanie mordercy i doprowadzenie go do rąk sprawiedliwości. Nie mam żadnych osobistych ambicji, jeżeli chodzi o współpracę z tobą, ale. . .

— Ale w końcu ja jestem tylko skromnym obserwatorem poszukującym tematu do moich książek. A to ty zaaresztujesz mordercę. Jesteś sławą w swoim zawodzie i nie zawdzięczasz przecież tego mnie. To nasza wspólna gra, Ben. Ale

tylko my obaj o tym wiemy. Tym razem, jak mi się wydaje, zobaczyłem prawdę wcześniej niż ty. Pozwól, że zachowam ją sobie jeszcze przez godzinę czy dwie. W końcu ty sam możesz na nią także wpaść, a poza tym ja się mogę mylić. Przez cały czas drzę z obawy, że się mylę. Prawda jest zbyt fantastyczna, aby mogła być prawdziwa. Ale równocześnie. . .

— Równocześnie?

— Równocześnie widzę ciągle dwa rozwiązania: „A” i „B”. Ta maska pasuje do rozwiązania „A”, ale rozwiązanie „B” ma także kilka argumentów, które nie dają się rozwikłać za pomocą rozwiązania „A”. Zresztą wiem w tej chwili, kim jest morderca „A”, a nie mam pojęcia, kim jest morderca „B”. Rzadko zdarza się, żeby ślady prowadziły w dwie przeciwne strony.

— A pani Dodd nadal nie jest ani „A”, ani „B”?

— Ani „A”, ani „B” — westchnął Alex. — Ale naprawdę nie zdziwiłbym się w końcu, jeżeliby się okazało, że to ona go zabiła. Jest w tej sprawie coś niesamowitego, co zapiera oddech. Chwilami czuję, że fakty zaczynają mi się mieszać w głowie.

Parker niecierpliwie uderzył palcami w powierzchnię stolika.

— Więc dobrze. Nie mów o tych swoich faktach, jeżeli chcesz. W końcu nie znasz ich więcej niż ja, bo nie rozstawałeś się ze mną. Chcę wierzyć, że spłynęła na ciebie łaska niebios i odkryłeś drogę przez ten labirynt. Ale ja muszę jechać do pani Dodd.

— Na pewno! — powiedział Alex stanowczo. — Myślę, że to będzie bardzo ważne dla sprawy.

— Jeżeli okaże się, że to ona zabiła tego faceta, a na razie zdrowy rozsądek wskazuje na nią i tylko na nią, chociaż widzisz dla niej jakieś nie znane mi bliżej alibi. . . to będziesz musiał postawić mi butelkę dobrego wina. Dzisiejsza noc w twoim towarzystwie kosztuje mnie bardzo wiele nerwów. . . — Urwał. — A co z tą maską? — zapytał z przymusem.

— Wiem, gdzie jest ta maska. . . — mruknął Alex. — Oczywiście, że zabrał ją morderca „A”. Mordercy „B” byłaby ona zupełnie niepotrzebna.

— Wiesz, gdzie ona jest?!

— To znaczy, nie byłem w miejscu, gdzie ona jest, ale mogę dać głowę, że znajdę ją w każdej chwili, kiedy będę chciał. Jeżeli jej nie znajdę, możesz mnie nazwać osłem, a poza tym wypędzisz mnie do domu i każesz mi się przespać.

— Może powinienem to zrobić już teraz? — Parker podrapał się w głowę. — Wiem, że na pewno masz coś w rękawie, ale ten twój bełkot przeszkadza mi myśleć. . . Czy chcesz mnie teraz zaprowadzić do miejsca, gdzie jest maska?

— Po co? Niech sobie leży. Na razie chcę, żebyśmy pojechali do miejsca, do którego od pół godziny ciągnie cię poczucie obowiązku: do pani Angeliki Dodd.

— Nareszcie jakieś rozsądne słowa — mruknął Parker i ruszył ku drzwiom.

Rozdział 9

Sztylet

Pokój, w którym usiedli czekając na panią Angelicę Dodd, był niewielki, ale urządzone z doskonałym smakiem. Kiedy drzwi zamknęły się za przerażoną trochę, zaspaną pokojówką, Parker spojrzął na zegarek.

— Druga — mruknął. — Paskudny czas do składania wizyt niewinnym osobom. Już chociażby dlatego pani Dodd powinna okazać się zabójczynią.

— Żeby pozwolić policji na zachowanie dobrych obyczajów towarzyskich? Tak. To jest powód.

— Obawiam się, że miała jeszcze kilka innych... — mruknął Parker przyciszonym głosem. — Teraz na pewno będzie ubierała się przez pół godziny...

Nie zdążył dokończyć zdania, gdy drzwi otworzyły się i pani Dodd weszła. Była ubrana w skromną, ciemną sukienkę, na nogach miała pończochy i pantofle na wysokich obcasach, a wygląd jej włosów świadczył o tym, że nie kładła się jeszcze. Alex zanotował to bez zdziwienia.

— Czym mogę panom służyć? — zapytała, rzuciwszy wzrokiem jeszcze raz na trzymaną w palcach wizytówkę inspektora. Potem szybko uniosła głowę. — Siadajcie, panowie, proszę. — Była bardzo opanowana, chociaż wprawne oczy obu mężczyzn dostrzegły w jej zachowaniu lekką nutkę napięcia. Usiadła pierwsza i wskazała im krzesła ruchem drobnej, delikatnej dłoni.

Parker usiadł ciężko i przez chwilę milczał, patrząc na powierzchnię stolika, na której stały dwie gliniane popielniczki.

— Sprawa wygląda tak — powiedział nagle, unosząc na nią oczy — że cały szereg poszlak wskazuje... — Znowu urwał, potem westchnął i podjął: — Chcę być szczery z panią. Przed paroma godzinami został zamordowany w swojej garderobie aktor, Stefan Vincy. Istnieją poszlaki wskazujące, że osoba, która mogła dokonać tego zabójstwa, znajduje się w tym domu. Chciałbym, żeby mi pani powiedziała bez osłonek, co pani ma do powiedzenia na ten temat.

Angelica Dodd patrzyła na niego bez zmrużenia oka. Alexowi wydało się tylko, że kiedy Parker wymówił nazwisko Vincy, zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

— Czy to wszystko, co ma mi pan do powiedzenia? — zapytała.

— Nie. Nie wszystko. Osoba, której rysopis i ubiór zgadzał się z pani rysopisem i ubiorem, odwiedziła Vincy’ego w jego garderobie mniej więcej w czasie popełnienia mordu. Widział ją dokładnie portier i podjął się z całą pewnością rozpoznać ją przy konfrontacji. Poza tym wiemy, że była pani tego wieczoru na przedstawieniu *Krzeset*, a potem pożegnała pani córkę i jej narzeczonego, mówiąc im, że ma pani jakiś interes do załatwienia w sąsiedztwie. Czy może pani nam powiedzieć, co to był za interes?

— Mogę — Angelica Dodd skinęła głową. — Miałam pewną sprawę do załatwienia w teatrze.

— Jaką sprawę?

— Musiałam wejść do garderoby Stefana Vincy, bo chciałam go zabić.

Po tej spokojnej wypowiedzi nastąpiło milczenie, które przerwał niespodziewanie Alex.

— A czy zabiła go pani? — zapytał.

— Tak. Oczywiście. Przecież po to tam poszłam. Czekałam na tę chwilę od dawna.

Parker uniósł głowę i Alex dostrzegł jego przelotne, triumfujące spojrzenie.

— Więc przyznaje się pani do zabicia Stefana Vincy, wczoraj w godzinach wieczornych, w jego garderobie znajdującej się na terenie Chamber Theatre? — Ton inspektora nabrał urzędowego brzmienia.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia poza tym, co panowie usłyszeliście.

Angelica Dodd podniosła się z miejsca, jak gdyby chcąc im dać do zrozumienia, że damę można skazać na śmierć, ale nie należy indagować jej wbrew jej woli.

— Chwileczkę... — mruknął Alex. — I zabiła go pani sztyletem?

— Tak... Sztyletem o złoconej rękojeści, na której był napis *Pamiętaj, że masz przyjaciela*.

— A dlaczego pani to zrobiła?

— Obawiam się, że tego panowie nigdy się nie dowiedzie.

— Przeciwnie — Alex stał naprzeciw przyglądając się jej spokojnie. — Wiem już, dlaczego. Stefan Vincy szantażował panią i wymógł, aby przyszła pani do teatru na przedstawienie *Krzeset* dla załatwienia pewnej transakcji. Zgodziła się pani odwiedzić go w przerwie lub po przedstawieniu, aby wręczyć mu kosztowności i pieniądze, których domagał się natychmiast, grożąc, że inaczej zaszkodzi pani córce. Dlatego zabrała pani tak wielką torebkę. W tych małych cackach teatralnych nie mieści się nic poza lornetką i chusteczką. Tak było, prawda?

Angelica Dodd patrzyła na niego oczyma rozszerzonymi zdumieniem. Ale nie odpowiedziała.

— To zresztą było jasne od początku śledztwa. — Alex lekko strzepnął palcami. — Interesuje mnie co innego: kiedy zdażyła pani przeczytać napis na sztylcie?

— Czytałam go tysiąc razy... — pani Dodd odzyskała spokój. — Znam ten sztylet na pamięć.

— A czy wyjęła go pani z szuflady?

Znowu spojrzała na niego ze zdumieniem, ale natychmiast kiwnęła potakująco głową.

— Tak. Z szuflady biurka mego męża.

— Co? — powiedział Parker, ale Alex uniósł rękę uciszającym gestem.

— Czy mogłaby nam pani wskazać miejsce, z którego pani wzięła sztylet?

— Tak... oczywiście... — Mąż trzymał go razem z wieloma zbytecznymi drobiazgami, jakie ma każdy mężczyzna. Znajdował się on tu, w tym biurku.

— Gdzie dokładnie?

Pani Dodd raz jeszcze lekko wzruszyła ramionami, a potem podeszła do biurka i wyciągnęła środkową szufladę.

— Leżał o tu, na samym wierzchu...

Wyciągnęła rękę, a później odruchowo poszła za nią spojrzeniem. Przez chwilę stała nieruchomo jak skamieniała. Później zachwiała się. Parker podbiegł i podtrzymał ją.

— Zemdlała, zdaje się... — powiedział i spojrzał w głąb szuflady. I on — znieruchomiał. Alex podszedł i pokiwał ze zrozumieniem głową.

Na dnie szuflady leżał sztylet absolutnie taki sam jak ten, który wbito w pierś aktora Stefana Vincy.

Rozdział 10

Rodzice Anny Dodd

Alex rozejrzał się, wziął ze stołu karafkę, nalał wody do szklanki i przytknął ją do ust pani Dodd, która w tej samej chwili otworzyła oczy. Wyswobodziła się z podtrzymującego ją ramienia Parkera i chwiejnym krokiem podeszła do krzesła. Potem usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Plecy jej zaczęły drgać i rozplakała się cicho.

Parker spojrział na Alexa ponad głową łkającej kobiety. W jego oczach było tyle bezradności i tak ogromne zdumienie, że Joe uśmiechnął się prawie niedostrzegalnie. Pozostawiając panią Dodd jej łzom, zbliżył się do otwartej szuflady i wyjął z niej sztylet. Parker zbliżył się.

— Jest identyczny... — szepnął.

Nagle odwrócili się obaj. W otwartych drzwiach stał siwiejący, niewysoki, szczupły mężczyzna w piżamie i narzuconym na nią szlafroku.

— Co się tu dzieje? — zapytał spokojnie. — Czy panowie jesteście włamywaczami?

— Przeciwnie. — Parker podszedł do niego. — Jestem inspektorem Scotland Yardu, a ten pan jest moim współpracownikiem. Przybyliśmy do państwa w związku z morderstwem popełnionym na aktorze, Stefanie Vincy.

— Co? — powiedział mężczyzna w szlafroku. — Stefan zabity? — Oparł się ręką o framugę drzwi. Przez chwilę Alex przypuszczał, że zemdleje, podobnie jak przedtem jego żona. Ale sir Thomas Dodd opanował się. Wyprostowany wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Dopiero teraz, kiedy znalazł się w kręgu światła, obaj stojący dostrzegli, jak bardzo jest blady. Poza tym musiał być rzeczywiście bardzo chory, bo cera jego była ziemista, a oczy płonęły trochę gorączkowym blaskiem. Angelica Dodd uniosła głowę, szybko otarła łzy i wstała.

— Dlaczego wstałeś, Tom? Przecież wiesz, że nie wolno ci przerywać wypoczynku! — Zerwała się, podbiegła do niego i ujawszy go pod ramię, doprowadziła do krzesła. Ale sir Thomas wyswobodził się, usiadł sam i obdarzył przy tym żonę uśmiechem.

— Wiesz przecież, że to zupełnie nieistotne — mruknął. Potem spojrzął na Alexa trzymającego wciąż jeszcze w ręce sztylet. — A czemu pan wyjął to z mojej szuflady?

— Proszę państwa — Parker zawahał się. — Bardzo mi jest przykro, że muszę dalej występować tutaj w mojej oficjalnej roli, ale niestety, zbrodnia została popełniona i musimy dowiedzieć się prawdy. Pańska żona przed chwilą przyznała się do zamordowania Stefana Vincy...

— Absurd! — przerwał sir Thomas i rozkazującym ruchem nakazał milczenie. — Czy powiedziałaś coś podobnego, kochanie? Jeżeli ten człowiek kłamie, natychmiast porozumiem się z sekretarzem stanu do tych spraw i...

— Ten pan mówi prawdę. Powiedziałam to.

— Co takiego? — twarz znakomitego archeologa stała się jeszcze bledsza. — Jak to? Dlaczego?

— Bo... bo...

— Więc odwołuje pani to, co pani powiedziała poprzednio? — zapytał Parker.

— Tak. Odwołuję. — Otarła ostatni ślad łez chusteczką. Była w tej chwili znowu zupełnie opanowana.

— No, dobrze... — Parker także wyjął chustkę i otarł nią pot z czoła. — Bardzo mi jest przykro, proszę pana. Wiem, że był pan operowany niedawno i że stan pańskiego zdrowia jest nie najlepszy. Nie chciałbym pośrodku nocy przeciągać tej koszmarnej sceny. Ale tu jest masa spraw, które musi nam pani wyjaśnić. Z tego, co pani powiedziała, wynika niezbicie, że była pani na miejscu zbrodni. Powiedziała mi pani nawet, jakim narzędziem został zabity Vincy. Później chciała mi pani wskazać miejsce, z którego wzięła pani to narzędzie, i rzeczywiście ukazała mi pani identyczny sztylet. Wtedy pani zemdląca. Chcę, żebyście sobie państwo zdali sprawę, że muszę usłyszeć całą prawdę, inaczej z największym żalem będę zmuszony zaarrestować panią pod zarzutem popełnienia morderstwa, a jutro cała prasa angielska obwieści o tym, dając na pierwszych stronach półkolumnowe zdjęcia pani i nurzając rodzinę państwa w błocie po szyję. Jeżeli więc nie zabiła pani Stefana Vincy i ma pani szansę udowodnienia tego, proszę mówić. Proszę mi także powiedzieć, jakim cudem w posiadaniu państwa znajduje się taki sam sztylet, jakim zamordowano Vincy'ego? Sztylet ten był w dodatku jego własnością od lat. Proszę mi powiedzieć, co było w wypchanej torebce, którą przyniosła pani do garderoby Vincy'ego i dlaczego w ogóle znalazła się pani w jego garderobie, ukrywając ten fakt przed córką i przyszyłym zięciem. Chcę znać całą prawdę i obowiązkiem moim jest uzyskać ją za wszelką cenę. Tylko znając prawdę — znajdę mordercę. Czy chce więc pani powiedzieć nam prawdę, czy woli pani, aby ta prawda wyszła i tak na jaw, ale nieco później, w połączeniu z ogromnym skandalem, bo przecież zabójstwo aktora takiego jak Vincy odbije się szerokim echem i będzie nie lada sensacją dla gazet.

— Może ja panu opowiem... — powiedział cicho sir Thomas Dodd.

— Tom! — zawołała jego żona. — Ci ludzie nie mają prawa. Nikt nie może. . .

— Obawiam się, moja droga, że w końcu i tak dojdą prawdy — jej mąż rozłożył ręce. — Istnieją daty, dokumenty. . . Kiedy policja zacznie śledzić, wyśledzi w końcu wszystko. . . A przecież nie chcesz być chyba oskarżona o to zabójstwo teraz? — wskazał na trzymanego przez Alexa sztylet i uśmiechając się do niej serdecznie szepnął: — Moje biedne, głupiutkie dziecko. . . A przecież wystarczyło zapytać mnie. . .

— Czy mam rozumieć to, co pan przed chwilą powiedział, jako chęć złożenia zeznań? — Parker usiadł i otworzył notes.

— Zeznań? — sir Thomas spojrział na niego pogodnie i uśmiechnął się z lekkim pobłażaniem. — Przed dwoma miesiącami byłem operowany na raka ręki. . . Podobno miałem otrzymać co najmniej rok spokoju po tej operacji. Ale od kilku dni znowu mnie boli. . .

— Tom! Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?! — W oczach jego żony Parker i Alex dostrzegli prawdziwe, nieme przerażenie. Zobaczyli, że zacisnęła wargi. — To głupstwo. . . — powiedziała prawie pogodnie. — Na pewno jeszcze jakieś skutki tamtej operacji. Bywa tak, że ma się bóle, które w końcu zanikają. . .

— Nie, moja droga. Kiedy pojechaliście do teatru, zadzwoniłem do Jerzego Armstronga i spytałem go, czy może mnie przyjąć. — Spojrział na Parkera. — Armstrong to jeden z naszych największych specjalistów od nowotworów. Wykonał te moją operację. — Parker w milczeniu skinął głową. — Ale zboczyliśmy z tematu — powiedział sir Thomas. — Pytał mnie pan, czy chcę złożyć zeznania. O godzinie dziesiątej mój przyjaciel, doktor Armstrong, powiedział mi, że. . . wyzdrowieję. Ale kiedy zażądałem prawdy, mówiąc, że każdy człowiek powinien mieć szansę przygotowania się do ostatniej wędrówki, a poza tym wytłumaczyłem mu, że moje sprawy osobiste i zawodowe wymagają ode mnie pełnej świadomości, zmienił trochę zdanie i chociaż nie powiedział mi tego wręcz, stwierdził jednak, że przy raku człowiek musi być zawsze na wszystko przygotowany. Zresztą ten ból znam już i nikt mnie nie oszuka. . . — Jego żona przymknęła oczy. Pogłaskała ją po włosach i wyprostował się w krześle. — Widzisz, moja droga, mam może trochę inny stosunek do życia w tej chwili, niż miałem poprzednio. Wiem, dlaczego przyznałaś się do winy. Weszłaś do jego garderoby i zobaczywszy ten sztylet pomyślałaś, że to ja go zabiłem. Dlatego przyznałaś się, kiedy ci panowie tu przyszli. . . Moje głupiutkie, dzielne dziecko. A tymczasem twoja ofiara była zupełnie niepotrzebna.

— Czy tak było? — zapytał Parker.

Pani Dodd bez słowa skinęła potakująco głową.

— A czy wolno mi zapytać, dlaczego pańska żona uwierzyła natychmiast, że to pan go zabił? Pośród wielu innych pytań, na które państwo jeszcze nie odpowiedzieliście, to też bardzo mnie interesuje.

— Myślę, że nie da się odpowiedzieć na każde z tych pytań z osobna... — powiedział sir Thomas spokojnie, zmęczonym głosem — musicie panowie albo poznać całą prawdę, albo nic... Myślę, że w tej sytuacji nie da się jej zataić... — Spojrzał na żonę. — Chciałbym tylko dodać, że jest w to uwikłany honor dwu kobiet i jednego mężczyzny, a poza tym szczęście całej mojej rodziny i jej przyszłość. Czy może mi pan powiedzieć, jakie otrzymam gwarancje dyskrecji, jeżeli zgodzę się wyjaśnić panom to, o czym nie wiedział nikt prócz Stefana Vincy?

— Byłem oficerem lotnictwa Jego Królewskiej Mości i jestem oficerem sił policyjnych naszego królestwa — powiedział Parker. — Obecny tu mój współpracownik był także oficerem lotnictwa w czasie wojny, jest kawalerem najwyższych orderów, a przede wszystkim jest angielskim dżentelmenem. Mimo to nie mogę panu obiecać nic więcej poza tym, że nikt nigdy nie dowie się ani jednego słowa z tego, co padnie tu pomiędzy nami, o ile pani Dodd jest niewinna. W przeciwnym wypadku obowiązany jestem powtórzyć prawną formułkę: „Jest pani podejrzana o zamordowanie Stefana Vincy i ostrzegam panią w imieniu prawa, że od tej chwili każde słowo przez panią wypowiedziane może być użyte przeciwko pani. Zwracam pani także uwagę, że nie musi pani składać żadnych zeznań przed porozumieniem się ze swoim adwokatem...” — Rozłożył ręce. — Występuje w imieniu prawa, proszę pana. W tej sytuacji nic więcej nie mogę dodać.

— To wystarczy — sir Thomas skinął głową. — Muszę zaufać panom i cieszę się, że odpowiedział mi pan właśnie tymi słowami. To było uczciwe... — Spojrzał na żonę. — Może wolisz położyć się, kochanie?

Parker ze zdumieniem uniósł brwi, ale pani Dodd uprzedziła go.

— Nie. Zostanę. Jeżeli mamy przejść przez to, zróbmy to razem.

— Dobrze — sir Thomas skłonił głowę. — Żebyście panowie mogli zrozumieć to, co się stało dzisiejszego wieczoru, musimy cofnąć się dwadzieścia kilka lat wstecz. Byłem kolegą szkolnym Stefana Vincy... — Zastanowił się. — Byłem nie tylko jego kolegą szkolnym, ale przyjacielem. Byliśmy nierozłączni. Związało nas najsilniej wspólne umiłowanie teatru. Razem bywaliśmy na wszystkich przedstawieniach, razem założyliśmy kółko dramatyczne w szkole, którego byliśmy obaj podporami, bo może wyda się to panom śmieszne, ale i ja posiadałem podobno duży talent aktorski. Po ukończeniu szkoły odjechałem do Oxfordu, bo ojciec mój, który był archeologiem, nie chciał słyszeć o tym, abym występował na scenie. Zresztą archeologia także mnie pociągała od dziecka. Dom nasz żył życiem dawnych wieków i pełno w nim było skorup, posążków i sprzętów, które ojciec nauczył mnie rozumieć i kochać. Vincy natomiast rozpoczął starania o zaangażowanie się w jakimś teatrze. Kiedy rozstawaliśmy się wówczas, zamówiliśmy owe dwa sztylety. Było to bardzo młodzieńcze zapewne, ale miały one oznaczać, że zawsze w życiu może każdy z nas liczyć na przyjaźń drugiego. Stefanowi udało się zaangażować gdzieś na prowincji, a później, kiedy ja ukończyłem Oxford, znalazł się w Londynie, ale szło mu nieszczególnie. Bywał wtedy

u mnie często. Po śmierci ojca odziedziczyłem ten dom i niewielki majątek w gotowce. Stefan mieszkał u mnie przez pewien czas, żywiłem go, kiedy brakowało mu pieniędzy (a brakowało mu ich ciągle), i starałem się podtrzymać naszą przyjaźń, jak umiałem. Tak było do chwili, kiedy poznałem Angelicę Crawford, dziewczynę, w której zakochałem się i z którą zapragnąłem się ożenić; ona także mnie kochała. Wtedy stało się coś, co położyło cień na całym naszym życiu, cień, który w tej chwili zalega znów ten pokój. Oczywiście poznałem ich oboje z sobą, wierząc, że mój jedyny przyjaciel i moja jedyna dziewczyna zostaną także przyjaciółmi. Tak się stało. Stało się nawet więcej. Pewnego dnia Angelica napisała do mnie krótki list, którego treść uderzyła we mnie jak piorun. Odeszła ode mnie do Stefana. Zniosłem to, bo musiałem to znieść. Stefan wyprowadził się ode mnie nieco wcześniej. Nie szukałem go już. Zresztą szybko nazwisko jego zaczęło nabierać rozgłosu. Minęło pół roku, potem przeszedł rok. Pewnego dnia znalazłem się na południu Anglii. Rozkopywaliśmy jakieś druidyczne wzgórze, niedaleko małego miasteczka, w którym zamieszkali członkowie wyprawy. Tam zobaczyłem Angelicę. Spotkaliśmy się na ulicy. Chciała wyminąć mnie. Zatrzymałem ją. Nie wiedziałem jeszcze o niczym. Zapytałem o Stefana. . . Dowiedziałem się prawdy. Wraz z dzieckiem, małą, dwumiesięczną dziewczynką mieszkała teraz u starej ciotki, której powiedziała, że jest wdową, bo mąż zginął tuż po ślubie w wypadku samochodowym. Poszedłem tam. Stanęliśmy nad kołyską tego dziecka i spojrzeliśmy na siebie. Kochałem ją nadal. Myślę, że i ona kochała mnie nawet wtedy. Ale patrzyliśmy na siebie jak rozbitkowie po burzy, która uniosła ich dom i wszystkie nadzieje. A między nami leżało to maleństwo, śpiące dziecko. Dziecko jej i Stefana Vincy, który rzucił ją i nie zatroszczył się nawet, co się stało z nią i jego córeczką. Nie ożenił się z nią oczywiście. Rósł wówczas. Na cóż było mu obarczanie się rodziną w owym okresie? . . . Później pobraliśmy się. Wyjeżdżałem akurat z wyprawą do Egiptu. Spędziłem tam dwa lata. Angelica i mała pojechały innym okrętem. Ślub wzięliśmy w Kairze, niemal po kryjomu. Później urządziłem to tak, że Anna uzyskała o półtora roku późniejsze dokumenty. W końcu trudno jest powiedzieć, czy dziewczynka ma trzy, czy cztery i pół roku. Egipt pomógł. Nikt nie zorientował się w niczym. Byłem zresztą wówczas młodym, nie znanym nikomu pracownikiem naukowym. Nikt nie interesował się moim życiem. Podróżowałem za to wiele po świecie, a nikt nie miał powodu przypuszczać, że Anna nie jest moim dzieckiem. Mijały lata, minęło ich prawie dwadzieścia, i właśnie teraz, kiedy umarł kuzyn mojego ojca pozostawiając taką olbrzymią fortunę, Vincy odezwał się. Znał prawdę, chociaż go on a nie obchodziła. Spotkał kiedyś Angelicę na ulicy i z wesołym uśmiechem zapytał, jak się jej powodzi. Może źle zrobiła, że powiedziała mu całą prawdę i potraktowała go jak nicponia, którym zresztą był. Vincy próbował coś jej tłumaczyć, ale odwróciła się i odeszła. Myślę, że ucieszyło go to. Od owej chwili minęło kilkanaście lat. W zeszłym tygodniu zatelefonował do Angeliki, żądając widzenia się z nią. Kiedy odmówiła, zagroził

ujawnieniem wszystkiego. Anna, oczywiście, nie ma pojęcia, że jest... że łączy ją z nim jakieś węzły pokrewieństwa. Jestem jej ojcem i Bóg mi świadkiem, że zasłużyłem na tę nazwę bardziej nie tysiące innych ludzi... Angelica powiedziała mi o telefonie Vincy'ego. Zastanawialiśmy się, co zrobić. Najwyraźniej późniejsze uczucie ojcowskie obudziła w nim notatka prasowa o spadku Anny. Ale Vincy był w bardzo korzystnej sytuacji. Po pierwsze mógł rozgłosić całą sprawę, powodując wielkie nieszczęście dla naszego domu, bo myślę, że dla dziewczyny byłby to straszny wstrząs, tym bardziej jeżeli ojciec jej okazałby się takim nikczemnikiem. Po drugie, jej stryjeczny dziadek umierając zastrzegł się, że dziedziczyć po nim mogą tylko jego krewni, a nie powinowaci. Jako moja córka Anna jest jego krewną, jako córka Vincy'ego nie jest nią oczywiście. To było straszne w swojej ironii: teraz, kiedy los tak nieprawdopodobnie uśmiechnął się do dziewczyny, pojawił się nagle upiór, który stał ongi nad jej kołyską, i zagroził zniszczeniem jej życia. Zresztą Anna kocha bardzo młodego Cresswella, który także, jak mi się wydaje, jest w niej zadurzony po uszy. Na szczęście zachowywał się tak, zanim otrzymała ten spadek. Gdyby Vincy rozgłosił całą historię, obawiam się, że Cresswell mógłby pojechać do niego i spoliczkować go, ale znalazłby się w bardzo niezręcznej sytuacji wobec swojej konserwatywnej rodziny. To syn lorda, a Anna stałaby się nagle nieślubnym dzieckiem aktora... Wszystko to było przerażające. Vincy dzwonił regularnie dwa razy dziennie. Wreszcie zdecydowaliśmy się ustąpić. W końcu czymże są pieniądze w porównaniu z nieszczęściem, jakie mogło na nas spaść. A w dodatku jestem ciężko chory i myśl o tym, że Anna może kiedyś pozostać niemal bez środków do życia i w tak zdegradowanej sytuacji, a prócz tego z tak smutnymi doświadczeniami na początku wspaniale zapowiadającej się młodości, była dla nas nie do zniesienia. Przed trzema dniami przekazano Annie klejnoty spadkowe na sumę miliona funtów. Jest to wspaniała kolekcja brylantów. Stanowi ona, oczywiście, tylko fragment owej fortuny, ale miałem wrażenie, że Vincy zadowolony jest jakąś nie tak ogromną sumą. Angelica spotkała go w kawiarni... Cynicznie oświadczył jej, że nie widzi najmniejszego powodu, aby córka jego bezprawnie stała się dziedzicem takiego majątku i nie miała podzielić się częścią ze swym starzejącym się ojcem. Angelica powiedziała mu, że osiemdziesiąt procent majątku ulokowane jest w kopalniach i nieruchomościach, a gotówki jest niewiele. Vincy oświadczył, że chce milion, który otworzy mu drogę do prawdziwej sławy na tym świecie, gdzie bez pieniędzy żaden talent nie wzbije się wysoko ponad przeciętność opinii tępawych krytyków. Jeżeli otrzyma milion, wówczas gotów jest nigdy nie wspomnieć Annie o swych prawach do niej. Angelica zgodziła się, ale powiedziała, że to musi potrwać. Na to Vincy wyciągnął gazetę z kieszeni i powiedział, że zgadza się czekać kilka tygodni na gotówkę, ale pod warunkiem, że otrzyma w zastaw owe klejnoty. Nikt mu ich nie ukradnie, bo nikt nawet nie może przypuszczać, że coś takiego znajduje się w jego posiadaniu... Klejnoty zostały złożone przez Annę w safesie bankowym na moje

nazwisko. Wyjąłem je stamtąd. Dziś Angelica miała się udać dla upozorowania sytuacji do teatru razem z Anną i Charlesem. Potem powinna była zanieść Vincy'emu do garderoby torbę z klejnotami. Chciał, żeby to się stało w garderobie teatralnej. Może wartość tej torebki oszołomiła go trochę i zdał sobie sprawę, jak olbrzymią fortunę będzie ona przedstawiała, a może lękał się, że Angelica knuje jakiś podstęp. W każdym razie uparł się, a on

a znowu musiała się zgodzić. Wczoraj wieczorem pojechała z młodymi do teatru, później kazała im wracać do domu pod pozorem, że ma jakiś interes w sąsiedztwie, i poszła do garderoby Vincy'ego... Więcej nie wiem. Kiedy wróciłem do domu o jedenastej, była już u siebie i powiedziała mi tylko: „Głowa mnie boli. Jutro ci wszystko opowiem”... — Zwrócił się do żony, która siedziała w ciągu całego jego opowiadania zupełnie nieruchoma, z kamienną, pobladłą twarzą. — Resztę wiesz ty, kochanie...

— Niewiele mam do powiedzenia... — Zaczerpnęła głęboko powietrza. — Czułam się cały czas nieswojo... Poza tym... poza tym ta sztuka rozstroiła mnie. Cała moja przeszłość... to wszystko, co było, stanęło mi przed oczyma, kiedy on grał Starego. Rozpłakałam się. Potem mi to przeszło. W drugim akcie nie czułam już z nim tego kontaktu. Był racjonalniejszy i to mi pomogło. Ścisiskałam torebkę, śmieszna trochę przy mojej sukni, wypchaną klejnotami w pudełkach owiniętych w płótno. Ale były one mi zupełnie obojętne. Chciałam to już mieć poza sobą i znaleźć się w domu... Poza tym... poza tym... bałam się nadal... Nie wierzyłam mu. Nie wierzyłam, że poprzestanie na tym... Bałam się, że w końcu upije się i wygada wszystko albo zacznie po prostu rozpowiadać, że Anna jest jego córką... W duszy słyszałam go mówiącego: „... Ta Anna Dodd... Ach, to moja córeczka... Dała mi z tej swojej fortunki okrągły milionik...” On zdrabniał wyrazy... — Ukryła twarz w dłoniach, ale zaraz opanowała się. — A potem weszłam do garderoby i zobaczyłam Vincy'ego leżącego na kanapce. To było zdumiewające, bo drzwi od jego garderoby były zamknięte na klucz od zewnątrz i musiałam klucz przekreślić, żeby wejść. Ale nie mogłam przecież czekać na korytarzu, gdzie ktoś mógłby mnie spotkać, może ktoś znajomy. Nie poruszył się. Nie zrozumiałam jeszcze. Zamknęłam za sobą drzwi i podeszłam. Wtedy zobaczyłam, że ma wbity w pierś sztylet o poślaczanej rękojeści.

Rozdział 11

Nieprzekraczalny czas zabójstwa

— ...taki sam, jaki widywała pani tyle razy u siebie w domu. Nie wiedziała pani, że egzaltowani trochę młodzi chłopcy zamówili przed laty dwa identyczne sztylety i kazali na nich wygrawerować słowa przypominające o przyjaźni. Te sztylety przeżyły ową przyjaźń o wiele lat — dodał ni stąd, ni zowąd Alex — ale pani nie wiedziała o tym. Pomyślała pani tylko, a może nie tyle pomyślała pani, ale instynkt uderzył w dzwon alarmowy, wołając, że mąż był tu przed panią i zabił Vincy’ego. Co pani zrobiła wtedy? Czy wybiegła pani od razu?.. — i nie czekając na jej odpowiedź, ciągnął dalej: — Raczej nie. Jest pani przecież także matką, nie tylko żoną. Zaczęła pani gorączkowo poszukiwać tego, po co pani przyszła, to znaczy swoich listów sprzed lat, tych, które pisała pani do niego donosząc, że będzie pani miała dziecko. Może nawet napisała pani do niego zaraz po urodzeniu dziecka. Mogło się pani wówczas wydawać, że bez względu na to, co się stało, mężczyzna powinien wiedzieć o tym fakcie, bo da to mu ostatnią szansę uratowania honoru. . . Chciała pani zresztą, żeby okazał się lepszy, niż był. To zrozumiałe. Nawet jeżeli pojęła pani swoją omyłkę. Przed laty kierował panią przy pisaniu listu ten sam instynkt, który po latach kazał pani przeszukać garderobę zabitego. Rozumiem panią. Ale nie znalazła pani listów, prawda?

Ku zdumieniu Parkera Angelica Dodd odpowiedziała cicho:

— Nie, nie znalazłam, chociaż zupełnie nie rozumiem, skąd pan może wiedzieć o tym.

— Proste wnioskowanie. — Alex pokiwał głową. — Vincy nie mógłby szantażować pani tak bezczelnie, nie mając żadnego dowodu. A jakież mógł mieć lepszy dowód niż listy pisane ręką pani? Kiedy nie znalazła pani listów, wyszła pani z teatru i pojechała pani taksówką do domu. To wszystko, tak? Męża jeszcze nie było, więc udała pani ból głowy, żeby go nie widzieć, bo bała się pani z nim spotkać wierząc, że to on zabił Vincy’ego. Wierzyła pani jeszcze, że nikt się nie dowie. Ale kiedy przybyliśmy my, postanowiła pani, że ten człowiek, którego pani kocha, który kocha pani dziecko bardziej może, niż gdyby łączyły go z nim zwykłe wię-

zy krwi, który poświęcił dla pani tak wiele i tak wiele w ciągu całego swego życia zrobił pani dobrego, nie będzie pokutował za swój ostateczny akt samoobrony... Dlatego powiedziała pani: „Zabiłam!” i była pani gotowa ponieść wszystkie konsekwencje tego słowa. Mąż pani jest chory. Nie mogła pani nawet znieść myśli o tym, że oczekuje go długie, wyczerpujące śledztwo i poniżenie w czasie procesu sądowego, kiedy wszystko wyjdzie na jaw. Wołała pani zmyślić coś o sobie i Vincym i uratować ojcu córkę, a córce ojca... Może zresztą nie myślała pani tego wszystkiego tak precyzyjnie. Wiedziała pani tylko, że jeśli przyjdzie policja, to jest pani gotowa odpowiedzieć za to wszystko, czego przed laty była pani w pewien sposób przyczyną. Tymczasem zobaczyła pani ten sztylet... Zrozumiała pani nagle, że to nie mąż pani zabił, i odwołała pani zeznanie. Wszystko to zgadza się z prawdą? Czy tak?

Angelica Dodd bez słowa skinęła głową. Jej mąż ukrył twarz w dłoniach.

— Miła moja... — szepnął prawie niedosłyszalnie.

— Przykro mi bardzo... — Alex wstał. — Tak bardzo mi przykro, że musiałem mówić o tym. Ale prawda musi zostać ustalona, a nie ma innej drogi prócz wypowiedzenia jej. — Spojrzał na Parkera.

Inspektor zamknął notes i także się podniósł. Widać było, że walczy z sobą.

— Niestety — powiedział. — Niestety... — Spojrzał na Alexa. Joe stał zupełnie nieruchomo, ale oczy jego dały prawie niedostrzegalny, przeczący znak.

— Niestety — Parker odetchnął z ulgą, jak gdyby znalazł rozwiązanie dręczącej go kwestii — jestem tylko urzędnikiem policji i chociaż bardzo chcę państwu wierzyć, to jednak pani Dodd była ostatnią osobą, która widziała zamordowanego i nawet w opowiadaniu państwa istnieją poważne poszlaki obciążające...

Alex chrząknął głośno.

— Więc będę, niestety, zmuszony... — dokończył szybko Parker — postawić przed domem państwa policjanta w cywilu, a pani Dodd nie będzie mogła pod żadnym pozorem wydaleć się w najbliższym czasie z mieszkania... do chwili, kiedy otrzymacie państwo zawiadomienie o zniesieniu tego zakazu. Mam nadzieję, że sprawy rozwiążą się w najbliższym czasie... To wszystko, co mogę zrobić w tej chwili.

Sir Thomas Dodd wstał i wyciągnął do niego rękę.

— Dziękuję panu — powiedział serdecznie. — Rozumiem, że w pewien sposób przekroczył pan pewne przepisy, zachowując się tak po rycersku. Ale upewniam pana, że... że... — zająknął się — jest pan prawdziwym gentlemanem.

Parker zaczerwienił się i szybko wycofał do przedpokoju. Kiedy znaleźli się na ulicy, podszedł do wozu i wywołał detektywa Stephensa.

— Wziąłem was, Stephens, żeby dokonać aresztowania i odtransportować mordercę. Niestety, teraz będziecie musieli postać tu pół godziny, póki nie zluzuje was agent z centrali. Drzwi tego domu nie ma prawa opuścić pani Angelica Dodd, drobna szatynka w wieku lat 45. Jeżeli ten dom ma tylne wyjście i ucieknie

ona na inną ulicę, nie przejmujcie się. Zamkniemy na jej miejsce pana Joe Alexa, najnaiwniejszego człowieka pod słońcem!

— Tak jest, szefie! — powiedział detektyw Stephens, uśmiechnął się do Alexa i rozpoczął spacer przed bramą domu.

— Nie będziesz tego żałował. . . — mruknął Alex.

— Zrobiłem to tylko dlatego, bo z całego twojego zachowania wynika, że masz już mordercę w kieszeni. Twoje wiadomości zaskakują mnie. Ale nie wiesz wszystkiego. Nie wiesz, na przykład, gdzie pojedziemy teraz!

— Wydaje mi się, że do doktora Jerzego Armstronga, — znanego specjalisty chorób nowotworowych. . . - szepnął Joe. — Ale może się mylę?

Parker otworzył usta, a potem powiedział cicho: — Wielki, mocny, nieśmiertelny Boże! — Wychylił się ku szoferowi: — Columbus Street 4! — powiedział prawie ze złością.

Ale zaspany doktor Armstrong prowadził bardzo dokładnie księgę przyjęć. W ostatniej rubryce widniało nazwisko: *Sir Thomas Dodd. Godzina przyjęcia 9.20 wieczorem do 10.45*, a później szereg łacińskich słów.

— Czy pan zawsze prowadzi tak dokładnie co do minuty terminarz przyjęć pacjentów? — zapytał zdumiony Parker.

— Tak — odpowiedział doktor. — Interesuje mnie problem racjonalności badania. Piszę nawet na ten temat broszurę fachową. Wydaje mi się, że lekarze zbyt wiele czasu marnują na niczym. . . Te dane służą mi do określenia, ile czasu trwają u mnie badania określonych schorzeń.

— A jak przedstawia się stan zdrowia sir Thomasa Dodda?

— Mogę panu wyjawić całą prawdę ze względu na pańskie funkcje. Ale myślę, że natura i tak ją wkrótce wyjawি. Stan sir Thomasa uważam za beznadziejny. Jeszcze po operacji miałem jakąś nadzieję. Teraz nowotwór powrócił. Za kilka dni nastąpi prawdopodobnie kryzys. A jeśli nie za kilka dni, to za kilka tygodni. To tylko kwestia szybkości rozwoju tkanki nowotworowej. Obawiam się, że w przypadku Dodda rozwija się ona niesłychanie szybko. Przyjechał dziś do mnie swoim autem. Zabroniłem mu tego już dawno. Choroba może go przecież nagłe obezwładnić. Może nastąpić przerzut na głowę. . . Nie wolno w takich okolicznościach igrać z życiem, nie tylko swoim zresztą, ale na przykład przechodniów. Odwiozłem go do domu. . .

Parker podziękował i wyszli. Na ulicy inspektor uderzył się lekko ręką w czoło.

— Po co ja właściwie tu przyjechałem? — powiedział. — Przecież Dodd nie mógł go zabić. Jeżeli od 9.20 był na badaniu, to ma murowane alibi. A poza tym on przecież nie wchodził za scenę Chamber Theatre! Nie było go tam w ogóle! Portier widział przecież wszystkich wchodzących, a inną drogą nie mógł wejść. Zwariowałem chyba!

— Największy kłopot z wami, zawodowymi kryminologami jest ten, że nie możecie się obejść bez sprawdzenia prawdomówności wszystkich obecnych. Koniecznie chcecie złapać kogoś na kłamstwie. Tymczasem mordercy trzeba szukać zawsze poprzez motyw. Tam, gdzie jest zamordowany, musi być ten, kto go zamordował. I musi on mieć powód do zamordowania. A jeżeli powód taki ma kilka osób, to trzeba znaleźć taką osobę, która mogła to wykonać w ten sposób, w jaki zostało to wykonane, i w okolicznościach, które towarzyszyły morderstwu. Jeżeli jakimś cudem takich osób będzie dwie, to zawsze uda się wyeliminować jedną. Nad tym właśnie myślę w tej chwili. Mam dwóch morderców, a zabił przecież tylko jeden. Ale nie wiem, który.

— A jak, na przykład, wyeliminowałeś panią Dodd? — zapytał Parker bez ironii. — Imponujesz mi dzisiaj, mój stary. Moje sumienie policyjne nie chce ci wierzyć, ale ja sam, prywatnie, zaczynam ufać, że dostrzegłeś w ciągu tych... — spojrzął na zegarek — niecałych trzech godzin całą masę. Ale odpowiedz mi na pytanie o pani Dodd.

— Wstydzę się... — szepnęła Alex. — Mój argument jest tak niepoważny, że gotów jestem zawrócić i zaarrestować ją...

— Nie! — powiedział Parker. — Nie ucieknie mi w końcu. Nawet jeżeli się mylisz i jeżeli wymknie się wartującemu Stephensowi, policja znajdzie ją. O to jestem spokojny. Mów!

— O jej niewinności przekonał mnie fakt, że Vincy został zabity, kiedy leżał na wznak.

— Cóż z tego? Czy kobiety nie zabijają mężczyzn leżących na wznak? Mógłbym ci przytoczyć kilkanaście przykładów...

— Zgoda, ale nie ta kobieta, nie tego mężczyznę i nade wszystko nie w tych okolicznościach.

— A to dlaczego?

— Tu już wkraczamy w królestwo fantazji, niemniej jednak jest ona dla mnie tak obowiązująca, jakbym był przy tym, chyba że potrafisz coś zarzucić mojemu rozumowaniu. Otóż wyobraź sobie taką sytuację: Jesteś Stefanem Vincy i oczekujesz kobiety, która ma ci doręczyć klejnoty o zawrotnej, astronomicznej wartości miliona funtów. Wiesz o tym, że mają one taką wartość, wiesz o tym, że ta kobieta przyjdzie. Z przyjściem jej łączysz ze zrozumiałych względów wszystkie nadzieje ogromnej zmiany losu. I co? Czy naprawdę, nawet gdybyś potrafił się położyć choć na chwilę, a nie przechadzał po pokoju, czekając na nią i nie mogąc sobie znaleźć miejsca, czy naprawdę położyłbyś się i nie wstał po jej wejściu? Czy w ogóle podczas jej krótkiego pobytu umiałbyś się położyć, mając w ręce tę torebkę pełną skarbów? Czy człowiek skonfrontowany z tak fantastyczną przygodą kładzie się nagle na wznak na kozetce? Chyba po to, aby ta, która przyniosła klejnoty, mogła otworzyć szufladę za jego plecami i wyjąć z niej sztylet, o którego istnieniu w ogóle nie wiedziała? Nie. Vincy po prostu nie mógł leżeć w tych

okolicznościach. A Angelica Dodd jest kobietą tak drobną i tak wyraźnie słabą fizycznie, że trudno przypuścić, aby mogła go uderzyć spokojnie, z taką siłą w pierś, a potem zaciągnąć na kozetkę, wwindować na nią i upozorować samobójstwo. Zresztą analiza medyczna mówi o tym, że zginął leżąc, prawda? Nie, mój kochany, chociaż argument taki wydaje się zupełnie błahy i sąd długo by nad nim deliberował, ale psychologicznie jestem aż nadto usprawiedliwiony. Nie przyjmuje się milionów na leżąc, i to w garderobie, naprędce, kiedy osoba, która je przysłała wręczyć, zaraz odejdzie. Przede wszystkim Vincy otworzyłby torebkę i zbadał jej zawartość, zanimby oddał listy. A potem Angelica Dodd nie miałaby żadnego powodu, żeby pozostać, gdyby on wyciągnął się do drzemki... Do jakiej drzemki? Do jakiego wypoczynku? Było już przecież po spektaklu. Mógł iść do domu. Miał milion przy sobie! Powinien był być już ubrany i rozcharakteryzowany! Minęło dwadzieścia minut od jego zejścia ze sceny, bo pani Dodd weszła piętnaście po dziesiątej, a on zszedł ze sceny o dziewiątej pięćdziesiąt kilka. Czy masz odpowiedź na to?

Parker skinął głową.

— Rzeczywiście. Trudno na to odpowiedzieć. Ale czy ty masz na to odpowiedź?

— Więc powiadam ci, że mam dwie. Vincy'ego mógł zabić jeden z dwóch ludzi, których podejrzewam. Oczywiście przesłuchania mogą jeszcze radykalnie zmienić mój pogląd. W śledztwie może wyniknąć coś, czego nie wiemy, czego nie przewidzieliśmy. Ale po tym, co zobaczyłem do tej pory, nasuwają się dwa rozwiązania. Albo „A”, albo „B”. Wykluczam panią Dodd. Detektyw Stephens marnuje czas przed jej domem. Ale mniejsza o detektywa Stephensa. Co masz zamiar zrobić teraz?

— Chciałbym przesłuchać cały personel teatru, a potem zastanowimy się — mruknął Parker. — Szczerze mówiąc dziś, jak nigdy, jestem zadowolony z tego, że zaprosiłem ciebie do współpracy z nami. Ta sprawa wymyka mi się z palców... Ale, w końcu, to dopiero niecałe trzy godziny. Masz słuszość, nikt nie żąda schwymania skrytobójców w ciągu paru godzin... .

Przez chwilę milczeli. Samochód mknął przez opustoszałe ulice miasta.

— Tak... — Joe Alex przymknął oczy. — To niesamowita sprawa. Ciągle jeszcze nie rozumiem jednego...

— Czego?

— Och, wydaje mi się chwilami, jak gdyby zamordowali go dwaj ludzie niezależnie od siebie... Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ślady prowadziły w dwu przeciwnych kierunkach. Jacyś dwaj ludzie zachowują się tak, jakby go zamordowali i chcieli zatrzeć za sobą ślady. Ale dlaczego? Dlaczego? Przecież morderca był tylko jeden i działał sam.

— Niech mnie zabiją jak psa! — szepnął Parker. — Niech mnie zabiją i zakopią w ziemi bez pogrzebu, jeżeli widzę tu chociażby jednego mordercę...

— Zobaczysz — mruknął Alex w rozmarzeniu. Nagle poderwał się na siedzeniu. — A co, w końcu, z tym czasem zabójstwa? Przecież to niemożliwe, żeby doktor tak długo stwierdzał to wszystko... Widocznie coś mu się nie zgadza. Zobaczysz, że wynik badania będzie rewelacyjny.

— Tak sądzisz?

— Jestem pewien. Włosy nam staną dęba, kiedy dowiemy się, o której prawdę zginął Vincy... Ale czy to coś wyjaśni? Obawiam się, że nie wyjaśni, kto go zabił...

— Ślicznie! — powiedział Parker. — Wspaniale! Znakomicie! Jestem wzruszony twoim optymizmem. Lubię wesołych, pogodnych chłopców!

— Ben... — powiedział cicho Alex.

— Co?

— Kiedy będziesz rozmawiał z doktorem, zapytaj, tak na wszelki wypadek, czy Vincy mógł być zabity przez mańkuta... to znaczy lewą ręką.

— Co takiego? — Parker potrząsnął głową i spojrzał na niego. Ale ku swemu zdziwieniu Alex dostrzegł, że inspektor uśmiecha się szeroko. — Joe, czuję się bezradny jak dziecko, ale zaczynam już coś rozumieć. Zaczynam rozumieć, Joe!

— To znaczy, że jesteś w szczęśliwszej sytuacji niż ja. Ja jeszcze nie rozumiałem.

Ale inspektor zatarł ręce i gwizdnął przeciągle przez zęby.

— Tak... — powiedział na pół do siebie, na pół do przyjaciela. — Przemknęło mi to przez głowę, kiedy rozmawialiśmy z Davidsonem, ale potem zapomniałem o tym. Myślałem za wiele o pani Dodd. Sprawa wydawała się taka jasna...

— Jasna? — Alex otworzył oczy i spojrzał na niego. Był bardzo poważny w tej chwili. — Dla mnie nic tu jeszcze nie jest jasne, chociaż chwilami wydaje mi się, że wiem wszystko, absolutnie wszystko.

Samochód zatrzymał się. Parker wyskoczył jak piętnastoletni chłopiec i znalazłszy się w portierce ujął słuchawkę aparatu.

— Czy to pan, doktorze?... Tak... Tak... co?... Tak... To oczywiście zwalnia od podejrzenia pewną bardzo sympatyczną damę, której w cichości serca życzyłem jak najlepiej... Ale bardzo komplikuje sprawę... A czy mógł być zabity przez osobę leworęką?... Co?... Nie... Wyklucza pan to... Tak... Dziękuję... Dobranoc, doktorze...

Opuścił słuchawkę i spojrzał na Alexa, który stał w drzwiach, zapalając gold flake'a wyjętego z pękatej, skórzanej papierośnicy.

— Wiesz, co on powiedział, Joe?

— Powiedział, że osoba leworęką nie mogła dokonać zabójstwa. A co z czasem zbrodni?

— Powiedział dosłownie tak: „Morderstwo zostało popełnione w nieprzekraczalnym czasie: godzina 9.00 — 10.00”. W jego przekonaniu dokonano zbrodni

na długo przed 10.00, ale musi ustąpić przed faktami. Powiedział: „Będę świadczył jako biegły w każdym sądzie i zeznam pod przysięgą, że niewinny jest człowiek, którego oskarży się o popełnienie tej zbrodni chociaż minutę po tym terminie!” Vincy zabity został prawą ręką. Wskazuje na to kąt rany i rysunek jej brzegów. Wiesz, że przy uderzeniu istnieje pewna specyfika itd.?

— Wiem. . . — Alex kiwnął głową. — To wiele upraszcza. A w każdym razie możesz wysłać samochód po detektywa Stephensa i zatelefonować do pani Dodd, że jest zwolniona z domowego aresztu. O 10.00 siedziała dwa jardy ode mnie na widowni.

Parker uczynił to natychmiast, a kiedy odkładał słuchawkę, widać było, że odczuwa ulgę.

— Bez względu na to, kim jest ów morderca, cieszę się, że to nie ta biedna kobieta, która dosyć, zdaje się, wycierpiała w życiu, i to za sprawą tego nieboszczyka. . . Teraz chciałbym obudzić dyrektora Davidsona, jeżeli usnął, i chwilę porozmawiać z nim o ludziach, których będziemy przesłuchiwać. To nam trochę ułatwi zadawanie pytań.

— Sądzę, że to dobra myśl — Alex kiwnął głową.

— Chodźmy! — Parker otworzył drzwi portierki i znowu rozpoczęli wędrówkę korytarzem, mijając drzwi garderoby Stefana Vincy, za którymi wciąż jeszcze płonęło jasne, ostre światło.

Rozdział 12

Druga rozmowa z dyrektorem Davidsonem

Na korytarzu spotkali sierżanta Jonesa, który przechadzał się równym krokiem wśród napisów: CISZA! pogwizdując głośno i fałszywie *Que serra, serra*.

— Jones!

— Tak, szefie?

— Wypiszesz mi czytelnym charakterem pisma całą listę personelu. Za piętnaście minut chcę tu widzieć Henryka Darcy, a potem, kolejno, resztę. Na końcu przywieziecie Ewę Faraday. Nie chcę, żeby się widzieli. Dostyc jest tu wolnych pomieszczeń. Trzeba ich wszystkich tak roztasować, żeby nie widzieli się z sobą i żeby ci, którzy zostali już przesłuchani, nie mogli opowiadać innym, o czym była mowa.

— Tak, szefie! — Jones ruszył w stronę portierki. Stojący na końcu korytarza, u wylotu schodów agent wyprężył się, kiedy Parker stanął przy nim.

— Czy dyrektor Davidson schodził na dół?

— Nie, panie inspektorze.

— A czy ktoś do niego wchodził?

— Też nie, panie inspektorze. Nikt, poza naszymi ludźmi, nie porusza się po gmachu.

— Dobrze.

Ruszyli po schodach. Na pukanie Davidson odpowiedział od razu: — Proszę wejść!

Widać było, że się nie kładł ani nie zmrużył oka. Siedział przy stoliku pod lampą i czytał.

— Kryminalna książka! — Westchnął i odłożył ją zrezygnowanym ruchem.

— Nie mogłem usnąć. Czy panowie wiecie już coś?

— Wiemy — Parker kiwnął głową. — Wiele już wiemy. Niestety, nie wiemy jeszcze, kto zabił Stefana Vincy. Dlatego chcielibyśmy zabrać jeszcze trochę pań-

skiego cennego czasu. Chciałbym, żeby nam pan opowiedział pokrótce, co pan wie o członkach zespołu aktorskiego i pomocniczego, którzy byli wczoraj w teatrze w czasie dokonania zabójstwa.

— Obawiam się, że o personelu technicznym wiem prawie tyle, co nic. Mam kierownika do tych spraw, który angażuje i zwalnia ten personel, podobnie jak i obsługę pracowni krawieckiej, stolarni i malarni. Czy mam go wezwać?

— Nie. Narazie nie. Ale o aktorach mógłby nam pan coś opowiedzieć, prawda?

Davidson zastanawiał się przez chwilę.

— Jedyne trzy osoby, o których mógłbym coś powiedzieć, to Henryk Darcy, Ewa Faraday i inspicjent, Jack Sawyer, Pozostali są mi prawie nie znani.

— Dobrze. Może wobec tego opowie nam pan o nich. Nie z punktu widzenia śledztwa, ale ogólnie.

— Dobrze. Więc Darcy... Ten chłopak przechodził niesłychanie skomplikowane koleje losu. Urodził się w cyrku, w rodzinie prestidigitatora i imitatora głosów zwierzęcych. Zapoznał się z areną już jako siedmioletni chłopiec. Jak zwykle bywa w tych rodzinach, zaczął występować z ojcem i matką. Wiedza cyrkowa przechodzi tam z ojca na syna. Podobno był bardzo zdolny. Kiedy ojciec umarł, rzucił cyrk i popisywał się naśladownictwem i sztuczkami w music-hallach. Był bardzo inteligentny, musiał już wtedy czytać bardzo wiele, bo nie byłby teraz tak wykształcony, mając dopiero trzydzieści pięć lat. Kiedy wybuchła wojna, wstąpił do wojska i został ciężko ranny. Jako inwalidę odesłano go ze szpitala w Indiach do kraju. Opowiadał mi kiedyś o tym. Mówił, że czytał i kształcił się dzień i noc, bo zapragnął, zostać reżyserem teatralnym. Jego rana odniesiona na froncie i zdolności, które widocznie dostrzeżono, pozwoliły mu zaraz po wojnie wstąpić do szkoły teatralnej. Był bardzo lubiany. Ludzie, którzy uczyli go wówczas, i ci, którzy razem z nim uczęszczali do niej, mówią o nim zawsze jak najlepiej. Nie zmienił się chyba od tego czasu. Jest niesamowicie utalentowany. Myślę, że to chyba najciekawszy reżyser naszego młodego pokolenia. Nieustannie poszukuje, snuje na kanwie sztuk swoje własne, oryginalne koncepcje i świat teatralny bardzo liczy się z jego zdaniem. Stał się modny ostatnio, a inscenizacja *Krzesel* przyniosła mu wielki, potwierdzony przez całą krytykę sukces. Nawet konserwatywna część opinii teatralnej przyznała, że w tym przedstawieniu widać genialne pociągnięcia... Cóż jeszcze? Historię z Ewą Faraday znacie panowie już. Poznał ją, kiedy zaproszono go na spotkanie z amatorami zespołu jednej z przędzalni na prowincji. Pojechał tam i wrócił oszołomiony talentem jednej z dziewcząt. Miała dwadzieścia dwa lata. To była Ewa Faraday. Takie zresztą jest jej prawdziwe nazwisko. Darcy zrobił z niej aktorkę. Myślę, że bardzo ją kocha. Ta sprawa z Vincym to był straszny cios dla niego. Byłem tu co dnia podczas prób i co dnia prawie miałem z nim konferencje na najrozmaitsze tematy dotyczące przygotowania premiery. Widziałem, ile go to kosztuje. Ale zachował absolutny spokój. To człowiek nie-

słuchanie opanowany. Zdaje się być zupełnie bez nerwów. Nigdy nie słyszałem, aby zdenerwował się na aktora. A przecież innym reżyserom zdarza się to często. Nie ma w nim absolutnie hysterii, która towarzyszy zawsze życiu ludzi teatru. . .

Urwał i zaczął się zastanawiać. Widocznie powiedział o Darcym wszystko, co uważał za istotne.

— A jak przebiegała inscenizacja „*Krzeseł*”? — zapytał Alex pozornie znużonym głosem, ale Parker, który znał go dobrze, uniósł brwi i spojrzał na niego z zaciekawieniem.

— Jak to? — Davidson nie zrozumiał.

— Chodzi mi o to, czy całą koncepcję miał już zrobioną przed rozpoczęciem prób, czy też dokonywał jakichś zmian w czasie przygotowań do premiery.

— Tak. . . Trochę zmieniał. Najpierw chciał grać całą sztukę bez przerwy, bo przecież Ionesco napisał ją jako jednoaktówkę. Ale później doszedł do wniosku, że dwoje aktorów nie zdoła wnieść na scenę potrzebnej ilości krzeseł, postanowił więc urwać sztukę w pewnym miejscu i dać publiczności odetchnąć. W tym czasie personel techniczny ustawia na scenie dwieście czy trzysta krzeseł, ułożonych w najfantastyczniejsze korytarze. . . Poza tym miał kłopoty z Vincym. Vincy nie chciał początkowo za nic na świecie grać w masce. Są to cienkie, nylonowe maski, ściśle przylegające do rysów, ale unieruchamiające mimikę aktora. Henryk cierpliwie i z uporem tłumaczył mu, że już w starożytnej Grecji aktorzy Ajschylosa, Eurypidesa i kogoś tam jeszcze grywali w maskach. W końcu obiecał mu, że będzie miał z tego spektaklu wielkie, doskonałe recenzje, chociaż nie ukaże swej twarzy. Vincy uwierzył. Sprawdziło się to zresztą.

— A dlaczego sam zagrał epizod Mówcy, a nie powierzył tego żadnemu z aktorów teatru?

— Zależało mu bardzo na tym przedstawieniu i sądził, że obecność reżysera na każdym spektaklu przyczyni się do trzymywania aktorów w korbach. Wie pan, jak aktorzy potrafią „rozegrać się” za dziesiątym albo dwunastym razem! Zmieniają ruch i głos, a wtedy przedstawienie rozłazi się w szwach. Henryk Darcy jest zwoleńnikiem absolutnego podporządkowania aktora ogólnej koncepcji reżyserskiej.

— Ciekawe, dlaczego ten Mówca wychodzi bez maski? — powiedział Alex. Oczywiście nie należy to do śledztwa, ale zastanowiło mnie to już w czasie spektaklu.

— Och, ja też go o to spytałem. Powiedział, że Mówca jest przecież nikim innym, jak samym Starym, czyli tym, co zostanie po Starym. Stary wierzy, że to, co po nim zostanie, wytłumaczy sens jego życia. Dlatego Mówca ubrany jest dokładnie tak jak Stary. Nie ma tylko maski, bo maska nie jest mu już potrzebna. Nie jest przecież Starym, ale ideą, cieniem, który pozostał po myśli ludzkiej. Dlatego ubrany jest w wielki, aksamitny kapelusz owych artystów z okresu cyganerii. Okazuje się, że ów cień myśli ludzkiej nie ma żadnego kontaktu z tymi, którzy pozostali. Bełkocze i odchodzi.

— Tak. . . — Alex kiwnął głową. — Rozumiem.

— A Ewa Faraday? — powiedział Parker. — Czy także uważa go za tak zdolnego człowieka?

— Na pewno. Wierzy w niego jak w Boga. Myślę, że była to straszna tragedia dla nich obojga. Ona także bardzo go kochała i nie wiem, czy nie kocha go nadal. Myślę, że tak. On ją także. Tacy ludzie jak Darcy nie przestają kochać kobiet, które ich porzuciły. Może mi pan wierzyć. Nie wiem, co ten Vincy miał w sobie takiego, ale zdmuchnął ją jak świecę, zanim zdołała się opamiętać. Na pewno sama nie wiedziała, jak to się stało. Ale w tym człowieku było coś, czemu prawie żadna kobieta nie mogła się oprzeć. Jego urok był nieubłagany. Ewa to bardzo zdolna dziewczyna. Jest skromna w obejściu, cicha, inteligentna. . . Są to cechy, którymi rzadko odznaczają się wschodzące gwiazdy teatralne czy filmowe. Życzę jej i jemu jak najlepiej. Ale los pokaże, co z tego wyniknie.

— Pozostał nam jeszcze Jack Sawyer. . .

— To jest krótka historia. Jack Sawyer jest synem mego kolegi szkolnego. Studiuje medycynę. Dałem mu pracę w teatrze, bo ojciec jego umarł i chłopak musi utrzymywać niedołążną matkę. Równocześnie pomaga mu to ukończyć studia i staramy się, żeby praca w teatrze nie kolidowała w godzinach rannych z jego wykładami. Ubóstwia Darcy'ego. Sprawuje się w teatrze bardzo dobrze. Być inspicjentem nie jest wcale tak łatwo, jak się wydaje. Jego awanturę z Vincym znacie, panowie?

— Tak — Parker wstał. — Dziękujemy panu bardzo, dyrektorze. Jeżeli będę potrzebował od pana czegoś, pozwoli pan, że wpadnę tu jeszcze, dobrze?

— Oczywiście. Jestem kawalerem. Nie mógłbym w ciągu tej nocy wysiedzieć sam w domu. Zostanę tutaj. I tak nie usnę. A od rana muszę zakręcić się za następcą Vincy'ego. Poza tym: reporterzy! Nie chcę nawet myśleć o tym!

— Ani ja! — Parker ruszył ku drzwiom. — Może pan jednak spróbuje usnąć? Gdybym nie musiał pracować, spałbym teraz jak kamień.

Uśmiechnął się i wyszedł, a Alex bez słowa wysunął się za nim jak wierny, nieodstępny cień.

Rozdział 13

Tylko nie pytaj nikogo z nich o maskę!

Parker usiadł za stolikiem w garderobie zamordowanego i zaczął odczytywać półgłosem listę osób obecnych w teatrze podczas i po przedstawieniu.

1. Stefan Vincy – aktor
2. Henryk Darcy – reżyser
3. Ewa Faraday – aktorka
4. Jack Sawyer – inspicjent
5. Richard Caruthers – elektryk
6. Malcolm Snow – kurtyniarz
7. Oliver Ruffin – garderobiany
8. Simon Formes – strażak
9. William Gullins – portier
10. John Knithe – sufler
11. Susanna Snow – garderobiana

Dopisał piórem:

12. Angelica Dodd – (ma alibi) weszła 10.15.

— Poza tym dwaj tak zwani brygadierzy sceniczni, robotnicy, którzy po przerwie odeszli do domu, ustawili krzesła. Nazwiska ich brzmią: Stanley Higgins i Joshua Braddon. Na wszelki wypadek dopisuję ich.

— To wszyscy? — zapytał Alex.

— To już absolutnie wszyscy.

— Dobrze — Alex uśmiechnął się nieznacznie, a potem spoważniał.
— Dlaczego się śmiejesz? — zapytał Parker. — Czy chcesz coś powiedzieć?
— Nie. Zupełnie nic. Ach, może tylko to, żebyś nikogo z przesłuchiwanym nie pytał o maskę Vincy'ego.

— Nie? A dlaczego?

— Zrób to dla mnie. Za godzinę powiem ci o niej wszystko. A przynajmniej mam nadzieję, że ci powiem. Parker zawahał się.

— Zgoda — mruknął wreszcie. — Dzisiaj ty rządzisz. Obyś tylko okazał się wielkim i mądrym władcą.

— Spróbuję. . . — szepnął Alex skromnie — zasłużyć na uznanie sił policyjnych Jej Królewskiej Mości. Ale w wypadku niepowodzenia schowam się chyba pod ziemię ze wstydu.

— Wtedy spróbujemy bez cudów, za to spokojnie i z umiarem — powiedział inspektor. — Ale zacznijmy, w imię boże! Jones!

— Tak, szefie? — okrzyknęła, krótko przystrzyżona, a la Gerard Philippe głowa sierżanta ukazała się w szparze drzwi.

— Poproś tu pana Henryka Darcy.

— Tak, szefie!

Po chwili Henryk Darcy wszedł do pokoju. Był to człowiek wysoki, młody jeszcze i można by go nawet nazwać pięknym, gdyby nie zbyt wysokie czoło, które było wypukłe i zajmowało nieco zbyt wiele miejsca, psując proporcje budowy czaszki. Alex widział go po raz pierwszy w życiu, nie licząc epizodu na scenie, kiedy część twarzy niknęła pod rondem wielkiego czarnego kapelusza. Zauważył, że Darcy obrzucił garderobę spokojnym, niemal obojętnym spojrzeniem, które nie zatrzymało się ani na chwilę dłużej na kozetce.

— Proszę, niech pan siada. . . — Parker wskazał mu krzesło. — Wie pan już zapewne, kim jesteśmy. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa popełnionego na jednym z pańskich kolegów, Stefanie Vincy. Czy pan ma coś do zakomunikowania w tej sprawie?

Darcy z wolna potrząsnął głową.

— Nie, proszę pana.

To było wszystko. Głos miał niski i przyjemny.

— Nie zauważył pan niczego niezwykłego bądź w czasie trwania spektaklu, bądź później?

— Nie.

— Hm. . . — Parker zastanowił się. — Może w takim razie opisz nam pan jak najdokładniej każdą chwilę, którą spędził pan wczorajszego wieczoru w Chamber Theatre.

— Oczywiście — Darcy skinął spokojnie głową. — Przyszedłem do teatru na kilka minut przed rozpoczęciem spektaklu. Ponieważ występuję pod koniec drugiej odsłony i właściwie zamykam przedstawienie, więc nie musiałem się spie-

szyc. Z drugiej strony, chciałem być obecny w teatrze podczas przedstawienia. W zespole wynikły pewne niesnaski... pomiędzy panną Faraday a zmarłym Stefanem Vincy. Ponieważ grali oboje dwie główne, a właściwie jedyne role, więc wolałem być przy tym, żeby w razie czego zapobiec dalszym nieporozumieniom, które odbijały się na całości przedstawienia.

— Czy tylko dlatego? — zapytał Parker spokojnie.

— Nie. To był powód „urzędowy”, jeśli wolno to tak określić. Powód „prywatny” to było pragnienie ochrony Ewy Faraday przed brutalnością zmarłego Vincy. To był tchórz, a ponieważ zapowiedziałem mu, że go zabiję jak psa, jeżeli ją jeszcze kiedykolwiek obrazi, więc moja obecność powinna go była powstrzymać.

— Więc groził mu pan zabójstwem tylko dlatego, że odezwał się niegrzecznie do panny Faraday?

— Tak.

— Dlaczego, na miłość boską?

— Nie dlatego, abym go chciał zabić, nie sądzę, abym w ogóle umiał zabić człowieka... nawet Vincy’ego, który w moim przekonaniu był niewiele wart. Myślę, że nikt nie ma prawa zabić drugiego człowieka pod żadnym pozorem, poza fizyczną samoobroną w jakimś zupełnie krańcowym wypadku. Ale i to, oczywiście, przypadkowo. Zamiar mordy nie powinien istnieć w umyśle żadnego uczciwego człowieka, bo mord nie przekreśla żadnych krzywd, ale jest atakiem na całą ludzkość, na wszystko to, co stanowi jej sens właściwy. Nawet urzędową karę śmierci uważam za zbrodnię.

— Brawo! — powiedział cicho Alex.

Darcy spojrział na niego szybko, ale widząc, że Alex nie kpi, skinął głową jak gdyby dziękując.

— Ale nie o to mnie pan pytał. Powiedziałem tak, bo, jak wspominałem, Vincy był tchórzem, a chciałem za wszelką cenę, aby nie ranił więcej tej osoby, która jest mi bardzo bliska. Kocham Ewę Faraday i niech to mnie usprawiedliwi.

— Dobrze... — Parker skinął głową. - Dziękuję panu za szczerość. Proszę mówić dalej.

— Ubrałem się w kostium i ucharakteryzowałem przed rozpoczęciem przedstawienia, żeby później mieć wolną głowę. Kiedy rozpoczął się spektakl, stanąłem w kulisie i przyglądałem się grze. Dostrzegłem, że Vincy jest zdenerwowany, dwa czy trzy razy „połknął” parę zdań tekstu, czego widzowie nie zauważyli, bo jest to rutynowany aktor i umie sobie dać radę w takich chwilach. Ale orientowałem się, że jest roztrzęsiony, i nie ruszałem się z miejsca, obawiając się, że coś się może stać... I rzeczywiście, w pewnym momencie, kiedy Stara, to znaczy Ewa, obejmuje Starego i przytula się do niego, dostrzegłem, że odepchnął ją prawie i powiedział do niej szeptem parę słów, kiedy ustawiali krzesła. To także było nieuchwytnie dla widza, ale ja, który znam każde drgnienie głosu w tej sztuce, od

razu spostrzegłem, że Ewa jest wzburzona. . . Kiedy skończyła się pierwsza odsłona i opadła wreszcie kurtyna, Vincy zawrócił w miejscu i znikł w kulisie, a Ewa, słaniając się i płacząc, zerwała maskę. Podbiegłem do niej i odprowadziłem ją do garderoby. Okazało się, że zabrudziła mu kostium szminką. . . — Darcy urwał na chwilę i zastanawiał się przez mgnienie oka. — Tak. . . — dodał. — Odprowadziłem ją do garderoby i uspokajałem ją wraz z garderobianą. Dostała ataku płaczu i nie mogła się uspokoić.

U aktorek tego rodzaju sprawy przebiegają bardzo ostro, bo w czasie przedstawienia nerwy są i tak napięte. Potem do garderoby zapukał jeden z robotników, którego wysłał inspicjent. Był jakiś błąd w ustawieniu krzeseł i chciał upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Poszedłem razem z robotnikiem na scenę i byłem tam przez kilka minut. Potem przeszedłem przez scenę i ruszyłem ku drzwiom naprzeciw garderoby Vincy'ego. Tam spotkał mnie elektryk Caruthers. Kabel jednego z reflektorów przerywał pod koniec pierwszej odsłony. Światła są u mnie bardzo ważną częścią spektaklu, więc idąc słuchałem tego, co mówi Caruthers. Co prawda niewiele słyszałem, bo byłem wściekły. Przed drzwiami garderoby Stefana odprawiłem Caruthersa, zbywając go paru słowami. Zresztą za trzy minuty kurtyna miała już pójść w górę. Wszedłem. . . Vincy siedział na kozetce i patrzył na kosz kwiatów. . . O, tych. Podeszedłem do niego. Nie wiem, ale chciałem, zdaje się, go uderzyć. Ale on wstał szybko i zaczął mnie przeproszać. Powiedział, że ma dziś straszny dzień, że gnębi go ból głowy, a poza tym ma jakieś kłopoty. . . I że daje mi słowo, że to się już nigdy nie powtórzy. Złość minęła mi, kiedy zaczął tak mówić. A potrafił mówić niezwykle przekonująco. Zresztą. . . W każdym razie wyszedłem bez słowa, mając przekonanie, że to się już nigdy nie powtórzy.

— Na pewno. . . — szepnął Alex.

Darcy spojrział na niego przelotnie i ciągnął dalej:

— W czasie drugiej odsłony stałem bez przerwy w ciemnej kulisie i patrzyłem na grę aż do chwili, gdy nadeszła pora wyjścia na scenę. Potem były owacje widowni. Vincy nie wyszedł. Pomyślałem, że to może przez ten ból głowy albo może obraził się na mnie i chce mi dać do zrozumienia, jako reżyserowi, że lekceważy mnie i tę rolę. W ostatnich dniach zachowywał się zresztą trochę dziwnie i ciągle mówił, że ma dosyć tych błazeństw w maskach i odejdzie z teatru. . . Zszedłem ze sceny razem z Ewą Faraday, a potem rozcharakteryzowałem się, przebrałem i zawołałem garderobianego, żeby oczyścił mi ubranie. Wszedłem do Ewy, która była już ubrana, ale jeszcze kończyła toaletę, bo u kobiet zawsze trwa to trochę dłużej. Później wyszliśmy razem z teatru. To wszystko.

— I nie zauważył pan nic niezwykłego, nigdzie?

— Nie. . . może jedno. . . Ale to chyba nie ma znaczenia. . . Kiedy wychodziliśmy i mijałem drzwi garderoby Vincy'ego, nadepnałem na coś. . . Pochyliłem się. To był klucz. Spojrzałem i zobaczyłem, że dziurka od klucza jest oświetlona, więc włożyłem ten klucz w zamek. Pomyślałem, że Vincy wychodząc po spek-

taklu trzasnął może drzwiami tak, że klucz wyleciał. Wewnątrz nikt się nie poruszył, więc pomyśleliśmy oboje, Ewa i ja, że pewnie już wyszedł. To już naprawdę wszystko.

— Z tego, co pan powiedział, wynika, że od chwili zejścia ze sceny aż do chwili wyjścia z teatru był pan nieustannie w towarzystwie ludzi i ani przez chwilę sam, prawda?

— Nie. Byłem sam w garderobie. Garderobiany był wtedy na korytarzu i czekał, aż go zawołam.

— Pańska garderoba nie ma innego wyjścia?

— Nie ma nawet okna.

— Tak. Dziękuję panu, panie Darcy. Może pan będzie łaskaw udać się do swojej garderoby i czekać tam na ewentualne wezwanie. Przykro, że muszę prosić pana o to o wpół do czwartej nad ranem, ale być może, będzie pan nam musiał jeszcze udzielić koniecznych objaśnień, jeżeli zajdzie potrzeba. Dziękuję panu raz jeszcze.

— Jestem do dyspozycji panów... — Darcy wstał. Parker odprowadził go do drzwi i skinął na Jonesa.

— Czy jest tu inspicjent Jack Sawyer?

— Tak, szefie.

— Dawajcie go tu za pięć minut.

— Tak, szefie. Inspektor zawrócił i usiadł.

— Co myślisz, Joe?

— Myślę, że teraz już wiem, kto zabił Stefana Vincy. Ale wciąż jeszcze nie jestem tego zupełnie pewien.

Rozdział 14

Nikt nie mógł go zabić

Kiedy drzwi zamknęły się za ostatnim z przesłuchiwanym członkiem zespołu pomocniczego Chamber Theatre, Parker westchnął ciężko.

— Została nam już tylko Ewa Faraday... — mruknął. — Jeżeli nie zjawi się ona zaraz i nie powie z uroczym uśmiechem, że zabiła tego faceta, to sam nie wiem, co zrobić. A zresztą nawet gdyby przyznała się, to nie mógłbym jej uwierzyć! Popatrz! Odrzuciwszy Stefana Vincy, który został zabity, i Angelicę Dodd, która weszła za kulisy po popełnieniu zbrodni, pozostaje nam dwanaście osób. Interesuje nas to, co się działo z nimi po zejściu Vincy'ego ze sceny.

1. Henryk Darcy: wszedł na scenę w kilka sekund po zejściu Vincy'ego, więc nie mógł go zamordować w garderobie, bo nie zdążyłby wrócić na czas. Potem miał swój bełkotliwy monolog, potem odprowadził Ewę Faraday do garderoby, a sam wszedł do swojej, co potwierdza jego garderobiany, który nie oddalał się od drzwi i czekał na wezwanie. Byli tam zresztą: kurtyniarz Malcolm Snow i sufler John Knithe, którzy czekali, aż Susanna Snow skończy ubierać Ewę; Darcy ma trzech świadków, którzy nie odchodzili od jego garderoby, a potem widzieli go, gdy wszedł do Ewy. Garderoba Ewy także nawet nie ma okna, tylko jedyne drzwi wychodzące naprzeciw drzwi Darcy'ego. Stamtąd wyszedł razem z Ewą, którą zabrał na kolację swoim autem stojącym przed teatrem. Amen! Ani chwili sam!
2. Ewa Faraday: nie zeznawała jeszcze, ale mamy zeznanie Darcy'ego, garderobianej Susanny Snow i innych. Stała w kulisie po zejściu ze sceny. Inspicjent stał tuż obok niej, a także sufler. Potem wyszła się kłaniać. Zeszła z Darcym prosto do garderoby. Dalej... jak wyżej. Ani chwili sama! Amen.
3. Oliver Ruffin – garderobiany: przed zejściem Vincy'ego ze sceny siedział w garderobie Ewy Faraday i rozmawiał z Susanną Snow do chwili, kiedy usłyszeli brawa na koniec sztuki. Wtedy wyszli oboje i czekali, aż przyjdą aktorzy. Potem... jak wyżej... Ani chwili sam! Amen!

4. Susanna Snow – garderobiana: jak wyżej, ani chwili sama! Amen!
5. Malcolm Snow – kurtyniarz.
6. i John Knithe – sufler: zeznają obaj, że w chwili zejścia Vincy’ego ze sceny stali razem i dyskutowali na temat totalizatora piłkarskiego. Cały ten teatr gra w totalizatora! Potem poszli razem na korytarz, przed garderobę Ewy Faraday i Darcy’ego, i tam wypełnili kupony, oczekując na Susannę Snow. Potem, razem z nią i Ruffinem, wyszli we czwórkę do nocnego punktu totalizatora. Ani chwili sami! Amen!
7. Jack Sawyer – inspicjent: był zdenerwowany przebiegiem spektaklu. Najpierw Vincy wyprowadził z równowagi Ewę Faraday, a później przez pół przerwy robotnicy nie mogli sobie dać rady z ustawieniem krzeseł, tak że i jemu samemu się to pomyliło i musiał wezwać reżysera. Po spektaklu ma alibi związane z 8) Simonem Formes — strażakiem na służbie za kulisami i 9) Richardem Caruthers — elektrykiem. Richard Caruthers miał w pierwszej części kłopoty z reflektorem. W czasie przerwy próbował usunąć uszkodzenie, ale nie udało mu się. Widząc przechodzącego przez scenę Darcy’ego podszedł do niego pytając, co zrobić, jeżeli reflektor zgaśnie, ale Darcy sprawiał wrażenie nieprzytomnego i odpowiadał nie za mądrze. Caruthers odprowadził go aż do drzwi garderoby Stefana Vincy, a potem zawrócił prędko, bo za chwilę był początek spektaklu. Zaledwie wszedł na swoją wieżyczkę i spróbował reflektora, kurtyna poszła w górę. Z Darcym rozstał się na mniej więcej trzy minuty przed rozpoczęciem drugiego aktu. W czasie drugiej części uszkodzony reflektor zaczął migać coraz bardziej i Caruthers poczuł zapach palącej się gumy. Dał więc znak strażakowi Simonowi Formes i inspicjentowi. Musiał manipulować reflektorem aż do końca spektaklu, ale natychmiast potem we trójkę przebadali cały kabel, znaleźli uszkodzone, tłące się miejsce, usunęli uszkodzenie i razem wyszli do szatni dla personelu, gdzie strażak także powiesił swoją czapkę, bo służbę odbywa w hełmie. Żaden z nich trzech nie rozstawał się z innymi ani na chwilę po spektaklu! Amen!
8. William Gullins – portier: siedział do końca przedstawienia z siostrą, którą wsadził w taksówkę dziesięć po dziesiątej; czwórka wychodzących osób, idąca nadać kupony totalizatora, widziała ją wsiadającą do taksówki i nawet ktoś zrobił dowcip, że Gullins nie musi grać, bo i tak panny taksówkami odprawia. A dziesiąta jest granicą, poza którą nasz lekarz policyjny zezna pod przysięgą, że Vincy był już trupem. Więc Gullins też nie zabił! Amen!
9. i 12. Robotnicy Stanley Higgins i Joshua Braddon ustawivszy krzesła na scenie postali chwilę z inspicjentem, a potem wyszli z teatru, bo dekoracje rozbiera się przed przedstawieniem. Zresztą dekoracja jest jedna i zmiana

polega tylko na ustawieniu tych krzeseł w przerwie. Wobec tego kierownictwo zwalnia ich obu wcześniej w tej sztuce, bo nic więcej nie mają do roboty. Kiedy Vincy zginął, nie było ich już od przeszło pół godziny w teatrze, co potwierdza portier Gullins, który widział ich wychodzących. Amen! To już wszyscy. Nikt nie wszedł do teatru drzwiami prowadzącymi z widowni, bo są to drzwi posiadające klamkę tylko od strony kulis, a gdyby ktoś chciał wejść, musi zadzwonić. Dzwonek był popsuty od poprzedniego wieczoru i Caruthers zapomniał go naprawić! Żeby było śmieszniej! Nikt nie składał żadnych wizyt aktorom za kulisami. Nikt nie wszedł od strony łoża portiera ani przed spektaklem, ani w czasie trwania spektaklu, ani po jego zakończeniu. Jediną osobą, która weszła, była Angelica Dodd. Koło zamyka się. Wobec tego nikt nie mógł zabić Stefana Vincy.

— Bądź dobrej myśli — Alex uśmiechnął się ponuro. — Przecież jednak go zabito.

— Tak, to prawda — Parker westchnął. — Zabito go, a poza tym nie przesłuchaliśmy jeszcze Ewy Faraday. Jones!

— Tak, szefie?

— Poproście tu pannę Ewę Faraday. . . Albo nie. Może jednak przyjdzie gdzie indziej. Czy jest tu jakaś pusta garderoba?

— Tak, szefie.

Jones wskazał im drogę. Minęli główny korytarz i weszli w drugi, równoległy do korytarza, w którym była garderoba Vincy'ego. Pierwszych dwoje leżących naprzeciw siebie drzwi prowadziło do garderoby Ewy Faraday i Henryka Darcy. Pozostałe były puste. Spacerował przed nimi detektyw Mullins. Jones rozlokował tam część przesłuchiwanym osób, ale jedna garderoba nadal była nie zajęta. Tam wprowadził inspektora i Alexa. Po chwili weszła Ewa Faraday. Była to młoda, niezbyt wysoka dziewczyna o spokojnej, pięknej twarzy, okolonej długimi, prostymi ciemnymi włosami. Oliwkowe, wielkie oczy były nieco zaczerwienione. Parker wskazał jej krzesło i powtórzył grzecznościową formułkę, której używał wobec przesłuchiwanym kobiet. Potem poprosił ją o opisanie minionego wieczoru. Ale zeznania Ewy nie wniosły nic nowego. Potwierdziła wszystko to, co mówił Darcy i inni.

— Proszę teraz zastanowić się, czy nie uderzyło panią absolutnie nic w czasie przedstawienia, przed nim albo po nim?

— Nie. . . Nic. . . — zawahała się.

— Co takiego? — inspektor zrobił zapraszający ruch ręką. — Proszę nam powiedzieć, jeżeli nawet uważa pani ten fakt za absolutnie nieważny. . . Nigdy nie wiadomo, co jest potrzebne śledztwu, dopóki nie zostanie ono zakończone.

— Więc może tylko jedno. . . ale to drobiazg. . . W drugiej odsłonie jest taka chwila, kiedy ja, to znaczy Stara, bojąc się myśli o śmierci, biegnę przez całą sce-

nę w stronę Starego i obejmuję go gwałtownie, przyciskając się do niego z całej siły... W pierwszej części jest bardzo podobna sytuacja, chociaż nie przebiegam, ale obejmuję go, stojąc przed nim. Właśnie w pierwszej części Stef... pan Vincy odepchnął mnie, kiedy zabrudziłam go szminką... Więc w drugiej części, biegnąc, pamiętałam o tym i odwróciłam głowę w bok. Przez to przytuliłam się do niego nawet jeszcze mocniej... i...

— I wyczuła pani jakiś mały, twardy przedmiot w kieszeni jego bluzy na piersi, czy tak? — powiedział Alex.

— Tak! Ale skąd pan o tym wie?

— Tak przypuszczałem.

Parker spojrział na niego ze zdumieniem, ale nie powiedział ani słowa.

— A jak zachowywał się Vincy w czasie przedstawienia? To interesuje nas bardzo. Czy nie sądzi pani, że o ile w pierwszej części był bardzo podniecony, to w drugiej podniecenie to minęło, jak gdyby jego przyczyna została wyjaśniona?

— Tak! — Ewa Faraday energicznie przytaknęła głową. — Prawie to samo pomyślałam. Bałam się tej drugiej odsłony, bo miałam zupełnie roztrzęsione nerwy i... Bałam się, że mogę się rozplakać na scenie, jeżeli on coś powie albo zrobi... Aktor potrafi zrobić lub powiedzieć czasem coś tak nieznacznie, że publiczność nie ma o tym pojęcia, a partner odbiera to doskonale... Trzęsłam się ze strachu, bo to byłoby najgorsze... Sprawy prywatne ludzi są tylko ich sprawami, ale zapuścić kurtynę w czasie przedstawienia... Nikt tego nie zrozumie, kto nie jest aktorem...

— Staramy się to jednak zrozumieć. Więc jakie pani odniosła wrażenie w drugiej części?

— Vincy zmienił się. Grał szybko. Nie „sypnął się” ani razu. To znaczy nie pomylił tekstu... Był chłodniejszy... Nigdy mi się z nim tak dobrze nie grało... Pod koniec zapomniałam prawie o wszystkich naszych sprawach. Byłam urzeczona i dlatego może sama wypadłam gorzej... ale zaskoczył mnie...

— Tak — Alex kiwnął głową ze zrozumieniem. — A czy nie pomyślała pani, jakie to miłe z jego strony, że stał tę płamę po szmince?

— Nie — Ewa uniosła ze zdumieniem brwi. Dla czegoż bym miała tak pomyśleć? Przecież takie rzeczy należą do obowiązków garderobianego. Skwitowałam to bez najmniejszej myśli. To nie miało nic wspólnego z sytuacją, jaka wytworzyła się pomiędzy nami. To znaczy, nie przyszło mi do głowy, że to może być jakiś gest z jego strony... Bo, zresztą, nie był przecież...

— Oczywiście, że nie — Alex wstał. Parker podniósł się również.

— Dziękujemy, panno Faraday — powiedział inspektor. — Jeżeli nie jest pani jeszcze zanadto zmęczona, prosilibyśmy, żeby poczekała pani trochę w swojej garderobie. Może pani się tam położyć, prawda?

— Och, nigdy już chyba nie usnę! — powiedziała z nagłą rozpaczą Ewa Faraday i odwróciwszy głowę wyszła, tłumiąc łzy.

— Biedaczka... — Alex popatrzył za nią. — Tak dzielnie trzymała się podczas całego przesłuchania. Ale wystarczyło jedno słowo o jakiejś zwykłej ludzkiej czynności, na przykład o śnie, i nie wytrzymała... .

— Mniejsza o pannę Faraday i jej sen! — powiedział Parker gorąco. — Czy możesz mi nareszcie wytłumaczyć, gdzie idę za tobą, a wraz ze mną całe śledztwo?

— Idziemy wszyscy krótką, wąską ścieżką w stronę zabójcy Stefana Vincy... — szepnął z roztargnieniem Joe Alex. — A następnym moim krokiem na tej ścieżce będzie pewna mała prośba pod twoim adresem.

— Jaka?

— Poproszę cię o kieszonkową latarkę elektryczną i klucze od drzwi prowadzących z korytarza na scenę.

Parker odwrócił się.

— Jones!

— Tak, szefie? — Sierżant pojawił się w drzwiach jak owa zabawka, która za naciśnięciem guziczka wyskakuje z otwierającego się pudełka.

— Latarkę elektryczną i klucze od drzwi na scenę!

— Tak, szefie! Głowa zniknęła.

— Zaraz będziesz miał latarkę... — powiedział Parker. — Czego jeszcze chcesz, żeby mnie doprowadzić tam, gdzie bezskutecznie chcę dojść od godziny 12.25, czyli od chwili przybycia tutaj?

Alex spojrzał na zegarek.

— Jest dwadzieścia pięć po piątej. Obiecuję ci, że za godzinę dowiesz się, kto jest mordercą, chociaż ja nie wiem jeszcze z całą pewnością, kim on jest. Ale fakt, że Vincy nie mógł zginąć, ale jednak zginął, bardzo nam chyba pomaga. No, pomyśl.

— Po pierwsze... — powiedział inspektor i nagle urwał. — Wielki Boże! — zawołał. — O mój wielki Boże!

— Poprosimy go tutaj, dobrze? Ale pozwolisz, że tym razem ja z nim porozmawiam... .

— Zgoda! — powiedział Parker i ruszył ku drzwiom, aby wydać rozkaz sierżantowi Jonesowi.

Rozdział 15

Śmierć mówi w moim imieniu

— Od jak dawna domyślałeś się tego? — zapytał Parker. — Pierwsze podejrzenie powziąłem w chwili, gdy... Jones zapukał i wpuścił Henryka Darcy.

— Proszę, niech pan spocznie — powiedział Alex uprzejmie. — Musimy, niestety, fatygować pana jeszcze raz. Chodzi nam o pewne uzupełnienie podanych przez pana informacji. Otóż jak wynika ze wstępnego śledztwa, Stefan Vincy nie mógł być zabity przez żadną z obecnych osób... po zejściu ze sceny. Z jednej strony wszyscy możliwi podejrzani mają alibi, a z drugiej, badanie lekarskie ogranicza dość istotnie czas dokonania zbrodni. Vincy mógł zginąć najpóźniej w pięć — siedem minut po zejściu ze sceny, co z kolei jest niemożliwe, gdyż w ciągu tych pięciu, powiedzmy: dziesięciu minut nikt z obecnych w teatrze nie mógł tego dokonać. Wobec tego nasuwa się tylko jeden wniosek, prawda?

Urwał. Henryk Darcy, który w milczeniu przypatrywał mu się, kiwnął głową, ale nie powiedział ani słowa.

— Jedyne logiczne wnioski to stwierdzenie, że Stefan Vincy zginął przed zejściem ze sceny — powiedział Alex. — Wydaje się to pozornie niemożliwe. Obecny tu inspektor Parker i ja byliśmy wczoraj przypadkowo na przedstawieniu i widzieliśmy go na własne oczy grającego do końca... Powstała więc pewnego rodzaju nie rozwikłana zagadka, która jest nie tylko zagadką kryminalną, ale również teatralną. Jest to przecież pierwszy wypadek, aby aktor grał swoją rolę po śmierci. Jak pan sądzi, czy to jest możliwe?

— Myślę, że raczej nie... — Darcy mimowolnie uśmiechnął się, ale natychmiast spoważniał i zaciął usta.

— Właśnie! — Alex poprawił się na krzeselku. — I ja tak przypuszczałem. Jest to niemożliwe, a z drugiej strony ja to widziałem na własne oczy, więc chyba musi istnieć jakieś rozwiązanie tej zagadki. Czy jako człowiek teatru mógłby je pan nam podać?

Henryk Darcy wzruszył ramionami.

— Czy długo jeszcze macie panowie zamiar pleść podobne głupstwa o godzinie piątej rano, mówiąc je do ludzi, którzy jeszcze nie zmrużyli oka?

— Nie. Już niedługo. A poza tym zaraz okaże się, że to wcale nie są głupstwa. Otóż jedyne rozwiązanie tej zagadki, rozwiązanie, którego pan nie chciał wypowiedzieć, brzmi: Aktor nie może grać po śmierci, więc musiał go chyba ktoś zastąpić. Ale kto? Czy w zespole teatru, pośród ludzi obecnych za sceną, nie zna pan nikogo, kto umiałby naśladować głosy innych ludzi, kto znałby na pamięć całą sztukę i najdrobniejsze odcienie gry i sytuacji scenicznych, kto w końcu byłby tego samego wzrostu co Vincy, tej samej mniej więcej budowy i kto miałby okazję wejść do garderoby Vincy'ego, zabrać maskę, wejść w niej za kulisy i rozpocząć grę? To bardzo wiele kwalifikacji potrzebnych naraz. No, niech się pan zastanowi.

Darcy jeszcze raz wzruszył ramionami.

— To zupełny nonsens. Przyglądałem się grze i muszę panom powiedzieć, że nie mam żadnych wątpliwości co do tego, kto grał!

— Jestem o tym najzupełniej przekonany. Ale może teraz przejdzie pan z nami za scenę teatru. Chciałbym, aby pomógł pan nam odtworzyć pewną sytuację. Jako reżyser spektaklu zna pan przecież cały jego przebieg na pamięć... Darcy bez słowa wstał. W milczeniu przeszli korytarzem do drzwi opatrzonych napisem: CISZA! Inspektor otworzył je. Wewnątrz było zupełnie ciemno.

— Niech pan łaskawie zapali wszystkie światła za sceną i na scenie — powiedział Alex.

Darcy wszedł w ciemność i po chwili usłyszeli trzask przekręcanego wyłącznika. Nadal było ciemno, ale od strony sceny przenikał za kulisy lekki blask. Wszli.

— Czy zapalił pan wszystkie światła?

— Te, które zwykle zapala się przy przedstawieniu — powiedział Darcy, stojąc obok nich w półmroku. — Za kulisami zawsze jest ciemno, bo inaczej światło przebijałoby na scenę.

— Tak, ale przecież można na pewno oświetlić całe zaplecze sceniczne. W czasie prób nie obowiązuje przecież zaciemnienie i aktorom trudno byłoby poruszać się w mroku.

— Oczywiście... — Darcy zaczął macać lewą ręką po ścianie i przekręcił jeszcze dwa wyłączniki. Wysoko w górze zapłonął rząd słabych żarówek. Znajdowali się teraz w długim, wąskim przejściu, biegnącym za właściwą sceną. Tworzyła je sięgająca sufitu ciężka, czarna zasłona. Po obu jej stronach otwierały się kulisy. — Przejdźmy może na lewą stronę, na tę, którą Vincy wychodził ze sceny... — Alex ruszył przodem, a Darcy i Parker za nim.

Po chwili znaleźli się w szerokim, pustym skrzydle kulis. Wychodził na nie półokrągły, jasny horyzont sceniczny zamykający właściwą scenę. Chcąc się dostać na nią, trzeba było zbliżyć się aż do ściany odgraniczającej kulisy od widowni. Było tam wąskie przejście. Alex precyzyjnie się tamtędy i przystanął. Przed

nim była półokrągła ściana właściwej sceny, a w niej kilkoro drzwi i otwarte okno osłonięte muślinowymi firankami. Było tu zupełnie pusto.

— Tędy wyskakuje Stary, popełniając swoje końcowe samobójstwo, prawda?

— Tak — Darcy skinął głową.

— A Stara wyskakuje z przeciwnej strony i nie widzi go potem zupełnie, aż do chwili, kiedy wejdą z obu stron, żeby się kłaniać. A Mówca?

— Mówca wchodzi środkowymi drzwiami, które łączą się z owym korytarzem poza sceną, którym tu doszliśmy.

— Więc także nie ma żadnego kontaktu ze Starym? A czy sufler znajduje się po tej stronie w czasie akcji?

— To zależy. Vincy często zapominał tekstu. Sufler znał jego niebezpieczne momenty. Suflerzy już w czasie prób podkreślają sobie miejsca szczególnie trudne do zapamiętania dla aktora. . . Dobry sufler stara się być zwykle jak najbliżej miejsca, w którym znajdzie się aktor podczas owego niebezpiecznego momentu. Ale zwykle znajduje się raczej po tamtej stronie kulis. Jest tam szersze dojście do sceny i lepsza widzialność tego, co się na niej odbywa. Tamta strona jest inaczej obudowana, bo tam zmagazynowane są krzesła, które trzeba wnieść w przerwie. . .

— Tak. Ale w końcu nie ma to większego znaczenia. Stary wyskakuje tym oknem. . . jest nadal w masce. . . Mówca wchodzi przejściem poza sceną. Po jakim mniej więcej czasie?

Darcy westchnął.

— Nie wiem, na co panu potrzebne są te wszystkie informacje, ale jeżeli pan je musi otrzymać, to Mówca wchodzi po mniej więcej dwudziestu sekundach. . . może dwudziestu pięciu. . . Chodzi o czas potrzebny dla stopniowego wzmocnienia światła. . . puszczenia wiatru na firanki i tak dalej.

— Tak. . . Dwadzieścia pięć sekund. . . W ostateczności nawet trzydzieści. . .

Alex poszedł do przejścia między sceną a kulisą i zniknął im nagle. Po chwili, ku swemu zdumieniu, Parker zobaczył go zeskakującego z okna, przebiegającego kulisę i znikającego za horyzontem scenicznym. Darcy stał nieruchomo, patrząc w jakiś niewidzialny punkt na kotarze okna.

— Jestem! — zawołał Alex i znowu ukazał się ich oczom w tym samym oknie, z którego poprzednio wyskoczył. — Trwało to piętnaście sekund! Dziesięć sekund trzeba odliczyć na maskę! Ale jeszcze tego nie sprawdziłem. . . Chodźmy! Może pozwoli pan ze mną, bo chciałbym pana jeszcze o coś zapytać. . .

Darcy ruszył obok niego, a Parker poszedł za nimi trzymając ręce w kieszeniach. Kiedy znaleźli się w szerokiej, mrocznej kulisie, Alex zatrzymał się.

— W czasie przedstawienia jest tu zupełnie ciemno, prawda?

— Tak. . .

Joe rozejrzał się. Pod ścianą dostrzegł wysoką gaśnicę przeciwpożarową, a obok niej skrzynkę z piaskiem.

— Chyba tylko tu... — powiedział półgłosem i podszedł do skrzynki. Przyglądał się jej, świecąc latarką. Potem potrząsnął przecząco głową. — Czyżbym się mylił?... — Nagle pochylił się i sięgnął poza gaśnicę. — Jest! Oczywiście, że jest! Nie mogła być nigdzie indziej!

— Co? — spytał Parker, chociaż wiedział już, jaką otrzyma odpowiedź.

— Ona! — zawołał Alex. Wygładził w ręce pomietą, białą szmatę i świecąc latarką ukazał im trzymane za siwe, nylonowe włosy, przerażające, zmienione oblicze Stefana Vincy.

— Maska!

Rozdział 16

Morderca „A”

Powrót do garderoby odbywał się w zupełnym milczeniu, jeżeli nie liczyć pogwizdywania Alexa.

— Niech pan siada. . . — powiedział Alex, kiedy Parker, który wszedł ostatni, zamknął drzwi. Twarz inspektora była skupiona i zacięta. Nie spuszczał oka z Darcy’ego, który spokojnie zajął miejsce i uniósł głowę, spoglądając wyczekująco.

— Myślę, że po tej demonstracji niewiele mam do dodania — zaczął Alex. — Sprawa jest jasna. Oczywiście jasna tylko w tym fragmencie, który dotyczy pana. Już będąc na przedstawieniu zauważyłem dużą różnicę w grze Vincy’ego podczas pierwszej i drugiej odsłony. Ale po cóż mam polegać na swoim subiektywnym zdaniu. Jedna z osób, która była w żywym, emocjonalnym kontakcie z Vincym i znała go od lat zeznała w czasie przesłuchania: „W drugim akcie nie czułem już z nim tego kontaktu. . .” Panna Faraday zeznała: „Vincy zmienił się. Grał szybko. Nie "sypnął się" ani razu. Nigdy mi się z nim tak dobrze nie grało. . . Byłam urzeczona. . .” Ale początkowo historia wydawała się zbyt fantastyczna. Nie mieliśmy zresztą żadnych podstaw, aby przypuszczać, że Vincy zginął wcześniej. Co prawda lekarz oponował trochę, mówiąc, że jednak zginął on wcześniej. . . A poza tym brakowało maski w garderobie. Ale maskę mógł zabrać garderobiany. Dopiero później, kiedy okazało się, że do Vincy’ego nie wchodził po spektaklu nikt poza osobą, która go nie zabiła i nie miała najmniejszego powodu, by zabierać maskę, sprawa zaczęła się wyjaśniać. Doszły także inne elementy. Fantastyczną koncepcję, mówiącą, że Vincy zginął w przerwie, a grał za niego kto inny, można było przyjąć tylko pod następującymi warunkami:

1. Człowiek, który zagra za Vincy’ego, będzie mniej więcej tego samego wzrostu i budowy.
2. Będzie nosił identyczny kostium, bo przecież Vincy został zamordowany bez obrabowania go z kostiumu.

3. Będzie umiał naśladować jego głos i ruchy.
4. Będzie znał na pamięć tekst sztuki.
5. Będzie znał rzemiosło aktorskie.
6. Będzie znał najdrobniejsze szczegóły sytuacyjne inscenizacji, bo inaczej partnerka poznałaby od razu, że coś jest nie w porządku.
7. Będzie miał szansę zająć miejsce Vincy'ego, to znaczy musi znajdować się w teatrze od strony kulis.
8. Musi wiedzieć, że Vincy zginął w czasie przerwy, to znaczy musi być przekonany, że Vincy został zamordowany i nie wyjdzie równocześnie z nim na scenę.
9. Musi stworzyć sytuację, w której nikt nie znajdzie trupa, podczas gdy on będzie zastępował go na scenie. Gdyby ktoś znalazł trupa, cała ta maskarada stałaby się elementem obciążającym grającego.
10. Musi zabrać maskę z garderoby zabitego i ukryć ją potem, bo nie może tam już więcej wejść, inaczej zniszczy alibi, które polega przecież na tym, że Vincy zginął prawie o godzinę później niż w rzeczywistości.

W trakcie przesłuchania okazało się, że istnieje taki człowiek, który spełnia wszystkie bez wyjątku wyżej wymienione warunki. Tym człowiekiem był pan. Otóż gdyby chciał pan zamordować Stefana Vincy, to będąc reżyserem sztuki *Krzesa*, powinien był pan wymyślić następującą inscenizację:

1. Wymyślić koncepcję sztuki, w której Vincy grałby w masce, a pan bez maski.
2. Zrobić w tej jednoaktowej sztuce przerwę kilkunastominutową, podczas której mógłby pan zabić Vincy'ego.
3. Stworzyć odpowiednią ilość czasu pomiędzy zejściem ze sceny Vincy'ego w masce a wejściem Mówcy, którego gra pan bez maski.
4. Oczywiście grać w identycznym kostiumie jak Vincy.

Po stworzeniu takiej koncepcji wystarczyłoby tylko odczekać do dnia takiego przedstawienia, podczas którego byłby pan pewien, że Vincy jest sam w garderobie. Wtedy mógłby pan tam spokojnie pójść, zamordować go i zagrać za niego.

A zamordować go w jego własnej garderobie musiałby pan dlatego, że:

1. Musiał pan zabrać maskę.
2. Zamknąć go tam na klucz, aby nikt nie mógł go znaleźć w czasie, gdy pan będzie grał.

Kiedy zeznał pan, że idąc z Ewą Faraday nadepnął pan na klucz i włożył pan go do dziurki, zrozumiałem od razu, że po prostu miał pan go w ręce i pochyliwszy się, udał pan, że go pan podnosi. Ale gdzie był klucz, gdy grał pan rolę Starego w drugim akcie? Kiedy Ewa Faraday zeznała, że gdy przytulała się w drugim akcie do Starego, uderzył ją pewien drobiazg, przerwałem jej i zapytałem, czy nie wyczuła jakiegoś drobnego, twardego przedmiotu w kieszeni jego bluzy. Ze zdumieniem powiedziała, że tak. To był właśnie ów klucz, który pan „znalazł” później przed drzwiami garderoby Vincy’ego.

Jak sprawa odbywała się, zademonstrowałem panu przed chwilą na scenie, znajdując przy tym maskę w jedynym miejscu, gdzie mogła się znajdować. Tam zapewne leżał ukryty pański kapelusz do chwili, gdy wsunął pan tam maskę, a wyjął kapelusz, żeby zagrać ostatni epizod Mówcy, a potem ukłonić się publiczności i z pozornym zdumieniem czekać, aż pokaże się Vincy, o którym wiedział pan, że już nigdy nie ukłoni się ze sceny wiwatującym tłumom. Później musiał pan przeprowadzić wszystko tak, aby ani przez chwilę nie znajdować się samotnie w teatrze, aż do chwili wyjścia na ulicę i później, bo nie wiedział pan, czy trupa nie znajdzie dopiero portier podczas obchodu. Dlatego zabrał pan Ewę Faraday na kolację i stworzył pan sobie „absolutne” alibi, zważywszy, że cały świat winien być przekonany, że Vincy zginął po przedstawieniu, to znaczy w czasie, kiedy pan nie mógł go zabić. . . Początkowo sądziłem, że wszystko to razem, chociaż nabierało coraz bardziej cech prawdopodobieństwa, jest zupełnie niemożliwe. A jednak nie. Pewna różnica w grze oczywiście była, bo jeden człowiek nigdy nie może stać się absolutną kopią drugiego. Muszę tu zresztą powiedzieć panu komplement: grał pan o wiele lepiej niż Vincy, który zresztą także grał świetnie w pierwszej odsłonie. Ale nie musiał pan obawiać się, że Ewa Faraday pozna różnicę. W końcu maska jest szczelna i zakryta sztucznymi włosami, a pan od dzieciństwa trudnił się zawodowo naśladowaniem głosów ludzi i zwierząt. Głos Vincy’ego i wszystkie jego odcienie były panu przecież doskonale znane z wielomiesięcznych prób, którym przysłuchiwał się pan i gdzie nadawał mu pan sam przecież odpowiednie intonacje w zależności od sytuacji scenicznych. Tekst musiał pan znać na pamięć, okazało się, że nawet lepiej niż Vincy, który „sypał się” często. . . zapomniał pan tylko o jednym drobiazgu: akt pierwszy zakończył się awanturą pomiędzy Vincym i Ewą z powodu zabrudzenia kostiumu szminką. Otóż w drugiej odsłonie kostium był czysty. Ewa Faraday sama to przyznała, zapytana w nieco podchwytliwy sposób. To upewniło mnie, że nie współdziałała ona z panem. Ale o tym później. . . Zauważyłem tylko, że przerwał pan swoje zeznanie na sekundę, gdy przypomniał pan to sobie. Założyłbym się, że przed godziną, kiedy wrócił pan z pierwszego przesłuchania do garderoby, powalał pan także i swój kostium szminką, aby policja stała się bezradna, gdyby udało się jej wpaść na trop. . . Na koniec chciałbym dodać, że miał pan bardzo poważny powód, aby zabić Stefana Vincy, powód, dla którego popełniono już wiele morderstw na tym targanym namiętnością świecie. . .

— Alex urwał. Przez chwilę w garderobie było zupełnie cicho. — Czy ma pan coś do zarzucenia mojemu rozumowaniu?

— Nie — Darcy rozłożył ręce. — Jest pan w pewien sposób genialny. Nigdy nie przypuszczałem, że policja może dysponować podobnymi mózgami. . .

Alex chrząknął i zerknął spod oka na Parkera, który poruszył się niecierpliwie na krześle, wstał i powiedział:

— A więc przyznaje się pan do zamordowania Stefana Vincy w tej garderobie pomiędzy godziną 9 a 9.15 wieczorem dnia wczorajszego?

— Nie — powiedział Henryk Darcy i potrząsnął głową. — Nie przyznaję się.

— Och — Alex machnął ręką. — Przecież ani przez chwilę nie sugerowałem panu, że pan go zabił. Wiem, że pan go nie zabił.

Tym razem nie spojrzął na Parkera. Usłyszał tylko coś, co przypominało zduszone słowo „Co?”, a potem skrzyp krzesła, na które opadł inspektor.

— Wie pan, że go nie zabiłem? — Darcy potarł ręką czoło. — Więc jednak. . . Więc. . . Ale. . . Ja go zabiłem! . . . — powiedział nagle z rozpaczą, tracąc całe swoje dotychczasowe opanowanie.

Alex usłyszał, że Parker znowu poruszył się w krześle.

— Nie. Nie zabił go pan. I żeby pana uspokoić, muszę panu powiedzieć, że alibi Ewy Faraday jest niewzruszone. Nawet gdyby najbardziej tego pragnęła, nie mogła zabić Stefana Vincy, gdyż w ciągu całej przerwy nie była ani przez chwilę sama. . . Cała więc pańska ryzykowna gra, która sprawiła mi tyle kłopotu, okazała się nieprzydatna.

— Już w czasie gry wiedziałem, że zachowałem się jak kompletny dureń. . . — powiedział Darcy. — Ewa nie mogłaby grać tak spokojnie po zabiciu go. Znam ją za dobrze. Ale w pierwszej chwili. . .

— A tak, wiem. Stał pan pośrodku garderoby Vincy’ego, widział pan jego trupa i pomyślał pan, że zabiła go ona, kobieta, którą pan kocha. I wtedy zrozumiał pan, że istnieje tylko jedno wyjście: grać za niego i stworzyć jej absolutne alibi po spektaklu. . . Ale o tym później. . .

Parker chrząknął.

— Wszystko dobrze — powiedział — ale chciałbym wiedzieć, dlaczego pan Darcy nie mógł zabić Stefana Vincy, chociaż rozumiem doskonale, że nie ma ochoty przyznać się do tego. Jakie dowody swojej niewinności może pan przedstawić, zważywszy, iż dowody winy są tak nagromadzone, że można by nimi obdzielić pięciu wyrafinowanych morderców, a pozostałoby jeszcze coś niecoś dla jakiegoś skromnego debiutanta.

— Może spróbuje pan to sam zrobić? — powiedział Alex.

Darcy spojrzął na niego ze zdumieniem.

— Poza moją osobistą pewnością, że zamordował go kto inny i wobec tego musi istnieć prawdziwy morderca, nie widzę żadnej możliwości udowodnienia panom, że tak nie było. . . Jak mogę to udowodnić? Przecież zachowałem się jak

zbrodniarz, jakbym planował to od dawna... chociaż to właśnie ten układ okoliczności podsunął mi tę myśl... Gdybym nie miał na sobie identycznego kostiumu i gdyby Vincy nie grał w masce, i gdyby Mówca nie wchodził na scenę w pół minuty po jego zejściu, nigdy by mi to do głowy nie przyszło... Ale jak mogę to udowodnić? Ja mogę sobie rozumować od prawej do lewej, a policja od lewej do prawej... Nie, nie potrafię powiedzieć nic więcej poza tym, że mordercą jest kto inny.

— Czy pan jest mańkutom? — zapytał Alex. — Widziałem, że jako Mówca wziął pan kredę w lewą rękę próbując pisać na tablicy podczas przedstawienia. Ale to mogło należeć do koncepcji reżyserskiej. Mówca mógł w ten sposób zdemontować jeszcze mniejszą zdolność przekazania myśli Starego innym. Można to było rozumieć tak, że człowiek, któremu Stary powierza swój testament, nie tylko że nie umie mówić, ale nawet nie wie, w której ręce trzyma się kredę, próbując pisać... Ale kiedy przekreślił pan kontakt za sceną lewą ręką, zrozumiałem, że jest to dla pana naturalne. Zresztą pan Davidson opowiadał nam, że został pan kontuzjowany na froncie i jako inwalida odesłany do kraju...

— Jestem kaleką... — powiedział Darcy cicho. — Moja prawa ręka tylko cudem została uratowana od amputacji. Nie mam w niej prawie żadnej władzy. Z trudem potrafię poruszać palcami i zginać ją... Zginam ją, zresztą, za pomocą aparatu... Japończycy postrzelili mnie kulą dum-dum w dżungli. Pocisk eksplodował w ciele. To przekreśliło moją karierę aktorską i pchnęło mnie później ku reżyserii. Nie mogę wykonywać tą ręką żadnego swobodnego gestu, chociaż nauczyłem się operować nią, jak gdyby była zdrowa... Ale to przecież nie jest żadne alibi. Moja lewa jest potwornie silna. Wyrobiłem ją sobie do perfekcji. Prawą nie mógłbym zabić nawet muchy, ale lewą... lewa mogła zamordować...

— Czy mógłby nam pan pokazać tę zranioną rękę? — powiedział Alex. — Wiem, że to nieprzyjemne, ale rozumie pan chyba, że sprawa jest zbyt ważna. Vincy nie mógł zostać zabity lewą ręką.

— Nie mógł?!!!

— Nie.

Darcy popatrzył na niego przez chwilę bez słowa, a potem wstał i zdjął marynarkę. Rozpiął koszulę, zsunął ją z ramion i położył na krześle. Parker gwizdnął cicho przez zęby. Na wysokości przedramienia prawa ręka stojącego była jedną straszliwą blizną. Ciało wyrwane zostało kiedyś aż do kości. W tej chwili skóra obrastała tylko kikut, do którego przytwierdzony był za pomocą dwóch skórzanym pasków aparat. Kilka długich, delikatnych, stalowych sprężynek przytwierdzonych poniżej łokcia zastępowało mięśnie przedramienia.

— Tak. To załatwia sprawę.

Darcy poruszył ręką i opuścił ją. Potem włożył koszulę i zaczął zawiązywać krawat, ale ręce zaczęły mu drżeć i opuścił je.

— Czy jest pan... o tym przekonany? — zapytał. — To znaczy, że zabić go mógł tylko człowiek używający prawej ręki?...

— Staram się okłamywać ludzi jak najmniej... — szepnął Alex. — I chociaż nie zawsze udaje się to w naszym, jakże cywilizowanym społeczeństwie, to jednak w tym wypadku powiedziałem panu absolutną prawdę.

Darcy zawiązał krawat i usiadł ciężko.

— Całe szczęście! — powiedział szczerze.

— Och — Alex znowu zrobił nieokreślony ruch ręką — wiedziałem, że go pan nie mógł zabić, nawet gdyby obie pana ręce były zupełnie zdrowe.

— Co?! — powiedzieli jednocześnie Parker i Darcy.

— No, cóż. W takiej sprawie jak ta trzeba dużo i szybko myśleć, bo fakty ukazują się raz z tego, a raz z innego punktu widzenia. Ale jedna rzecz jest decydująca i zawsze ją powtarzam: Zabić mógł tylko ten, kto 1) miał powód, 2) nie ma prawdziwego alibi, 3) mógł dokonać zabójstwa w tych okolicznościach i w taki właśnie sposób, w jaki zostało ono dokonane. Na początku śledztwa mamy zawsze w tym równaniu, gdzie niewiadomą jest zabójca, a wiadomą osoba zamordowanego i okoliczności, w jakich znaleziono ciało, jedną tylko drogę: dopasowanie zabójcy do morderstwa. A tymczasem:

1) Jeżeli chodzi o samo popełnienie zbrodni, znany był tylko jeden fakt, że wszedł pan do tej garderoby na trzy minuty przed rozpoczęciem drugiej części przedstawienia. Wszystko inne należy już do czasu po zbrodni. Tak zeznał elektryk Caruthers, który potem miał zaledwie czas wrócić na wieżyczkę, wypróbować reflektory i zapalić światła na początek drugiej części, a już kurtyna poszła w górę. Zresztą z tego, że spędził pan dość dużo czasu w garderobie Ewy Faraday, a potem znowu kilka minut na scenie, wynikało, że po dojściu do garderoby Vincy'ego miał pan minimalną ilość czasu na zabicie go, włożenie maski i udanie się na scenę. Miał pan na to sto osiemdziesiąt sekund mniej więcej.

2) Zabił pan Vincy'ego jego własnym sztyletem, więc musiał pan wejść do garderoby, porwać sztylet, uderzyć Vincy'ego, a potem w błyskawicznym tempie włożyć maskę, spojrzeć w lustro, sprawdzić, czy Vincy nie żyje, wyjść, zamknąć za sobą drzwi, przekręcić klucz w zamku, pójść na scenę i zająć miejsce na planie. W ostateczności mógł pan to wszystko zrobić, ale pod jednym warunkiem: że Vincy leżałby spokojnie po pańskim wejściu do garderoby i dał się zabić jak baranek. Rzeczywiście, Vincy został znaleziony w pozycji leżącej, ciało było wygodnie ułożone na wznak w chwili zadania ciosu.

Ale czy to było możliwe?

Vincy był tchórzem. Na kilka dni wcześniej zapowiedział mu pan, że go pan zabije, jeśli jeszcze raz powtórzą się jakieś jego obelgi wobec Ewy Faraday. Mógł oczywiście nie wierzyć, że go pan zabije, ale na pewno wierzył, że będzie go pan chciał uderzyć, bo wiedział, że pan kocha Ewę Faraday i że on sam w tej sprawie zachowuje się dość nickszemnie od początku do końca. Powinien był więc

zerwać się na pana widok. A zresztą dlaczego miałby leżeć w garderobie trzy minuty przed rozpoczęciem aktu na odległej bądź co bądź o kilkanaście jardów i odgródzonej drzwiami i korytarzami scenie? Gdyby nie zerwał się, to w każdym razie usiadłby. Ale nie zginąłby na leżąco. Tak mi się przynajmniej wydawało.

3) Dowiedział się pan od Ruffina, że Vincy usunął go z garderoby. Ale usunął go przecież dlatego, że w przerwie albo po spektaklu spodziewał się wizyty jakiejś kobiety. Narażał się więc pan na to, że wchodząc albo spotkałby pan tę kobietę, albo weszłaby ona w chwili, gdy pan popełniał zbrodnię. A przed popełnieniem zbrodni nie mógł pan przecież zamknąć drzwi. Gdyby je pan zamknął wchodząc, trudno uwierzyć, aby Vincy nie zerwał się. Ktoś, o kim wiemy, że źle nam życzy, zamykający drzwi na klucz po wejściu do nas, musi w każdym z nas wywołać niepokój, a więc zmianę pozycji z bezbronnej w stojącą albo co najmniej siedzącą. Dlaczego więc, mając od miesięcy obliczony i opracowany w najdrobniejszych szczegółach tak rewelacyjny, nieomal genialny plan zbrodni, nagle narażał pan jego wykonanie na taki hazard? Rozsądek wskazywałby na to, żeby nie zabijać Vincy'ego w jego garderobie w dniu i w chwili, gdy spodziewał się on w tej garderobie wizyty.

4) Poza tym, jak na tak genialnie planującego, przebiegłego i sprytnego mordercę zachowywał się pan podczas przerwy nonsensownie. Stracił pan wiele minut pocieszając Ewę Faraday w jej garderobie. Potem stracił pan kilka minut na scenie, potem idąc do garderoby Vincy'ego dał się pan odprowadzić prawie aż do samych drzwi elektrykowi Caruthers, zamiast odprawić go przed zejściem ze sceny na korytarz prowadzący do garderoby. Dlaczego? Tracił pan tylko czas konieczny do manewru i skracał pan sobie możliwość wykonania planu. Bo w ciągu trzech minut tylko Vincy, współpracujący z panem albo zupełnie nie reagujący na pańskie wejście, mógłby pozwolić panu na wykonanie zadania. Co innego, gdyby wszedł pan do garderoby o pięć minut wcześniej. Wówczas mógłby pan wyczekać i zabić go w odpowiednim momencie, mając pewność, że pan zdąży. W każdym razie tak by pan to chyba planował.

5) Sztylet! Przyszedł pan bez swojego narzędzia zbrodni, mając mniej niż dwieście sekund do pojawienia się na planie! A gdyby Vincy zamknął na przykład szufladę na klucz albo zaniósł sztylet do domu, albo zrobił z nim sto innych rzeczy, które by spowodowały, że nie znalazłby się on natychmiast w miejscu, w którym spodziewał się pan go znaleźć w garderobie? Co wówczas? Czy miał pan jakiegokolwiek szansę poruszać się po garderobie żywego Vincy'ego i poszukiwać sztyletu, podczas gdy Vincy, nie zwracając uwagi na pana ani zbliżającą się chwilę uniesienia kurtyny, leżałby spokojnie za koszem pełnym róż i nie spojrzał nawet na pana. Gdyby w końcu zobaczył pana ze sztyletem, czyż nie zacząłby krzyknąć? Ściana garderoby jest gruba i nie przechodzi przez nią odgłos rozmów, ale czy głos przestraszonego, dorosłego mężczyzny nie rozległby się echem w całym teatrze? Poza tym sztylet należący do Vincy'ego, czy nie należący do niego,

wydawał mi się idiotyzmem w tak precyzyjnym planie. Mając tak genialny pomysł i stworzywszy sobie pełną możliwość jego realizacji, nie powierzyłby pan przecież najważniejszej jego fazy stu przypadkom. Vincy został zabity jednym ciosem i nie krzyknął. Ale Vincy mógł krzyżeć, Gdyby sztylet nie ugodził precyzyjnie prosto w serce, mógłby nawet zerwać się i krzyżeć z bólu. . .

6) Poza tym dlaczego Vincy leżał, jeszcze zamiast nakładać maskę przed lustrem? Pan zdążył na scenę w szalonym pośpiechu nie zabijając Vincy'ego. Gdyby pan musiał go jeszcze zabić, spóźniłby się pan na przedstawienie. Ale Vincy nie miał powodu, żeby czekać do ostatniej sekundy i potem biec nakładając maskę na korytarzu. Musiał ją nałożyć przed lustrem sam i sprawdzić, nie mając w dodatku garderobianego. A zresztą Vincy leżał jeszcze nie na trzy minuty przed rozpoczęciem drugiego aktu, ale na mniej niż trzy. Przecież nie zabił go pan, wszedłszy. Musiał pan najpierw zamknąć za sobą drzwi, podejść do miejsca, gdzie był sztylet, wziąć sztylet, zawrócić do Vincy'ego i zabić go. To by trwało przecież. A on leżał ciągle, greczny, oczekujący śmierci! Dlaczego? A więc leżał na dwie minuty przed rozpoczęciem akcji i nie zwracał na pana najmniejszej uwagi. Nie, to było nie do pomyślenia. Tego nie umiałem w żaden sposób wyreżyserować. Zbrodniarz i mordowany nie pasowali wspólnie do okoliczności, w których popełniono zbrodnię. Musiała więc ona zostać popełniona przez kogo innego.

— Brawo! — powiedział Darcy po chwili milczenia. — Ale jeżeli ja go nie zabiłem, to przecież ktoś to musiał zrobić!

— Właśnie. Wiemy o tym i musimy teraz stwierdzić — kto. A trzeba przyznać, że zrobił pan wszystko, co leży w mocy jednego człowieka, żeby pomieszać nam szyki i ściągnąć na siebie podejrzenia. Proszę, niech pan teraz opowie dokładnie, wszystko od początku, ale nie zmieniając już żadnych faktów ani towarzyszących im okoliczności.

— Oczywiście na pewno nie zrobię tego teraz. Więc po zejściu Ewy ze sceny, na początku przerwy, byłem bardzo zdenerwowany. Ewa dostała w garderobie ataku płaczu. Wołała na głos, że go nienawidzi, że powinno się zgładzić takiego nikczemnika, że ona mu zapłaci za wszystko. Słowem, była we łzach i rozgorączkowana, gdy zapukał jeden z robotników mówiąc, że Sawyer prosi mnie na scenę. . .

— Ile czasu był pan u panny Faraday?

— Pięć albo sześć minut. Trudno mi określić. Poszedłem z robotnikiem na scenę i zapytałem Sawyera, co się stało. Okazało się, że zgubił kartkę z naszkicowanym przeze mnie położeniem tych wszystkich krzeseł, które ustawia się w czasie przerwy na scenie. Początkowo próbował ustawić je z pamięci, ale po paru minutach on i robotnicy doszli do wniosku, że nie mogą z tego wybrnąć. Pokazałem mu, co gdzie należy przestawić. Widząc, że mnie rozumie, poszedłem w kierunku garderoby Vincy'ego. Nie chciałem Vincy'emu zrobić nic złego oczywiście, chociaż dygotałem z wściekłości. Może nawet uderzyłbym go, nie wiem. Zacząłem

naprawdę nienawidzić tego człowieka. . . — Urwał. — On był plugawy. . . — powiedział szczerze. — Był stęchły. Ohydny, mały egoista, bez skrupułów i bez mózgu. . . Nie wiedziałem dobrze, co zrobię, kiedy wejdę. Przedstawienie było dopiero w połowie, a ja, jak każdy odpowiedzialny człowiek teatru, odczuwam zawsze nadrzędność spektaklu nad wszystkim, co dzieje się poza sceną. Przedstawienie jest pewnego rodzaju świętością i widziałem już aktorki grające komediowe role, podczas gdy dzieci ich bredziły w domu w gorączce. Widziałem ludzi, którzy grali w dzień po śmierci ukochanych osób i schodząc ze sceny za każdym razem ślania-li się i łkali, żeby przy drugim wejściu ukazać widowni zupełnie opanowaną twarz i bez zająknięcia recytować rolę. . . Więc mignęła mi nawet myśl, że jeżeli go teraz naprawdę mocno uderzę w złości, to mogę mu uniemożliwić wystąpienie i trzeba będzie zerwać spektakl. . . To dziwne, że człowiekowi przychodzą takie i myśli do głowy, kiedy jest tak wściekły, że latają mu czerwone płatki przed oczami. Ale tak było. W tej chwili spotkał mnie elektryk Caruthers, który rozmawiał z kimś w kulisie. Zaczął mówić coś o kablu jednego z reflektorów. Pytał, czy nie da się tego reflektora zastąpić słabszym, który stał w tej sztuce bezużytecznie. Chociaż bardzo zwracam uwagę na działanie świateł, to wszystkie reflektory na kuli ziemskiej z moimi teatralnymi włącznikami nic mnie w tej chwili nie obchodziły. Mimo to musiałem mu coś odpowiedzieć. Powiedziałem, żeby próbował „jechać” do końca na tym uszkodzonym. Spojrzał na mnie ze zdumieniem, ale odszedł. Znajdowaliśmy się wtedy przed drzwiami garderoby Vincy’ego. Byłem nadal zdenerwowany, ale to, że musiałem skupić uwagę tuż przed wejściem do niego, ostudziło mnie. Bierąc za kłamekę, byłem już opanowany. Zresztą zwykle raczej panuję nad nerwami. Wchodząc, miałem zamiar zwymyślać go od ostatnich, ale już nie byłem w stanie uderzyć. . . chyba że powiedziałby coś takiego, co obudziłoby na nowo moją wściekłość. . . Ale nie powiedział. Leżał nieżywy. Musiał umrzeć bardzo niedawno, bo kiedy stałem nad nim jak zaczarowany, zobaczyłem, że obwódka krwi na kostiumie wokół szyi jest jasnoczerwona i niezakrzepła. . . Obok, na krześle, leżała jego maska. Wykrzywiła się ku mnie i wydawała się bardziej żywa niż on. Nagle zrozumiałem, że drzę z przerażenia. Myśl, która wylęła się w mojej podświadomości, nie dawała się odeprzeć. To Ewa wybiegła z garderoby i wpadła tu, żeby mu nawymyślać, gdy ja byłem na scenie! Nie zastanawiałem się nad tym, czy to możliwe, czy niemożliwe. Pomyślałem, że wpadła tu, gdy on leżał i musiał zapewne potraktować ją znowu jakimś ohydny epitetem, a ona porwała jego szyję, który przecież dobrze znałem, bo pokazywał mi go kilkakrotnie. . . i zabiła go, a potem wybiegła. Stałem i starałem się wymyślić coś, co może ją uratować. Za chwilę wszystko musiało się przecież wydać. . . I nagle przyszła mi do głowy pewna myśl! Zresztą nie była to myśl nowa. Od tygodnia Vincy groził odejściem. Zastanawiałem się, czy nie pójść do dyrektora i nie zaproponować mu, że ja zagram za Vincy’ego. Wystrzegam się aktorstwa ze względu na moją rękę i ograniczoną możliwość poruszania się. Ale przecież w moim własnym spektaklu

mogłem wszystko tak dopasować, żeby nie była mi ona potrzebna. W ciągu kilku ostatnich dni próbowałem grać w domu przed lustrem. Naśladowałem nawet dla z abawy głos Starego. W ułamku sekundy zrozumiałem, że mogę uratować Ewę, wychodząc stąd jako Vincy, grając za niego, a potem nie rozstając się z nią ani przez chwilę do północy czyli do chwili, kiedy ktoś musi go w końcu znaleźć. Wiedziałem od garderobianego Ruffina, że Vincy zabronił mu przychodzić po spektaklu, bo czeka na odwiedziny jakiejś damy. Niech więc ta dama go znajdzie po przedstawieniu, a ja postaram się, aby Ewa Faraday nie znalazła się ani przez chwilę sama po zejściu wraz ze Starym ze sceny. Wszystko to mówię o wiele dłużej niż trwał mój namysł. Wziąłem maskę, podbiegłem do lustra i wsunąłem ją na twarz. Pasowała znakomicie. Ma ona włosy, więc nikt na pierwszy rzut oka nie mógłby mnie poznać. Teraz musiałem tylko zniknąć jak najprędzej. Wyszedłem z garderoby, ale w drzwiach zrozumiałem, że nie mogę grać, mając go za plecami w otwartym pomieszczeniu. Równocześnie nic nie stało na przeszkodzie, abym jako Stefan Vincy nie zamknął drzwi i nie zabrał klucza na scenę, chociaż tego się w teatrze nigdy nie praktykuje. Zamknąłem drzwi i wszedłem za kulisy. Nie spotkałem nikogo. Kiedy kurtyna poszła w górę, obawiałem się przez chwilę, że Ewa Faraday może mnie poznać, a raczej poznać, że to nie Vincy. Ale okazało się, że to nie takie proste... Potem wyskoczyłem z okna i zrobiłem dokładnie to, co pan zademonstrował. Później stałem i kłaniałem się publiczności, myśląc z przerażeniem o tym, że on tam leży. Dopiero wówczas po odegraniu jego roli, zacząłem rozumieć całą prawdę i to, co zrobiłem. Zresztą najbardziej zdumiewała mnie Ewa. Jeżeli ona zabiła Stefana Vincy, to zachowywała się na scenie jak najbardziej opanowany morderca, jakiego tylko sobie można wyobrazić! Potem, kiedy zesliśmy ze sceny, obserwowałem ją niesłuchanie uważnie. Powiedziała coś z przekąsem i z pogardą o Stefanie... o tym, że nie wyszedł się kłaniać... Później poszliśmy razem na kolację. Omawiałem z nią następną rolę... Medę i z wolna nabierałem absolutnej pewności, że popełniłem straszliwą omyłkę, Ewa nie zabiła Stefana! Nie mogłaby się tak zachowywać. To było wykluczone. Znam ją zbyt dobrze, każdy ruch jej twarzy. Przede mną nie umiałyby tego ukryć. A zresztą, jakim wstrząsem powinno być dla niej jego ukazanie się na scenie po przerwie! Dopiero w czasie kolacji pomyślałem o tym. Przecież gdyby zabiła, powinna była przypuszczać, że trup leży w garderobie, kurtyna się nie uniesie i za chwilę rozpocznie się w teatrze alarm. Tymczasem zabity ukazał się na scenie i spokojnie zajął miejsce wraz z nią, a ona przyjęła to zupełnie spokojnie... Ale nie było już powrotu. Poza tym... poza tym do głowy mi nie przyszło, że policja może na to wpaść, skoro nie zauważyła tego nawet moja partnerka ani ktokolwiek z zespołu. Okazało się, że się myliłem... — Skłonił głowę w kierunku Alexa. — To wszystko.

— Tak... — Parker wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. — Niesłychana historia... Niesłychana... — Zatrzymał się. — Na ile minut przed końcem przerwy wszedł pan tutaj?

— Dwie, może trzy? Tak jak panowie to ustaliliście. Trudno mi dokładnie powiedzieć. Czas zupełnie inaczej upływa w takich okolicznościach. Kiedy wszedłem, inspicjent przez megafon wzywał Vincy'ego i Ewę Faraday na plan. Mamy zainstalowane megafony we wszystkich garderobach. Są one połączone ze sceną i aktor może przez nie śledzić przebieg spektaklu w chwilach, kiedy nie występuje. — Wskazał małą, wiszącą na ścianie skrzynkę. W tej sztuce nie miało to zastosowania, bo Stara i Stary nie schodzą ze sceny ani na chwilę. Musiało to być, mniej więcej, na trzy minuty przed końcem przerwy.

— Która trwa, dokładnie, ile czasu?

— Szesnaście do siedemnastu minut. Tyle mniej więcej czasu wymaga ustawienie krzeseł.

— Tak... Więc wychodząc, nieomal spóźnił się pan?

— Tak. Zaledwie wszedłem i zająłem miejsce, które powinien zajmować Stary, kurtyniarz otrzymał znak od inspicjenta i kurtyna poszła w górę.

— A czy w tym pokoju nie zauważył pan nic, co mogłoby się panu wydać niecodzienne? Niezwykłe?

— Nie... — Darcy potrząsnął głową. — Nie. Nie miałem czasu rozglądać się. Byłem zupełnie zafascynowany sytuacją. Byłem poza tym wstrząśnięty i widokiem trupa Stefana, i myślą o tym, że Ewa mogła go zabić. Nie... nie.

— Może spróbuje pan jak najdokładniej przypomnieć sobie wszystko to, co pan tu robił — powiedział Alex.

— Więc wszedłem, zamknąłem za sobą drzwi. Nie zorientowałem się jeszcze, że Vincy nie żyje... Zbliżyłem się do kozetki. Zobaczyłem sztylet. Pochyliłem się, żeby sprawdzić, czy nie żyje... Widziałem tak wielu zabitych w czasie wojny, że zrozumiałem od razu... Zresztą ten sztylet tak wyraźnie tkwił w sercu i tak głęboko... Potem pomyślałem o tym, że mogę zagrać za niego, i odwróciłem się błyskawicznie. Wtedy zdrętwiałem. Zdawało mi się, że umarły schwycił mnie za nogawkę spodni. Ale tylko zaczępiłem o kolce jednej z róż w tym koszu... Później pochwyciłem maskę... Nie. Najpierw podbiegłem do drzwi i zamknąłem je od wewnątrz, a potem pochwyciłem maskę i podbiegłem z nią do lustra. Włożyłem ją... Ruszyłem ku wyjściu, ale przypomniałem sobie, że pozostawiłem na toalecie mój kapelusz, który cały czas trzymałem w ręce... Jest on zrobiony, na szczęście, z miękkiego filcu, więc zwinąłem go i wsunąłem z boku za gumę, którą przytrzymuję spodnie w miejsce paska. Bluza jest luźna, więc sądziłem, że nikt go nie powinien zauważyć. Później wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Klucz wsunąłem do kieszeni bluzy. Wszedłem na scenę i kurtyna poszła w górę...

— Tak... — Alex pokiwał głową. — Dziękuję panu bardzo. Teraz możemy powiedzieć sobie, że morderca Stefana Vincy jest nam już znany. Wyjaśnił pan wszystko albo nieomal wszystko.

— Ja? — spytał Darcy ze zdumieniem.

— Tak. Pan... — Jest pan wolny, o ile inspektor Parker nie ma nic przeciwko temu. Radzę teraz pójść do garderoby panny Ewy Faraday i odwiedzić ją do domu. Po tej upiornej nocy należy jej się solidny wypoczynek... — Alex wstał i wyciągnął rękę do tamtego. — Zachował się pan nonsensownie, niemniej jednak okazał pan masę odwagi i zimnej krwi. Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze kiedyś w innych, bardziej sprzyjających okolicznościach. Proszę przeprosić od nas pannę Faraday. Może pan spokojnie także się położyć. Nie będzie pan nam już potrzebny...

Po wyjściu Darcy'ego Parker spojrział na Alexa nieomal z przestachem.

— Słuchaj, Joe. Pozwoliłem, aby ta sprawa wymknęła mi się z rąk i zaufałem ci. Szczerze mówiąc jest w niej coś, czego nie mogę dogonić myślą. Nie wstydzę się tego. Myślę, że niejeden z oficerów śledczych u nas i na Kontynencie wpadłby w rozpacz po godzinie prowadzenia jej albo aresztowałby parę niewinnych osób i musiałby je potem ze wstydem wypuścić, przepraszając i tłumacząc się przed nimi. Najpierw była pani Dodd... Wydawało się, że ma murowane szanse zostania zabójcą. Miała motyw, była tu... ale okazało się, że nie podejrzewałeś jej tylko dlatego, że Vincy został zabity w pozycji leżącej... Potem wszystko zaczęło wskazywać na Darcy'ego. Pomyślałem sobie, że to piekielnie inteligentny morderca, ale na szczęście ty okazałeś się inteligentniejszy niż on... Okazało się, że pan Darcy jak na zamówienie jest ranny na polu chwały, i to tak, że nie mógłby wbić sztyletu, nawet gdybyś mu dał pół godziny czasu na dokonanie tego. Zgoda! Darcy jest białą, niewinną owieczką i niech bryka sobie do końca dni swoich po zielonych łączkach z panną Ewą Faraday... Niech się pobiorą, niech mają siedmiu synów i siedem córek, niech posiwieją otoczeni ludzkim szacunkiem i wzrastającą zamożnością... Niech w końcu idą oboje do diabła! Ale ja chcę wiedzieć, gdzie jest morderca Stefana Vincy. Na razie zajmujesz się tylko w ciągu tej nocy robieniem alibi dla wszystkich podejrzanych. Ale kto zabił? Pytam, kto zabił Stefana Vincy? Bo przecież tylko to jedno mnie obchodzi. Nie interesuje mnie, kto go nie zabił, bo nie zabili go wszyscy ludzie, którzy żyją na tym świecie... poza jednym.

— Czy chcesz, żebym ci powiedział, kim jest ten jeden człowiek?

— Jeżeli wiesz, kim on jest.

— Wiem. Teraz wiem już z absolutną pewnością. Ale dla przyzwoitości musimy zbadać alibi personelu teatralnego podczas przerwy. Pamiętaj, że dotychczas zwracaliśmy uwagę tylko na ich zachowanie po zejściu Vincy'ego ze sceny na zakończenie przedstawienia. Teraz wiemy już, że zginął on podczas przerwy, ściśle rzecz biorąc w czasie, który upłynął od chwili, gdy wszedł po pierwszym akcie

do garderoby, aż do mniej więcej trzech minut przed rozpoczęciem drugiego aktu, to znaczy do chwili wejścia Darcy'ego. A nawet nieco wcześniej, bo morderca musiał przecież wyjść, nim Darcy wszedł. To znaczy, że Vincy zginął w czasie przerwy, w ciągu 11 lub 12 minut, które minęły od jego wejścia do garderoby do wejścia Darcy'ego.

— Tak — Parker skinął głową. — Musimy wszystko rozpocząć od nowa. Darcy odpada, Ewa Faraday i Susanna Snow także, bo jedna uspokajała drugą przez całą przerwę, a potem garderobiana odprowadziła Ewę na scenę. Angelica Dodd także nas nie interesuje, bo w przerwie była na widowni. Pozostaje reszta... — Podszedł do drzwi — Jones!

— Tak, szefie!

Rozdział 17

Morderca „B”

Minęła godzina, podczas której znowu przesunęli się przez garderobę zamordowanego zmęczeni, wystraszeni ludzie. Było ich dziewięciu. Inspektor Scotland Yardu, Benjamin Parker, otarł pot z czoła i wyprostował się na krześle. W ręce trzymał gęsto zapisaną kartkę papieru.

— Zaczynam wierzyć w duchy Joe... — powiedział cicho. — A może po prostu śni nam się to wszystko?

— Dlaczego? — zapytał Joe Alex. Był niewyspany. Przetarł oczy i sięgnął do papierośnicy po jeszcze jednego gold flake'a.

— Jak to dlaczego? Posłuchaj:

- 1) Henryk Darcy — nie mógł zabić z przyczyn fizycznych. Jest kaleką.
- 2) William Gullins, portier, siedział przez całą przerwę z
- 3) Oliverem Ruffinem, garderobianym, w portierce.
- 4) Jack Sawyer, inspicjent, przez całą przerwę był na scenie zajęty pilnowaniem krzesel, co potwierdza jeden z robotników
- 5) Joshua Braddon, który się z nim nie rozstawał. Drugi z robotników
- 6) Stanley Higgins odszedł tylko na chwilę do garderoby Ewy Faraday po Darcy'ego, a
- 7) strażak Simon Formes pokazał mu, gdzie się ona znajduje, i stał patrząc na niego, w drzwiach prowadzących ze sceny na główny korytarz, bo obawiał się, że nie trafi. Strażak Simon Formes był przez cały czas widziany przez wnoszących i ustawiających krzesła, a kiedy odszedł wraz z Higginsem, ten ostatni widział go przez cały czas, bo zapukał tylko do drzwi Ewy Faraday i nie wszedł oczywiście, prosząc tylko na zewnątrz pana Darcy, z którym razem powrócił. Strażak cofnął się wraz z nimi na scenę i zaczął rozmawiać z elektrykiem
- 8) Ryszardem Caruthers, który siedział na swojej wieżyczce i majstrował przy przerywającym reflektorze, aż do chwili, kiedy nastąpiła przerwa, co zaświadczają wszyscy, bo podczas pracy Caruthers migał nieustannie światłami, wygaszał je i zapalał, co wszystkich trochę denerwowało. Potem Caruthers zszedł, spotkał idącego przez scenę do kulisy Darcy'ego i rozmawiając,

odprowadził go do garderoby. Ale to nie ma znaczenia, bo Vincy już nie żył wtedy, jak zeznaje Darcy.

9) John Knithe, sufler i

10) Malcolm Snow, kurtyniarz, omawiali przez przerwę tego przekłętą totalizatora.

11) Ewa Faraday i

12) Susanna Snow, garderobiana, były przez całą przerwę w garderobie, bo Ewa wymagała opieki. Garderobiana odprowadziła ją aż na scenę... — uniósł głowę znad kartki. — To wszyscy, Joe! Wszyscy! Nikogo więcej nie było w teatrze. Każdy z tych ludzi ma pełne alibi... chyba że morderca miał współnika... Musiałby chyba mieć... inaczej zacznę wierzyć w cuda. Najpierw: nikt nie mógł zamordować Stefana Vincy po spektaklu! Wobec tego nasuwa się myśl, że zginął wcześniej. Kiedy wreszcie okazało się, że odbyła się tu zupełnie fantastyczna historia i nieboszczyk zagrał na scenie, leżąc równocześnie w swojej garderobie przebrany za Cezara, wtedy okazało się także, że autor tej niespodzianki nie mógł go zabić! Wobec tego musiał go zabić w czasie przerwy ktoś inny. I teraz okazuje się, że to także jest nieprawdą. Więc co?

Joe Alex potrząsnął głową.

— Nie, mój drogi. Stefan Vincy zginął w czasie przerwy.

Parker spojrzął na niego z rozpaczą.

— Ale przecież nikt go nie mógł zabić!

— Jak to? Oczywiście, że mógł, jeżeli go zabił.

— Ja wiem, ale skoro nie mógł go zabić nikt z tych ludzi, to...

Alex uśmiechnął się.

— Ben, zapominasz o mordercy „B”. Powiedziałem, że część śladów wskazuje na mordercę „A”, a część na mordercę „B”. Morderca „A” to był Darcy. Ostatecznie nie mogłem przecież wiedzieć, że niewinny człowiek wykona, ni stąd, ni zowąd, tak karkołomne zadanie. Jego działania zaciemniały obraz i utrudniały widzenie, bo morderca „B” nie potrzebował, na przykład, tej przekłetej maski ani nie mógłby zagrać za Vincy’ego, a zabić go mógł tylko w przerwie, więc sprawa powinna była wyjść na wierzch przed początkiem drugiej części przedstawienia. Darcy niechcący stworzył przecież alibi dla wszystkich, którzy mogli zabić Vincy’ego w przerwie, chociaż chciał stworzyć je tylko dla Ewy Faraday. Teraz, kiedy Darcy nie wchodzi w rachubę jako morderca, a sprawa maski i sprawa gry Vincy’ego po śmierci zostały wyjaśnione, morderca „B” króluje samotnie na podłożu i alibi całego zespołu wskazuje go jak czarny kleks na białej karcie papieru. Teraz tylko on może być mordercą.

— A kto to jest? — zapytał Parker i pochylił się, żeby usłyszeć dokładnie, jak gdyby nowe słowa w tym teatrze mogły ginać albo zamieniać się w inne słowa.

Alex powiedział, kto to jest.

— O mój wielki Boże! — szepnął Parker. — Jakże ja mogłem tego nie dostrzec?

— Prosta psychologiczna prawda... — mruknął Joe Alex. — Banalne jest najmniej dostrzegalne.

— Zaczekaj tu na mnie... — Parker ruszył ku drzwiom.

— Dobrze — Alex skinął głową. Kiedy drzwi zamknęły się za inspektorem, siedział przez chwilę nieruchomo, potem zapalił jeszcze jednego gold flake'a, a później szybko wstał i przeszedł do portierki, gdzie siedział zaspany policjant. Alex przeprosił go na chwilę, nakręcił numer, a potem powiedział kilka słów... potem znowu kilka... i odłożył słuchawkę. Wrócił do pokoju i zaczął przechadzać się z wolna, pogwizdując jakąś cichą, rzewną melodię. Zatrzymał się, zerwał jedną z róż stojących w koszu i powąchał ją. Wreszcie drzwi otworzyły się. Na progu stał Parker. Wszedł ciężko i opadł na fotel.

— On nie żyje... — powiedział. — Popęłnił samobójstwo na minutę przed naszym wejściem... Zostawił kartkę do rodziny, w której ani słowem nie wspomina o całej sprawie...

— Myślę, że postąpił bardzo rozsądnie... — mruknął Alex.

Inspektor spojrział na niego przeciągle... — Policjant, który dyżuruje w portierni, zameldował mi, że rozmawiałeś z miastem...

— Czy tak?... Mogę mieć chyba także i prywatne swoje sprawy, prawda? — Alex patrzył na niego poważnie. W ręce obracał odruchowo czerwony pąk róży na długiej, smukłej łodydze..

— Oczywiście... — inspektor spuścił wzrok. — Na pewno... Ale słuchaj, Joe... Do moich obowiązków należy...

— Do obowiązków nas wszystkich, jako uczciwych ludzi... — przerwał mu Alex — należy, aby zbrodnia nie przeszła bez kary. Tak. Ale także, aby prawo nie krzywdziło uczciwych ludzi tylko dlatego, że... że jest prawem. — Uniósł kwiat do nosa i powąchał go. Potem uśmiechnął się. — Uprzedzam cię, że jeżeli będziesz chciał mnie o cokolwiek oskarżyć w swojej szlachetnej pasji obrony litery prawa, a nie jego treści, którą szanuję tak samo jak ty, wtedy potrafię się obronić.

— Daj spokój — inspektor machnął ręką. — Trudno. Stało się. Dwaj ludzie umarli dzisiejszej nocy: morderca i zamordowany. Koło zamknęło się.

— I nie rozrywajmy go... — Alex kiwnął głową. — Dziękuję ci bardzo, Ben. Sir Thomas Dodd miał rację mówiąc wówczas, że jesteś prawdziwym gentlemanem.

— Nonsens! — Parker zaczerwienił się. — Gdyby morderca żył, zostałby w tej chwili odtransportowany do celi, bez względu na to, co myślę!

— Tak. Ale to należy do twoich prawdziwych obowiązków. Puścić mordercę ze względu na swój subiektywny stosunek do sprawy to paskudna rzecz i tego byś nie zrobił. Ale w obecnej sytuacji, kiedy jedna śmierć opłaciła drugą, mia-

leś wybór. Cieszę się, że wybrałaś to, co podyktował ci rozum i sumienie, a nie posłuszeństwo suchym przepisom.

— Wszystko to nonsens! — Parker machnął ręką. — Nie mówmy już o tym. — I szybko, żeby zmienić temat rozmowy, dodał: — Ale jak, u Boga Ojca, rozwiązałaś tę zagadkę? Do tej pory nie mogę tego zrozumieć. Nie dlatego, aby prawda była zbyt głęboko ukryta. Leżała ona na wierzchu, to fakt. Wstydzę się tego trochę, bo ani razu nawet nie przemknęła mi przez myśl ta możliwość. Ale przecież odciągało od niej uwagę tyle zdumiewających zjawisk i powikłań. . .

— To prawda. Dlatego nie mogłem zrozumieć wszystkiego wcześniej. Kiedy zrozumiałem, że Angelica Dodd nie zabiła Vincy'ego, a miałem to przekonanie, jak wiesz, prawie od pierwszej chwili, pozostała mi alternatywa: morderca „A” i morderca „B”. Morderca „A” to był ten, który zabrał maskę, a morderca „B” ten, który zabrał listy.

— Przecież mógł to być jeden i ten sam człowiek?

— Nie. Jeżeli nie mieliśmy do czynienia ze zbrodniczym maniakiem, a sposób popełnienia zbrodni świadczył raczej o „normalnym” mordercy, to trzeba było podporządkować jego działania logice. Maskę mógł zabrać tylko Darcy, bo on jeden z wszystkich ludzi na świecie mógł spełnić wszystkie warunki umożliwiające natychmiastowe zastąpienie Vincy'ego na scenie. Ale równocześnie był ostatnim z ludzi, który po zabiciu Vincy'ego zabrałby listy przyniesione przez Vincy'ego do garderoby w celu wymienienia ich na klejnoty pani Dodd.

— Dlaczego?

— Bo: 1) nie mógł znać ich wartości, 2) nie mógł znać ich treści, 3) nie wiedział, że Vincy przywiezie je tego dnia, 4) nie wiedział w ogóle o ich istnieniu, 5) nie zdążyłby ich przeczytać po zabójstwie, 6) a gdyby zdążył, to nic by mu nie powiedziały listy panny Angeliki Crawford sprzed lat dwudziestu. Więc: nie brałby ich z sobą zupełnie bezsensownie na scenę; później nie mógł przecież ich zabrać, bo nie mógł wejść już do garderoby Vincy'ego. A więc: morderca „A” wziął maskę, a nie wziął listów. Tymczasem morderca „B”, który wziął listy, nie miał najmniejszego powodu, żeby brać maskę. Mordercą „B” mogły być tylko dwie osoby: sir Thomas Dodd i pani Dodd, gdyż tylko oni wiedzieli o istnieniu listów i o tym, że Vincy przyniesie je tego dnia do garderoby. Jedynie dla nich listy te przedstawiały nieocenioną wartość. Ale:

1) Sir Thomas miał alibi od 9.20, a właściwie od 9.10, bo chociaż miał samochód, ale jednak po zabiciu Vincy'ego musiałby zużyć mniej więcej 10 minut na dotarcie do doktora Armstronga. Ale sir Thomas jako morderca „B” musiałby korzystać z usług Darcy'ego, który musiał w tym celu zabrać maskę, zagrać za Vincy'ego i w ten sposób stworzyć sir Thomasowi alibi. To było zupełnie zagadkowe i w pierwszej chwili najmniej prawdopodobne.

2) Pani Dodd była w teatrze o 10.15 i mogła zabrać listy. Ale powiedziała nam, że ich nie znalazła. Nie miała żadnego powodu, by okłamywać nas. Była ofiarą

szantażu, listy były pisane jej ręką, więc gdyby powiedziała, że znalazła je, zabrała do domu i spaliła, nikt z nas nie mógłby nawet mrugnąć okiem. Mogłem więc jej uwierzyć, tym bardziej że mówiąc prawdę odwracała mimowolnie podejrzenie od innych i kierowała je na swego męża. A tego na pewno nie chciała zrobić. Uwierzyłem jej więc.

Pozostali mi wobec tego tylko dwaj mordercy: morderca „A” — Darcy, który wziąłby maskę, a pozostawił listy (więc kto wziął listy?), i morderca „B” — sir Thomas Dodd — jedyny poza panią Dodd człowiek, który wziąłby listy, ale nie wziąłby maski. Zresztą sir Thomas Dodd mógł zabić Vincy’ego tylko pod tym warunkiem, że po zabójstwie i po zabraniu przez niego listów do garderoby wszedłby Darcy, wziąłby maskę i zagrałby rolę Starego, zamknąwszy przedtem Vincy’ego na ten przeklęty klucz.

I tu powstała absurdalna sytuacja: Dodd mógł zabrać listy tylko wówczas, gdyby Darcy zabił Vincy’ego. Ale mógł to zrobić tylko wchodząc do zamkniętej garderoby, od której klucz miał Darcy ze sobą na scenie. Natomiast gdyby Dodd zabił Vincy’ego i zabrał listy, Darcy musiałby potem wejść do garderoby i będąc niewinnym człowiekiem nie mówić nic nikomu, zabrać maskę i zagrać za trupa!

Wszystko to wydawało się zupełnie fantastyczne. Równocześnie narastały dowody, które już poprzednio wyluszczyłem, że Darcy nie zabił. Ale jeżeli on nie zabił i nie zagrał po przerwie, to nie mógł także zabić sir Thomas Dodd. Więc kto zabrał maskę i listy? — Alex urwał i roześmiał się niewesołym, szorstkim śmiechem. — Potem, kiedy się okazało, że po spektaklu nikt nie wchodził do garderoby poza panią Dodd, a w przerwie byli u niego tylko dwaj ludzie, Darcy i posłaniec z kwiatami, wszystko stało się jasne.

a) Pani Dodd nie zabiła, bo kiedy weszła, Vincy nie żył już co najmniej od 15 minut, co stwierdza obdukcja zwłok.

b) Darcy nie zabił, bo okazał się kaleką (i dla stu innych przyczyn, które wyluszczyłem).

c) Pozostał tylko posłaniec z kwaciarni. On na pewno zabił Vincy’ego i zabrał listy. A na listach zależało (poza panią Dodd) tylko jednej osobie i tylko jedna jeszcze osoba wiedziała o ich istnieniu i o tym, że będą znajdowały się tego wieczoru w garderobie Vincy’ego: sir Thomas Dodd. W tej chwili jego poprzednie alibi nie miało już wartości, bo jeśli zabił o 9.05, to mógł spokojnie zdążyć na 9.20 do doktora Amstronga, mając zaparkowany nie opodal teatru swój samochód. Zrozumiałe było także, dlaczego wysłał do teatru całą rodzinę. Chciał być sam i chciał wziąć swoje auto, aby zdążyć do kwaciarni, a potem do teatru, nie pozostając w pamięci żadnego z londyńskich taksówkarzy, którzy na drugi dzień przeczytaliby o zbrodni w gazetach. . .

Reszta była względnie prosta. Na kwaciarza nikt nie zwraca uwagi, nie pozostaje on w niczyjej pamięci. Portierzy teatralni przepuszczają ich, nie spojrzawszy nawet. Sir Thomas niewiele ryzykował. Mógł przypuszczać, że Vincy będzie sam,

oczekując jego żony. Gdyby nie był sam, sir Thomas oddałby po prostu kwiaty, dostałby szylinga napiwku i wyszedł. Ważna była natomiast biała, pusta koperta. . .

— Dlaczego?

— Sir Thomas przyszedł zabić. Chciał zadać cios w chwili, gdy Vincy będzie miał odwróconą uwagę, zajęty otwieraniem tej koperty.

— Czym chciał zadać ten cios?

— Sztyletem oczywiście! Przecież wiesz chyba, że Vincy został zamordowany sztyletem.

— Zaczekaj. . . — Parker uniósł rękę — mówisz, że sir Thomas przyjechał, żeby zabić. Więc dlaczego nie zabrał ze sobą narzędzia zbrodni? A poza tym czy Vincy pozwoliłby kwiaciarzowi dreptać po garderobie w poszukiwaniu sztyletu, o którego istnieniu w tejże garderobie sir Thomas nie mógł nawet wiedzieć? To nonsens!

— Brawo! — powiedział Alex. — Zadałem sobie to samo pytanie i przez kilka chwil także nie umiałem sobie na nie odpowiedzieć. Ale przecież sir Thomas był w końcu jedynym człowiekiem, który mógł zabić Vincy'ego, więc siłą rzeczy musiało istnieć logiczne i proste wyjaśnienie.

— Ale jakie?

— Posłuchaj, jak to się odbyło. Sir Thomas nie mógł przecież strzelić ani nie udałoby mu się podać Vincy'emu trucizny. Pozostał tylko sztylet: broń cicha, długa i ostra. Sir Thomas miał taki sztylet od lat, zabrał go więc, pojechał do kwiaciarni, kupił kosz róż, ucharakteryzował się prawdopodobnie nieco przedtem, aby policja nie wytropiła tego kosza i kupującego. Potem zajechał w pobliże teatru, zaparkował wóz pośród tysiąca innych wozów i przyczepiwszy do kosza pustą kopertę wszedł do teatru w czapce posłańca, których tysiące możesz kupić na każde zawołanie w każdym sklepie z czapkami. Zastał doskonałą sytuację: była przerwa. Tak zresztą musiał Dodd obliczyć swoje wejście, aby zastać Vincy'ego w garderobie, a nie na scenie, co obaliłoby od razu cały plan. Vincy był sam, leżał na kozetce i odpoczywał, bo gra w „*Krzestach*” jest dość wyczerpująca fizycznie, zważywszy to nieustanne wnoszenie krzesel. Sir Thomas zbliżył się do kozetki, postawił kwiaty i podał Vincy'emu kopertę. Vincy (oczywiście nie wstając) natychmiast zabrał się do zbadania zawartości koperty. Mogła ona przecież zawierać jakąś zakamuflowaną koszem kwiatów wiadomość od pani Dodd. W tym momencie stojący pokornie za nim w głowach kozetki kwiaciarz wyciągnął swój długi, ostry sztylet i uderzył z całej siły. Choć był wyczerpany chorobą, ale do zadania ciosu z góry w leżące nieruchomo ciało nie trzeba wiele siły. Sztylet przebił serce i Vincy zdołał zaledwie pochwycić go lewą ręką, a prawą konwulsyjnie zacisnąć na trzymanym w ręce papierze. Po sekundzie nie żył już. Wówczas sir Thomas rzucił się ku szufladzie w poszukiwaniu listów. Nie wiem, czy znalazł je tam, czy w ubraniu Vincy'ego, ale wiem, że znalazł tam natomiast drugi sztylet! Znalazł ten

sztylet, wiedział, że jest identyczny, bo przecież razem ongiś zamawiali te sztylety. Nie musiał więc wyciągać z rany narzędzia zbrodni i ukrywać go. Wystarczyło, by zabrał sztylet Vincy'ego, co jeszcze bardziej powinno utrudnić policji poszukiwania. Wychodząc z teatru sir Thomas miał wszystkie dane, aby przypuszczać, że popełnił idealną zbrodnię. Nikt z żyjących (poza jego żoną, której dyskrecji mógł być pewien) nie wiedział, że miał jakikolwiek powód zabicia Stefana Vincy. Listy powróciły do niego. Narzędzie zbrodni, które było charakterystyczne i które musiałyby zabrać, było w tej chwili już tylko sztyletem Vincy'ego, którym ktoś zabił tego aktora. Żona jego nie spotka już Vincy'ego i nie rzuci na siebie podejrzania, bo za chwilę skończy się przerwa w teatrze, Vincy nie wyjdzie na scenę, nastąpi alarm i znajdą zwłoki. Angelica Dodd wróci z klejnotami do domu i nigdy żadne z nich nie powie do drugiego słowa na ten temat. . . Ale stało się coś, czego nie mógł przewidzieć, nawet w najkoszmarniejszym śnie: Otóż przedstawienie spokojnie trwało dalej, a zamordowany Vincy grał do końca i zszedł owacyjnie żegnany!!! Wobec tego pani Dodd poszła oczywiście do jego garderoby. Tam nie znalazła listów, ale zobaczyła sztylet i trupa, a poza tym ściągnęła uwagę policji na dom Doddów, który w przeciwnym wypadku nigdy by nie dostał się do sprawy. . . Pani Dodd wróciła do domu. Nie byłaby istotą żywą, gdyby nie zajrzała, chociażby odruchowo, natychmiast do szuflady w komodzie. Sztyletu oczywiście nie było, bo mąż nie wrócił jeszcze do domu od doktora Armstronga. Wówczas pani Angelica zrozumiała, że w jakiś sposób znalazł się on tam przed nią, zabił Vincy'ego swoim sztyletem i zabrał listy. Kiedy sir Thomas wrócił o jedenastej, nie chciała go widzieć, nie chciała z nim mówić o zabójstwie. Zamknęła się u siebie mówiąc, że boli ją głowa. A gdy przybyła policja, postanowiła natychmiast, że odpokutuje tę zbrodnię za niego, bo przecież popełnił ją tylko z miłości dla niej i dla Anny. Kiedy więc zapytałam o sztylet, podeszła spokojnie do miejsca, w którym zwykle leżał, i wyciągnawszy rękę wskazała palcem. . . Ku jej bezgranicznemu zdumieniu sztylet był na miejscu!!! Później, kiedy usłyszała, że od 9.20 mąż jej był u doktora Armstronga aż ni eomal do 11, odetchnęła. Wiedziała, że wobec tego nie mógł zabić, bo przecież ona sama widziała Vincy'ego żywego na scenie jeszcze o 9.50, a po 10.15 stwierdziła, że nie żyje!

— Mój Boże! . . . — Parker nieomal jęknął — a cóż to za piekło! Co za niesamowity zbieg okoliczności!

— Absolutnie nie! — zaprotestował Alex — przecież w chwili gdy morderca zaczął szukać listów, musiał natrafić na ten sztylet, a gdy natrafił, to musiał go zabrać, inaczej byłby zupełnym idiotą. To była tylko prymitywna logika postępowania. Nic innego w tych okolicznościach nie mogło się zdarzyć. . .

Urwał na chwilę i zapalił nowego papierosa.

— Pozostawał motyw zabójstwa. Sir Thomas miało wiele poważniejsze przyczyny do wiekuistego uciszenia Vincy'ego niż jego żona. Po pierwsze, znał go zbyt dobrze, aby nie wiedzieć, że w końcu wygada się i wówczas Anna Dodd do-

wie się, że nie była jego córką. To musiało być dla niego najstraszniejsze. Kochał ją naprawdę, wychował ją i oto teraz, kiedy stał na progu śmierci, miał odejść ze świadomością, że grób jego nie będzie dla niej grobem ojca. Poza tym nurzało to w błocie dwie jedyne istoty, które kochał: jego żonę i córkę, a w dodatku pozbawiało je ogromnego majątku, dzięki któremu łatwiej byłoby mu pożegnać się ze światem wiedząc, że dziecko jego, a wraz z nim i Angelica Dodd mają nie tylko zabezpieczony był do końca życia, ale będą opływać w dostatki. Poza tym nienawidził przecież Vincy'ego, o co nie można mieć do niego pretensji. A zresztą i tak niczym prawie nie ryzykował. Musiał wkrótce umrzeć, wiedział o tym. Rak był nieubłagany mordercą i kończył już swoje dzieło w jego wyczerpanym organizmie. Sir Thomas osądził, że lepiej będzie odejść zabierając z sobą najbardziej nikczemnego człowieka, jaki przewinął się przez jego życie. Zważywszy fakt, że to zabójstwo dawało w pośredni sposób tyle szczęścia jego bliskim, a chroniło ich od tak wielkich nieszczęść, motyw tego zabójstwa był dla niego bardzo silny. Ale czy poważny archeolog może na zawołanie przeistoczyć się w starzejącego się posłańca z kwiaciarni? Na to pytanie dał nam odpowiedź sam sir Thomas mówiąc, że on i Vincy byli podporami szkolnego kółka dramatycznego. Miał wielki talent aktorski, który nie wyzwolił się, gdyż ojciec jego zdecydował inaczej. Ale talent nie ginie tak łatwo. Zresztą prawie niema rola posłańca wymagała właściwie tylko kostiumu: niezbyt zamożnego ubrania i czapki z jakimś emblematem. Nikt nie zwraca przecież na to uwagi. Kwiaciarz niosący wielki kosz róż jest tylko kwiaciarzem. Prędzej spojrzysz na te róże niż na niego. Zresztą, sądząc po wysokości tego kosza, sir Thomas mógł nawet zreć ukrywać za nim twarz, rozmawiając z portierem i Vincym. A zresztą nie widzieli się przecież dwadzieścia lat... To był właśnie morderca „B”. Kiedy okazało się, że nie zabił morderca „A” i nikt z zespołu teatru, wówczas pozostał on sam na placu. A mógł być nim tylko sir Thomas, bo 1) tylko on mógł zamienić sztylety; 2) jemu zależało na tym, aby uprzedzić przyście żony. Myślał przecież oczywiście, że sprawa wykryje się już w przerwie, kiedy Vincy nie wróci na scenę, a wówczas żona dowie się o tym siedząc na widowni i nie będzie musiała odnosić Vincy'emu tych klejnotów, których przekazanie jeszcze bardziej oddawałoby ich oboje i Annę w ręce szantażysty; 3) nie miał on alibi. A właściwie miał alibi, które go obciążało, bo zdrowy rozsądek wskazywał, żeby nie jechać własnym autem do lekarza, ale wziąć taksówkę, by w razie zasłabnięcia nie znajdować się przy kierownicy. Własne auto mógł wziąć tylko po to, żeby nikt nie mógł zeznać, że przywiózł go w pobliże Chamber Theatre; 4) miał powód zabójstwa o wiele większy niż ktokolwiek inny; 5) wiedział, że jest skazany na śmierć; 6) zachowanie jego żony wskazywało na to, że wie ona o tym, kto zabił Vincy'ego. Chciała wziąć na siebie winę. Później zaskoczył ją sztylet w szufladzie. Ale mnie przecież w końcu nie zaskoczył; 7) a zresztą sir Thomas pozostał sam na placu boju. Wszyscy inni zostali wyeliminowani. — Alex uśmiechnął się. — Chociaż... oczywiście mógł zbrodni dokonać ktoś cał-

kiem nie znany! To byłby zupełnie nieprawdopodobny zbieg okoliczności, wiele faktów pozostałoby bez odpowiedzi... Ale kto wie?... — Uśmiechnął się lekko. Parker zerwał się.

— Przecież wiem, że zadzwoniłeś do niego i powiedziałeś mu, że policja nadjeżdża. Dlatego się otruła! Nie wiem, czy nie poradziłeś mu, aby zostawił kartkę, w której pisze, że zabija się, bo boi się cierpień, które koniec choroby może mu przynieść. Jestem nawet przekonany, że to zrobiłeś!

— Gdybym zadzwonił do niego... — szepnął Alex — to bez wątpienia poradziłbym mu coś takiego. W ten sposób sprawa zabójstwa Stefana Vincy nigdy nie zostanie wyjaśniona, bo nic nigdy nie udowodnisz umarłemu. Anna Dodd otrzyma swoje miliony i swego męża, Angelica Dodd nie będzie obnoszona na językach przez wszystkie kumoszki, które nazywają się paniami z towarzystwa londyńskiego, a dusza sir Thomasa Dodd spotka się w zaświatach z duszą Stefana Vincy i wówczas niechaj rozstrzyga się spór, który z nich bardziej zgrzeszył. Ale to nie są już sprawy ani dla policji, ani dla autorów powieści kryminalnych.

— Właśnie! — Parker trzasnął w palce. — Zadzwoniłeś!

— Tego nie powiedziałem... I nigdy nie powiem. Nic podobnego ode mnie nie usłyszysz... — Alex ziewnął. — No, czas już na nas...

... *Po nocy krwawej*

jutrenki blask ozłoci ziemię..., jak powiada poeta. Jestem potwornie zmęczony. Mam nadzieję, że odwieziesz mnie do domu?

— Odwiozę cię, Joe... — Parker kiwnął głową. — Ale co ja zrobię z tym śledztwem?

— Jutro nad tym pomyślimy, a właściwie dzisiaj. O czwartej po południu spotkamy się u „Dufresna” na kawie. Spróbujemy tam wymyślić coś ogromnie przekonywającego, co zadowoli twoich szefów, prasę i rodzinę zamordowanego... A prawda! Vincy nie miał przecież rodziny. Ani syna, ani córki nawet... Nikt nie upomni się o niego, biedaczka... Błagam, Ben, chodźmy już, bo usnę na stojąco!

I trzymając nadal w dłoni czerwony pęk róży, wysunął się z garderoby Stefana Vincy, a Parker, chcąc nie chcąc, ruszył za nim.

W piętnaście minut później Alex zadzwonił do drzwi swego mieszkania. Czekał chwilę. Potem usłyszał ciche kroki bosych kobiecych stóp.

— Kto tam?

— Joe Alex.

Karolina zaspana wpuściła go do ciemnego przedpokoju. Alex zapalił światło i pocałował ją w nos.

— Czy to dla mnie ta róża? — zapytała przecierając oczy.

— Tak, oczywiście...

— Gdzie ją kupiłeś o tej porze? Jesteś zdumiewający, Joe!

— Och — powiedział Joe. — Tę różę kupił jeden umarły dla drugiego umarłego. Więc została sama na świecie, a ja jestem wielkim przyjacielem sierot, Karolino. . . Jestem wielkim przyjacielem sierot. . . jak się okazuje. — Podał jej różę, a Karolina wpięła ją w rozpuszczone włosy.